ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT III.

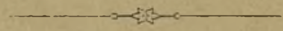
Wrzesień.

WARSZAWA.

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

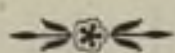


Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 2 września 1896 r.



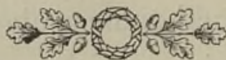
Adolf Pawiński.



Z nielicznego grona badaczów przeszłości ubył nam jeden z najdzielniejszych pracowników. Złożony ciężką chorobą, zgasł 24 sierpnia r. b. w Grodzisku ś. p. Adolf Pawiński, profesor historyi w uniwersytecie tutejszym, a współwydawca naszego czasopisma. Zanim podamy obraz naukowych zasług zmarłego, zaznaczamy tymczasowowo, że urodził się w r. 1840 w Zgierzu, nauki gimnazyalne kończył w Piotrkowie, a studya uniwersyteckie odbywał w Petersburgu, Jurjewie (Dorpacie) i Getyndze. Zamiłowany w swym przedmiocie, sumienny w wykonywaniu przyjętych obowiązków a obdarzony niezwykłą zdolnością zużytkowania każdej chwili życia, ś. p. Adolf Pawiński rozwinął czynność niezwykłą i wielce

płodną. Groźna choroba wytrąciła mu pióro z ręki w końcu r. 1894, kiedy się czuł w całej sile męskiej dojrzałości, kiedy mógł sobie rokować całe jeszcze dziesiątki lat użytecznej pracy. Zaledwie podniosła go z łoża boleści umiejętność lekarska, Pawiński, jakkolwiek liczyć się musiał z jej przestrogami, rąk nie opuścił i zabrał się znowu do pracy, której zakres i wielostronność tylko bliższym znajomym mogła być wiadomą. Wiosną roku bieżącego, choroba wznowiła się w daleko groźniejszych objawach i zakończyła przedwczesną śmiercią.

Smutek, w jaki nas pogrążyła wieść o zgonie naszego współpracownika, głęboki żal nad utratą, jaką społeczeństwo poniosło, nie pozwala nam obecnie na chłodną ocenę doniosłości prac jego w sferze naukowej i poza jej dziedziną. Chwalcze, ogólnikowe frazesy byłyby tu niestosowne, powiedzieć wszakże wolno, że nazwisko Adolfa Pawińskiego zapisało się zaszczytnie w rocznikach naszego współczesnego życia.



O ZDROWIE LUDU.

Dr. Józef Tchórznicki. „Dla zdrowia ludu.“ Warsz. 1896. „Zdrowie“ — zeszyt pamiątkowy z powodu wystawy hygienicznéj.

Zwykły to objaw, że ludzie najmniéj się troszczą o rzeczy najważniejsze, skoro rzeczy te nie są ani tak widoczne, ani tak natarczywie się przypominają jak rozmaite drobnostki życia.

Już na początku naszego stulecia uderzyła twórcę pozytywizmu okoliczność, że człowiek stosując wymagania rozumu do wszystkich niemal dziedzin teoretycznych i praktycznych, zaniedbał uczynić tego względem społeczeństwa jako całości i myśl ta stała się podstawą całéj działalności naukowo-publicystycznéj Comtea; któréj owocem był system at polityki pozytywnéj.

Toż samo dzieje się i w poszczególnych gałęziach życia zbiorowego. Od niepamiętnych czasów istnieją lekarze i znachorzy, którzy jako-tako usiłują naprawiać zachwiane zdrowie jednostek; ale dopiéro od wczoraj niemal zaczęto myśléć o tém, że główną przyczyną tych chorób jednostek są wadliwe urządzenia całego społeczeństwa; a jakże daleko jeszcze od myśli do czynu!

Jak wielu jest lekarzy — a jakże mało wśród nich hygienistów. Katedry hygieny nie wszędzie są obsadzone, wykłady jéj nie dość gorliwie uczęszczane, bo student przeciętny wié, że łatwiejszém jest napisanie recepty niż walka z przesądami i opieszałością ogółu. A chociaż w tak krótkim czasie olbrzymie poczyniła postępy owa młoda

gałąź wiedzy lekarskiéj, zostają one przeważnie tylko zdobyczami teoretycznemi.

Otwarta obecnie w Warszawie wystawa hygieniczna—jakkolwiek złośliwi robią uwagę że zawiera wszystko, prócz hygieny, jakkolwiek podobnie do wszelkich innych wystaw służy za środek reklamy dla jednych, za miejsce do spaceru dla innych, jakkolwiek mieści w sobie wytwory, które już dla saméj jéj nazwy powinny być z niéj stanowczo wyrugowane jako antyhygieniczne — mam tu głównie na myśli tytoń i spirytualia — pomimo tych wszystkich ułomności wystawa hygieniczna powinna się niezawodnie przyczynić do tego, aby poruszyć myśl ogółu w tym kierunku, a za jeden z objawów tego uważać winniśmy szereg wydawnictw propagujących doniosłe idee hygieniczne, lub budzących pod tym względem świadomość ogółu.

Wypowiedzmy najprzód uznanie zarządowi wystawy za piękną myśl rozdawania broszury p. t. „Myślmy o zdrowiu," którą otrzymuje każdy kupujący bilet wejścia na wystawę. Bardzo wielu niezawodnie nie zajrzy nawet do niéj; wielu rzuci ją na ulicy, lub do kąta w mieszkaniu. Ale jak ziarno chociaż od niechcenia rzucone może zakiełkować, skoro padnie na grunt podatny, tak i broszura rzucona przez jednego może być podniesiona i przeczytana przez innych, i może właśnie takich, którzy nie mogą jéj kupić, a którym najwięcéj się przydadzą zawarte w niéj myśli.

Prócz tego wyszło parę książek i broszur, których ogłoszenie zostaje w związku z wystawą. Do takich należą praca d-ra Tchórznickiego i zeszyt wyjątkowy „Zdrowia" (128—130).

Trudno chyba znaléźć wśród narodów ucywilizowanych lud, któryby rzadziéj posługiwał się wodą do mycia od naszego. Sprzyjają temu po części warunki hydrograficzne — ubóstwo wód płynących w pewnych częściach kraju, a przynajmniéj brak większych rzek; śmiało jednak twierdzić można, że w przeważnym stopniu wina spoczywa w braku odpowiedniego wychowania, które osiąga się przez wytworzenie ułatwionych i przystępnych dla każdego i w każdéj porze roku kąpieli. Tylko w tych warunkach czystość ciała — ta kardynalna podstawa zdrowia staje się początkowo przyzwyczajeniem, następnie potrzebą.

Książka wydana przez p. Tchórznickiego w połowie swojéj poświęcona jest kwestyi kąpieli ludowych, gorąco popieranych już od lat paru zarówno przez jéj autora jako téż przez innych w sekcyi chemicznéj Tow. pop. przemysłu i na zjeździe lekarzy we Lwowie.

Prócz artykułów samego autora (kąpiele ludowe, projekt łaźni ludowéj) i jego przemówienia (na zjeździe lwowskim) znajdujemy

w tym dziale „Opis łazienek dla robotników przy kopalni węgla Kazimierz” przez p. Góreckiego, „Ludowe kąpiele natryskowe podług projektu Grovego” przez p. Sokala, „W sprawie kąpieli przy stacyi filtrów w Warszawie,” „Posiedzenie sekcyi chemicznéj” poświęcone kąpielom ludowym.

Polecając gorąco całość wszystkim tym, którym leży na sercu sprawa zdrowia ludu, pozwolę sobie przytoczyć tu ustęp z artykułu p. Lindleya świadczący o tém, jak wiele bogactwa traci się napróżno i jak z tego przy rozumném korzystaniu i nie atomistycznych jak dzisiejsze, urządzeniach społecznych skorzystać by można z małym zachodem a wielką korzyścią dla ogółu. „Jak wiadomo, powiada autor, na Koszykach dla zgęszczenia pary spotrzebowuje się ogromną ilość wody, która wpuszczaną jest do kanałów i służy do przepłukiwania takowych.

„Woda posiada wysoką temperaturę i płynie przezroczystym strumieniem, nie różniąc się prawie niczém od nieprzerwanie wypływającego ciepłego źródła.

„Otóż gdyby na przestrzeni między miejscem wypływu wody kondensacyjnéj a wpuszczenia jéj do kanałów zbudować basen, lub innémi słowy, wodę po wyjściu z maszyn przeprowadzić za pomocą rur do miejsca odpowiednio wybranego na urządzenie takiego basenu, w takim razie taż sama woda, prócz spożytkowania jéj dla dwóch wiadomych już celów, obsługiwała by również i zakłady kąpielowe. W ten sposób stanie się zadość naglącéj potrzebie wielkiego miasta, które niemal bez żadnych wydatków (koszta bowiem sprowadzenia i ogrzewania wody zupełnie prawie znikają) znajdzie się w posiadaniu naszkicowanego powyżéj zakładu niezmiernéj doniosłości, którego urządzenie w wielu innych miastach wielkie za sobą koszta pociągało” (str. 27).

I pomyśléć, że od napisania tych wierszy społeczeństwo ucywilizowane i inteligentne nic jeszcze nie uczyniło dla wyzyskania téj złotodajnéj żyły! A gdyby była podana wiadomość o znalezieniu kilku ułamków marnego metalu gdzieś na drugiéj półkuli, tysiące awanturników płynęło by przez ocean szukać szczęścia i wydzierać go sobie wzajemnie.

Druga część książki poświęcona jest kwestyi nie mniéj ważnéj, nie mniéj blisko każdego obchodzącéj — kwestyi urządzeń sanitarnych w osadach i wsiach, postawionéj na porządku dziennym przez ostatnią epidemię cholery. Każdemu kto bywał na prowincyi, wiadomo jak niedbale urządzane są u nas miejsca w których na-

gromadzają się nieczystości wszelkiego rodzaju; nie wszyscy może wiedzą, że są wsie i osady, gdzie miejsc takich wcale nie ma, lecz całe podwórza i omal nie ulice stają się jedną wielką kloaką. A jednak i tu mamy skarb dla rolników, który przy odpowiednich urządzeniach nie tylko z korzyścią dla zdrowia może być usunięty z niewłaściwego miejsca, ale i zużytkowany dla zwiększenia płodów ziemi. Nie zatrzymując się nad tą kwestyą i odsyłając czytelnika w tym przedmiocie do słynnego rozdziału o kloakach paryskich w „Nędznikach” Wiktora Hugo, zauważymy tylko, że dr. Tchórznicki zajmuje się oczywiście tylko pierwszą stroną kwestyi obok innych urządzeń sanitarnych, mających na celu zabezpieczenie nas od rozszerzenia wszelkiego rodzaju zarazy.

„Z dumą rzec możemy, że hygiena to nauka o podstawach szczęścia na ziemi, a działy jéj to nauka o czystości, mocy ciała i sile ducha”—tak powiada autor w przedmowie.

Dziś, w chwili apatyi duchowéj i przygnębienia, w chwili upadku zainteresowania do wszelkich szerszych poglądów i śmielszych planów, w chwili gdy postęp dziejowy zdaje się nie tylko że robi przystanek, ale nawet krok wsteczny — jakże miło powitać entuzyastów chociaż w jednym a tak ważnym zakątku życia społecznego, jak hygiena mas.

Dziwne jest zaiste zaślepienie tych, którzy opływając w dostatek i wygody, mając na zawołanie lekarza i apteki mniemają się bezpiecznymi, kiedy tuż pod nimi, w suterynach tych samych kamienic, których zajmują pierwsze piętra gnieździ się brud i zaraza — nieodłączne towarzyszki nędzy.

Zachowanie zdrowia wszystkich warstw społecznych jest równie ważne dla biednych i bogatych, powiada Latham. Dla bogatych ważném jest, aby biedni byli zdrowi, albowiem wpływ zarażenia raz powstałego u mieszkańców biednych sięga daleko, nie wyróżniając stanowiska osób. Dla biednych zaś zdrowie nadto stanowi kapitał, i, dodajmy, stanowi go nie tylko dla nich, ale dla całego społeczeństwa.

Czyż nie zdarza się, że dziecko właściciela kamienicy umiéra na dyfteryt lub szkarlatynę przyniesioną od dzieci stróża, któremu ten sam właściciel dał niehygieniczne mieszkanie? Ale ilekroć częściéj się zdarza, że ta zemsta logiki faktów nad niedołęstwem i niedbalstwem ogółu dosięga osoby najmniéj tego winne!

I w zeszycie „Zdrowia” znajdujemy cały szereg artykułów hygienicznych dotyczących najrozmaitszych kwestyi zaczynając od „karmienia niemowląt” (p. Kramsztyka) a kończąc na „budowie domów” (p. Goldberg) i „szkół” (p. Rudakowski), „kanalizacyi miast mniej-

szych" (p. Sokal), „zabawek" (panna Szyc) i wielu innych. Prócz tego omówione są rozmaite instytucye, związane z hygieną fizyczną i moralną społeczeństwa jak ochronki (p. Konopczyński), domy sierot (p. Połkotycki), zakłady dla ociemniałych (p. Nowicki), domy moralnie zaniedbanych dzieci (p. Moldenhawer), wyniki pomiarów antropologicznych (p. Strzelbickiego) i t. d.

Oby jak najszerzéj rozpowszechniały się wśród ogółu naszego te myśli, a książki takie jak tu wymienione nie były głosem wołającego na puszczy; pamiętać bowiem należy to, co według Ksenofonta powiedzieć miał Kambizes do Cyrusa że „lekarze nie są niczém więcéj jak łataczami zdolnymi naprawiać suknie znoszone; albowiem praca ich odnosi się tylko do ciała okaleczonego nie zaś zdrowego; o wiele więcéj możecie okazać opieki wojskom waszym, jeżeli starać się będziecie o zapobieganie chorobom i przeszkadzanie ich rozpowszechnieniu wśród wojska."

W. M. K.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Dalszy ciąg).

VIII.

Hrabia, mimo że codziennie widywał swe konie, kiedyniekiedy urządzał t. zw. „wielki przegląd”, na który zapraszał żonę, córkę i poważniejszych podwładnych. Przegląd odbywał się w wielkiéj ujeżdżalni, mającéj tuż u wejścia po dwie loże z każdéj strony. Konie wyprowadzano kolejno, następnie powozowe składano w czwórki i szóstki; wierzchowce prezentowano pod siodłem męskiém i damskiém; daléj szły matki, reproduktory, wreszcie młodzież. Hrabia z zégarkiem w ręku badał rączość koni. Powozowe przepędzano na lince, wierzchowce dosiadane przez masztalerzy obiegały rajtszulę. Porządek widowiska układał sam hrabia, a pilnował koniuszy, weterynarz, człowiek niemłody, ciężki w ruchach i łatwo męczący się.

Wśród dwudziestu czterech koni stajennych było dwa reproduktory, jeden złoto-gniady anglo-arab, nazwany „Cook”; drugi skaro-gniady „Szpiegelberg”, świéżo sprowadzony, koń mało ujeżdżony, nieledwie surowy. Pomiędzy tymi dwoma końmi wybuchła wkrótce

nienawiść, tak że nawet w rżeniach wzajemnych dały się odróżnić tony gniewu zajadłego. Szpigelberg wyższy, młodszy, gorętszy, był w swéj klatce względnie łagodny, lecz skoro przeprowadzano obok Cooka, rzucał się i zamknięty gryzł słupy i drzwi. Czy koniom tym szło o jedynowładztwo, jak tłómaczył koniuszy, czy też były to wybuchy zazdrości i rywalizacyi, jak mówił hrabia, dość, że nienawiść istniała, niepodzielana zresztą ani przez piękne, ani brzydkie klacze, obojętne na różnicę nazwisk.

Regulamin dzisiejszego przeglądu nakazywał wyprowadzenie ze stajni wszystkich koni wyjazdowych i wierzchowych, następnie powrót do stajni z pozostawieniem w ujeżdżalni czwórki gniadéj. Późniéj szły przepisy co do dalszych produkcyi.

W pierwszéj loży, na prawo, zasiadł hrabia z Hertą i Bolem, hrabina wymówiła się od uczestniczenia bólem głowy. Lożę sąsiednią zajęli: doktór, nauczyciel, rządca i p. Wosiński. Dwie loże z lewéj strony były również zajęte.

Na odgłos dzwonka wyprowadzono pierwszego Cooka, koń piękny, dumny, spokojny. Słońce popołudniowe grało w jego barwie złotogniadéj. Ujrzawszy się na wolném powietrzu zarżał, rozdął chrapy, odpowiedziały mu inne ze stajni.

Po każdém uderzeniu dzwonka na znak hrabiego, okazywano nowe konie, oprowadzano je raz w około ujeżdżalni i ustawiano w jeden rząd łbami do widzów. Masztalerze ubrani w barwy żółte i błękitne pysznili się temi końmi. Milcząca i szara ujeżdżalnia napełniła się odgłosami koni i ludzi, ubarwiła się kolorami koni siwych, karych, gniadych, wilczatych i bułanych. Na samym końcu wyprowadził koniuszy Szpigelberga, który, zobaczywszy tak liczne towarzystwo, zarżał radośnie, podniósł łeb do góry, rozdął nozdrza, chwytając miłe mu zapachy i szczerzył zęby do spokojnych klaczy. Koniuszy, przeprowadziwszy go przed łożami, udał się na lewe skrzydło.

Po krótkiéj chwili hrabia dał znak wyprowadzenia koni, prócz czwórki gniadéj, przeznaczonéj do popisu pierwszego.

Odprowadzono do stajni dziesięć koni. Nie podobało się to Szpigelbergowi, który niecierpliwiąc się to rżał, to znów bił gwałtownie kopytami o ziemię. Koniuszy zmęczony trzymaniem, ruszył wbrew porządkowi, w téj saméj chwili z za skrzydła przeciwnego wysunął się Cook. Poznali się rywale. Dreszcz wstrętu wstrząsnął Szpigelbergiem, wyprostował szyję, nastroszył grzywę, wrył się kopytami w ziemię, błysnęły mu oczy i wyszczerzył zęby. Koniuszy chciał się cofnąć, ale koń podniecony, spiął się, szarpnął i wyrwał się z ręki i pomknął w kierunku Cooka. I w tym zawrzał gniéw, potrząsł grzywą i próbował się wyrwać, lecz wstrzymała go silna ręka masztalerza.

— Wyprowadzać konie—krzyknął hrabia.

Szybko i porządnie ruszyli masztalerze, a wziąwszy Cooka w środek, ochronili przed napaścią Szpigelberga. Ten poczuwszy swobodę, podrzucał głową kształtną, odsadził ogon i w skokach dzikich objawiał swe zwycięstwo, gniéw i radość. Koniuszy chciał go pochwycić, lecz uderzony w nogę, kulejąc, wycofywał się ze środka ujeżdżalni. Przybiegli dwaj masztalerze i zbliżali się ostrożnie, z widoczną obawą do rozjuszonego konia. Ta obawa czyniła ich niezgrabnymi, tak, że będąc blisko, nie zdołali pochwycił wiszących cugli i stanęli bezradnie.

Hrabia wbrew przepisom sportsmeńskim krzyknął:

— Bałwany! — i zniecierpliwiony, niespokojny wstał, wpijając palce swe w balustradę loży.

Koniuszy stękając zawołał o sznury, by pochwycić konia.

Tymczasem Szpigelberg, ośmielony powodzeniem, wyprawiał harce dzikie po ujeżdżalni i była usprawiedliwiona obawa, że albo zaplącze się w cugle wiszące, albo zrobi skok nieopatrzny, albo wymknie się z ogrodzenia i przyprawi siebie o kaléctwo, hrabiego o znaczną stratę. Hrabia, przewidując możliwe nieszczęście, krzyknął:

— Ach, tchórze! Czyż nikt się nie znajdzie!?

W téj krytycznéj chwili p. Wosiński skoczył lekko z loży do ujeżdżalni i zbliżył się do Szpigelberga szalejącego. Koń umykał głowę, wyszczerzając zęby, wspinając się dęba, wreszcie udało się p. Wosińskiemu pochwycić cugle z lewéj strony i przesunąć szybkim ruchem rękę ku szczęce. Koń bronił się zajadle, a czując silną rękę, porwał się do biegu, aby się pozbyć napastnika. Kilka sekund trwała walka, wreszcie p. Wosiński zarzuciwszy cugle na kark koniowi, mimo że był z lewéj strony, skokiem zwinnym dosiadł Szpigelberga i pozwolił mu w susach szalonych przebiedz ujeżdżalnię. Koń zmęczony poprzedniém hasaniem, ściśnięty kolanami, powstrzymywany wędzidłem, uspokajał się zwolna. P. Wosiński, objechawszy kłusem kilka razy ujeżdżalnię, skłonił się przed lożą hrabiego i wyjechał ku stajni.

Ta odwaga i zgrabność podobała się nietylko hrabiemu i zebranym widzom, ale wywołała niemal podziw u Herty. Gdy p. Wosiński pochwycił cugle, obawiała się nerwowo o uderzenie przedniemi kopytami, gdy koń ciągnął go za sobą, przypuszczała nieszczęście; tém większéj ulgi doznała na widok poskromionego zwierzęcia.

P. Wosiński został powitany aplauzem przez obecnych, Herta spojrzała nań uważniéj i w wyrazie jego twarzy znalazla coś znanego, co ją zdziwiło. Gdy usiadł w loży, hrabia, ściskając jego rękę, rzekł wesoło.

— Dziękuję, Stanisławie, uratowałeś mi Szpigelberga. Chyba w cyrku nauczyłeś się dosiadać konia.

— Byłem ochotnikiem w kawaleryi i z konieczności nauczyłem się tėj sztuki.

Hrabia, spostrzegłszy pytający wzrok córki, objaśniał wypadek:

— Bo uważasz, Herto, siąść z lewėj strony jednym skokiem, to sztuka! Widziałaś?

— Tak, to trudno — mówiła Herta, usiłując sobie przypomnieć, gdzie widziała postać podobną do p. Wosińskiego.

— Ty mówisz: trudno, i to tak obojętnie — zapalał się hrabia — to nietylko trudno, ale nadzwyczajnie.

— Jest to zręczność, którą nabywa się częstą praktyką — dorzucił wesoło p. Wosiński.

— Kiedy to zręczność zwykła—wmieszał się doktór—pokaż nam pan jeszcze tę sztukę.

— I owszem, byle był wierzchowiec.

— Hej! Sułtana!—krzyknął hrabia.

Wprowadzono konia karego, osiodłanego. P. Wosiński dosiadał go w biegu to z prawėj, to z lewėj strony jednym rzutem ciała, nie dotykając strzemion.

Koniuszy, masztalerze, oficyaliści patrzyli z podziwem zazdrosnym na bohatéra dnia tego, który z prostotą odpowiadał na pochwały rozliczne.

Tego samego dnia Herta, przechodząc po powrocie z ujeżdżalni przez salon, zatrzymała się nagle przed portretem Stefana Rugiwojskiego, młodego bohatéra, zaginionego bez wieści w krwawėj bitwie na stepach.

— Już wiem—szepnęła po chwili.

Odnalazła bowiem podobieństwo. P. Wosiński przypominał jėj w wyrazie twarzy i oczu tego pięknego młodzieńca.

Hrabina, wysłuchawszy przy obiedzie opowiadania szczegółowego o wypadku ze Szpigelbergiem, oświadczyła uprzejmie chęć widzenia tėj sztuki w dosiadaniu koni.

IX.

W upalne dni lipcowe podawano obiad późniéj i całe towarzystwo, z wyjątkiem Bola i p. Turowskiéj, często przechodziło na górny taras pałacu, korzystając z chłodu orzeźwiającego.

Wieczory były bezksiężycowe, tém wspanialéj błyszczały gwiazdy w przejrzystéj atmosferze.

W taki cichy, pogodny wieczór hrabiostwo z córką, doktór, nauczyciel i p. Wosiński usiedli na tarasie, popijając herbatę.

Park pogrążony w głębokich cieniach rysował się w mglistych konturach, tylko wierzchołki drzew dalszych wyraźniéj się zaznaczały na wyiskrzoném niebie. Czasami lekki powiew wiatru przynosił tchnienia gorące ziemi ostygającéj po dniu skwarnym, zapachy silne kwiatów ogrodowych, szum niewyraźny rzeki, klekot młyna dalekiego i piski ptaków nocnych. Ćmy różnokolorowe, zwabione światłem w oknach, zbliżały się lotem cichym, uderzały głucho o szyby, wzlatywały i znęcone suknią białą Herty, krążyły około niéj.

Hrabina podniósłszy oczy w górę, rzekła:

— Jak też dziś gwiazdy migocą!

Wszyscy spojrzeli na niebo. Na zenicie jaśniała Wega Liry, obok Smoka i Herkulesa.

— Będzie dészcz—odezwał się p. Wosiński.

— Dészcz, w taką pogodę?—powątpiewał hrabia.

— Nie widziałem dziś barometru—mówił nauczyciel—ale czuję, że dészcz jest niemożliwy.

— Jest to obserwacya ludu—objaśniał p. Wosiński, podkréślając słowo lud — sprawdzona przez naukę, że silne migotanie gwiazd zapowiada dészcz.

— Migotanie gwiazd a dészcz, coś nie wydaje mi się słuszném — rzekł poważnie nauczyciel.—W takim razie dészcz byłby codziennie, bo gwiazdy mrugają codziennie.

Ta uwaga podrażniła Wosińskiego i zwracając się bezpośrednio do nauczyciela, mówił:

— Planety naszego systemu świécą spokojnie, ale słońca innych systemów, jak np. Wega w Lirze—tu wskazał na zenit—migocą w naszém oku z kilku przyczyn, wśród których nasza atmosfera odgrywa ważną rolę, jeśli jest przesycona parą wodną.

— Słońca?—odezwała się Herta.

— Słońca — powtórzył spokojnie — oto u zenitu Wega, obok ta piękna gwiazda Herkulesa, daléj gwiazda polarna, na zachodzie Arktur. Są słońca białe, purpurowe, żółte.

— Gdyby też być na gwiazdach!—zamarzyła Herta głośno.

— To trochę trudno — zaśmiał się p. Wosiński — bo najbliższa ziemi gwiazda, Centaur, jest oddalona o dziesięć trylionów mil.

— Uczyłeś się astronomii?—zapytał flegmatycznie hrabia.

— Chodziłem przygodnie na wykłady i do obserwatorym.

— I co?—rzucił hrabia.

— Nie znam nic wspanialszego nad gwiaździste niebo.

— I znasz się na gwiazdach?

— Trochę.

— A cóż to za gwiazda?—pytał, wskazując palcem na zenit.

— To gwiazdozbiór Herkulesa... i w nim nasza przyszłość. Słońce idzie w tym kierunku i tam zginie wraz z nami, jeśli przedtém nie zagaśnie.

— Gdzie ten Herkules?—zapytała hrabina.

— Okiem nieuzbrojoném nie widać dokładnie całéj konstelacyi ale wystarczyłaby lornetka teatralna.

— Ja przyniosę—zawołał usłużny nauczyciel.

— Tam mają podwójne słońce, jedno pomarańczowe, drugie zielono-błękitnawe.

— To piękna nauka ta astronomia—rzekł zamyślony doktór.

— Jeśli pan masz dobry wzrok, panie doktorze—mówił rozmowny dzisiaj młodzieniec — spojrz pan na wschód. W Lirze są również dwa słońca: błękitne i żółte.

— Jak tam musi być dziwnie i pięknie — odezwała się Herta — chciałabym tam być...

— Myślą można być wszędzie i posiadać wszystko, ale fizycznie...

— Gdyby na promieniu wzlecieć.

— I to zadługoby trwało, bo promień najbliższéj gwiazdy dochodzi do nas w cztery lata i 128 dni.

Po przyniesieniu szkieł oglądano gwiazdy, aż wreszcie hrabia zapytał żartobliwie:

— Powiédz, uczony astronomie, gdzie nasza gwiazda?

— Gwiazda Rugiwojskich?—odpowiedział wesoło—chyba w tarczy Sobieskiego, bo to konstelacya polska.

— Dobrze powiedziałeś—mówiła poważnie hrabina — bo w nas i krew Sobieskich płynie.

— A tak — potwierdził hrabia — wnuczka Jana była za Rugiwojskim.

— A może w gwiazdobiorze Poniatowskich?—zaśmiał się p. Wosiński.

— Poniatowscy?!—powtórzył z namysłem hrabia.—Czyż i oni są na niebie?

— Ich herb, ciołka, umieścił astronom polski Poczobut.

— To dziwne! Taka świéża rodzina! — rozmyślał hrabia głośno.

— Nie bierze zasłużony, ale szczęśliwy—odezwał się sentencyonalnie nauczyciel.

— To prawda—dodała hrabina.

— A gdzież moja gwiazda?—zapytała Herta.

— Chyba wśród białych słońc Syryusza, Wegi, Andromedy, Regulusa, Altaira wybierze pani.

— Nie chcę być słońcem, wolę być samotną.

— Oderwanych gwiazd nie ma, chyba zbłąkane.

— W takim razie wolę się błąkać wśród fal eteru, aniżeli być zależną.

— Wolność lub niewola jest w nas samych—odpowiedział z naciskiem p. Wosiński.

Wiadomości te, niemal elementarne, wydawały się zebranym czémś szczególném. Nauczyciela zwłaszcza niecierpliwiła ta rozmowa i drażniła, gdyż nie znał astronomii, odezwał się też z przekąsem:

— Powiedziałeś pan: słońce zginie, ziemia zginie, a co będzie z gwiazdami.

— W każdém życiu jest śmierć, więc i one zginą.

— A potém?

— Nie wiem.

— To nie jest rozwiązanie, to zaprzeczenie — prawił nauczyciel.—Bóg przecież rządzi gwiazdami i nie pozwoli zniszczéć temu, co sam stworzył. Wogóle, nie lubię nauk wątpliwych.

— Ja zgadzam się z panem — przemówił doktór. — Lubię fakta i formuły matematyczne. Wiem, gdzie idę, wiem, czego chcę.

Robiąc tę aluzyę do uczuć p. Wosińskiego, uśmiéchał się doktór, patrząc mu w oczy.

— Pozwól, doktorze, młodym na marzenia. Im się zdaje, że świat zdobędą—odezwał się hrabia spokojnie.

— I po zwycięstwie trzymają łupinę—dodał doktór ironicznie.

— Pozytywizm pana doktora mrozi chłodem—rzekła Herta.

— Chłód faktów dobry jest na gorączkę marzeń — odpowiedział doktór. — I w téj chwili byliśmy z gwiazdami, a komary korzystały z tego.

— To prawda—odezwała się hrabina — trzeba się liczyć z faktami i komarami, chodźmy.

Herta źle spała téj nocy. Miała sny niespokojne, męczące. Szła schodami zepsutemi na wieżę olbrzymią, by zobaczyć gwiazdy i nagle załamały się schody. Leciała w przepaść czarną i straszną. Nagle obudziła się. Przypomniała sobie dzisiejszy wieczór, rozmowę o gwiazdach; uśmiéchnęła się ze swego przerażenia, a nie mogąc usnąć, przy-

pominała sobie dzisiejszy wieczór i w półsennem marzeniu zobaczyła p. Wosińskiego dosiadającego konia, rozmarzonego gwiazdami, mieniącego się pod jéj wzrokiem i odczuwała sympatyę dla niego, twarz jego stawała się coraz to podobniejszą do portretu Stefana Rugiwojskiego, tak, że wreszcie nie mogła dobrze odróżnić, który z nich jest żywy, a który sportretowany. I pod tém wrażeniem usnęła.

X.

Na drugi dzień od rana zaczął mżyć dészcz, który wzmagał się stopniowo, aż pod wieczór przy wietrze zachodnim rozlały się strugi. Dzień ten dżdżysty, smutny dla gospodarzy zajętych żniwami, był wesoło obchodzony w pałacu, jako rocznica urodzin Bola.

Dziecko starannie ubrane poszło kolejno do ojca i matki, którzy obok życzeń obdarowali chłopca prezentami. Matka dała mu strój huzarski z szabelką i ostrogami, któremi Bolo nie mógł się dość nacieszyć. Ojciec dał małą bryczkę i uprząż odpowiednią dla muca. Herta wstała rano, uściskała brata w łóżeczku obdarowawszy go muszlą morską oddawna pożądaną.

Wieczorem na uczczenie dnia tego zaproszono zwykłe towarzystwo obiadowe do mniejszego salonu. Dziecko zmęczone wrażeniami dnia siedziało ciche, niemal senne na fotelu, przeglądając książkę z rycinami.

— Bolu, chcesz spać?—zapytała Herta.

— Wcale a wcale—odpowiedział żywo, patrząc z żalem na strój swój huzarski, z którym musiałby się rozstać.

— Jesteś już senny—rzekł nauczyciel.

— Ależ ja nie chcę spać!—zawołał Bolo ze smutkiem.

— Nie chcesz?—mówił ojciec uśmiéchnięty. — Gdyby ci Herta zaśpiéwała kołysankę twoją, zaraz uśniesz.

— Jaką to kołysankę?—zapytał doktór.

— Urodziny i kołysanka mamki Bola, mazurki z pod Warszawy, to najważniejsze dotychczas epoki w życiu jego — rzekła hrabina, uśmiéchając się łagodnie do dziecka.

— Zaśpiéwaj mu, Herto! — radził ojciec. — Bolo namyśli się, że czas mu spać, a ja lubię czasem piosnki ludowe.

Herta zbliżyła się do fortepianu, uderzyła kilka akordów i akompaniując sobie zaśpiéwała:

„Śpij dziecino pańska,
Wiozą ci zabawki,
Z Krakowa i Gdańską
I z naszéj Warszawki.

Z norymberskich sklepów
Sukienkę ci dadzą,
A z podolskich stepów
Konika sprowadzą.

Gdy urośniesz duży
Wśród wojen hałasu,
Pod szopą sejmową
Spać nie będzie czasu.

Melodya, jakkolwiek jednostajna, miała w sobie wdzięk i zacięcie brawurowe mazurów, a odśpiéwana świéżym, melodyjnym głosem podobała się wszystkim, a zachwyciła p. Wosińskiego. Nietylko dlatego, że Herta ją śpiéwała, ale że była, jak sądził, piosnką ludową. Tak dalece się zamyślił i zasłuchał we własne uczucia, że obudziło go dopiéro pytanie hrabiego:

— Cóżeś taki zamyślony, Stanisławie?

— Rozmarzyła mnie ta piosnka ludowa — odpowiedział zmieszany.

— Czy ludowa? wątpię—rzekł doktór — w każdym razie ładna.

— Sądzi pan—mówił żywo p. Wosiński — że jest za piękna, jak na ludową.

— Może—odparł spokojnie.

— Ależ lud posiada prawdziwe skarby melodyi — zapalał się młody.—Tylko lud jest źródłem ożywczém literatury i sztuki.

— Może pan powiész nauki i filozofii—dodał doktór z uśmiechem pobłażania.

— Ależ naturalnie.

— I ja byłem kiedyś młodym — odparł doktór ironicznie—wierzyłem w lud, ale sparzyło mnie życie.

— Co to jest lud?—wmieszał się hrabia. — Lud, to utopia. Bez naczelników, szlachty, inteligencyi, jest to tłum owczy, bezrozumny, nic więcéj.

Płomienie uderzyły na twarz młodzieńca i pozwalając się unieść, mówił głośniéj:

— Lud sam w sobie jest całością skończoną, posiada swoją filozofię, prawo, ustrój społeczny, swoją poezyę i muzykę. Szlachta i inteligencya wyrosła z niego i nim żyje, i jeszcze uważa się za coś lepszego!

Popatrzono na niego ze zdziwieniem i niesmakiem. Umilkli. Po chwili odezwała się hrabina tonem suchym:

— Zapatrywania na świat są różne, najlepiéj zostawić każdemu własne.

— Nie wiedziałem, żeś jakobinem — zaśmiał się ironicznie hrabia.—Zobaczymy, jaki będzie koniec.

— Młodzież—przemówił nauczyciel — sama nie wié, czego chce i dokąd idzie. Podsyca ogiéń, aby świat zadziwić.

— Idzie mi o zasady, a nie o podziw pana—odpowiedział hardo p. Wosiński.

— Zasady?!—rzekł hrabia. — Zapewne są takie i takie. Co do mnie, wolę być w okopach św. Trójcy, jak pisze Krasiński, aniżeli iść z Pankracym.

— I ja z ojcem! — zawołała Herta, śledząca z zainteresowaniem rozmowę. — Ten lud, o ile biédny i nieszczęśliwy, zasługuje na litość, ale gdy chce się burzyć, jest wstrętny.

P. Wosiński chciał odpowiedziéć, uprzedziła go hrabina:

— Dyskusya zamknięta.

W téj chwili weszła p. Turowska i zabrała sennego Bola.

Rozmowa o pogodzie, żniwach, ciągnęła się leniwo, ożywiła się dopiéro, gdy doktór zapytał:

— Słyszał pan hrabia o agitacyi w naszéj okolicy?

— Jakiéj?

— Myślą postawić wielką fabrykę, młyn czy cukrownię.

— Kto?

— Okoliczni właściciele. I jak mi mówiono, mają prosić pana hrabiego o pomoc i udział.

— Nie rozumiem.

— Najlepszy i najsilniejszy spadek wody jest w Wieszarach; następnie pan hrabia ma las, który może dać opał; wreszcie najlepsze folwarki, więc bez pana hrabiego obejść się nie mogą i chcą prosić o współudział.

— Nie lubię spółek—rzekł zimno hrabia. — Co mam zrobić, sam zrobię.

— Jeżeli zapłacą za motor—tłómaczyła hrabina—za ziemię pod budynki, dadzą dobre i pewne warunki, nie rozumiem, dlaczego miałbyś odmówić?

— Fabryka wpłynęłaby na podniesienie miasteczka — odezwał się nieśmiało p. Wosiński—i bezrolni mieliby stały zarobek.

— To właśnie jest złą stroną fabryki. Dziś robotnik się prosi

i ciśnie, a gdy będzie miał dochód poboczny, ucierpi na tém gospodarstwo folwarczne.

— Tak źle, panie hrabio, nie będzie—mówił doktór—kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu ludzi uszczerbku nie przyniosą.

Hrabia podniósł zwolna spuszczoną głowę, spojrzał na doktora i rzekł spokojnie:

— Sam nosiłem się z myślą zużytkowania téj wody, ale... my nie stworzeni do przemysłu i handlu. Ziemia, rolnictwo—to jedynie rzecz dobra dla nas.

— Lecz gdy oni ponoszą całe ryzyko ..—zaczął doktór.

— I sami się proszą—przerwała hrabina—sami zbudują...

Hrabia popatrzył na żonę i ożywiając się powiedział tonem stanowczym:

— Jeśli zobaczysz kogo, doktorze, powiédz, by mi plan podano na piśmie. Przestudyuję, obliczę i zobaczymy.

— Kto się głównie tém zajmuje?—zapytała hrabina.

— Jakiś wielki przemysłowiec. On podał projekt i prawie wszyscy się zgodzili.

— Nie ja!—rzekł zimno hrabia.

Doktór, widząc poparcie hrabiny, nie dał za wygranę i mówił goręcéj:

— Istnienie fabryki zależy tylko od pana hrabiego. W innych, pobliskich wsiach są różne braki i przeszkody, to nie ma dojazdu, to znów pola włościańskie przeszkadzają lub niedostępne brzegi, a rzecz najważniejsza to dobry spadek wód.

— Zobaczymy, zobaczymy — odpowiedział znudzonym głosem hrabia i spojrzał na zégarek.

Wkrótce salon opustoszał.

W oknach p. Wosińskiego paliło się światło do późna téj nocy. Niespokojny chodził po swym pokoju

Drażnił go chłód wyniosły hrabiny, dotykała niemiła ironia hrabiego, gniéwały słowa nauczyciela, a bolało odezwanie się Herty.

Rugiwojscy w jego oczach byli powołani do stworzenia nowéj ery w rozwoju społecznym. Ich lekceważenie, niemal wzgardliwe dla utytułowanéj i nieutytułowanéj szlachty, zrodziły w nim przekonanie, że dla nich lud jest tą wielką, pierwotną siłą, którą pragną i mogą podźwignąć i uszlachetnić.

Tymczasem dziś zimne słowa hrabiego: „o tłumie owczym, bezrozumnym" rozwiały te ułudy. I gdyby przynajmniéj Herta nie zazna-

czyła tak wyraźnie swych przekonań! — skarżył się p. Wosiński — gdyby nie potępiła tak życia ludowego! Ona chce być tylko wielką jałmużniczką! Nie chce rozumiéć, że ten lud żyje, cierpi, kocha, że może pragnąć i dążyć do celów innych. Czuł się w tym pałacu samotny, opuszczony, zgnębiony.

Jeśli ludzie chorzy umysłowo miewają przebłyski zdrowego rozumu, zdarza się to i zakochanym, mimo że zmysły ich i rozum są zamglone przez uczucie dla osoby ukochanéj.

Tego rodzaju przebłysku krytyki logicznéj doświadczył chwilowo i p. Wosiński; wkrótce jednak obrazy Herty pięknéj, łagodnéj, rozumnéj; jéj ruchy, spojrzenia, ton mowy przypłynęły falą powtórną tak silnie, że znikły poprzednie rozumowania. Wreszcie wyłoniła się myśl że słowa Herty były najlepsze, najdoskonalsze, najsprawiedliwsze; bo przecież ten lud cierpi, a ona chce mu pomódz, nieść ulgę i pociechę. Opuściły go troski i obawy, Herta w jego oczach nabrała nowych blasków i zalet, dziś bowiem miał już fakta, jéj własne słowa, gdy dotychczas tylko przeczuwał ten nowy klejnot w koronie jéj doskonałości.

XI.

Od dłuższego czasu pisma i dzienniki pomieszczały korespondencye dorywcze o emigracyi chłopów do Brazylii. Stopniowo ton tych artykułów stawał się gorętszy, omawiano przyczyny i następstwa tego wychodźtwa, opisywano nędzę tych ludzi w kraju, następnie w Hamburgu i Bremie.

Wiadomości te odczytywane w Wieszarach wywoływały grymas znudzenia u hr. Rugarda, zaledwie raz przeczytał do końca artykuł zatytułowany: „Upadek wielkich gospodarstw”, lecz gdy w liczbie majątków pogranicznych nie znalazł znanych sobie, gdy ani on, ani jego rodzina nie posiadała dóbr w téj stronie, omijał tego rodzaju artykuły, jako nudne i bezcelowe.

Odmienne wrażenie wywoływały te opisy u doktora i p. Wosińskiego. Pierwszy patrzał optymistycznie na cały ten ruch, jako na objaw samodzielności. Tego rodzaju optymizm dogadzał jego życiu obecnemu, harmonizował z usposobieniem, skłonném do używania, nie mącił spokoju i ciszy umysłu, nie poruszał popiołów marzeń już dziś przebrzmiałych. Drugi nietylko gorączkowo odczytywał tego rodzaju artykuły, tak w pismach krajowych, jak i zagranicznych, ale, o ile na

to pozwalała biblioteka hrabiego, studyował Brazylię i kolonizacyę wogóle. Na pierwsze wezwanie do składek dla emigrantów posłał całą swą skromną pensyę, wypłacaną kwartalnie.

Słowa doktora, że służąc trzeba i można być pożytecznym, gdyż hrabia może nie wiedziéć o biédnych i potrzebujących, utkwiły mu w umyśle i osądził, że teraz nadeszła chwila działania w tym kierunku.

Materyały nagromadzone w gazetach, broszury ulotne o bezrolnych, wyjaśnienia ekonomicznego stanu chłopów, przejmujące opisy nędzy, wszystko to stanowiło bodziec zbyt silny dla jego wyobraźni wrażliwéj i podnieconéj, by nie skorzystał ze swego stanowiska w pałacu; wyczekiwał tylko stosownéj chwili, nie wątpiąc o świetnym rezultacie swego wezwania i obrony.

W tym czasie złożyli wizytę hr. Rugiwojskim sąsiedzi dalecy i kuzyni, książę i księżna Korycińscy i hrabia Talniański, którzy świéżo powrócili z zagranicy.

Księstwo niemłodzi, bezdzietni, używali harmonijnie przyjemności bogatych ludzi. Obszerne majątki, puszczone w dzierżawę, dostarczały funduszów na pobyt w stolicach europejskich. Mimo pogłosek złośliwych, małżeństwo żyło zgodnie i nie było zabawy głośniejszéj w Europie, aby oboje nie brali w niéj udziału czynnego.

Hrabia Talniański, wysoki, szczupły, z zarostem rzadkim na brzydkiéj twarzy, z wystającą górną szczęką, wierzył w siłę niepokonaną tytułu, piéniędzy i w dobre konie. Po za tém i świat i ludzie byli mu obojętni i służyli znudzonemu do rozrywki.

Podczas obiadu, podanego nader wystawnie, gdy stół uginał się pod ciężarem sreber starożytnych, postanowił p. Wosiński poruszyć sprawę emigracyi brazylijskiéj.

Obecni reprezentowali milionowe fortuny, nie mieli prawie obowiązków rodzinnych, a byli tak grzeczni, tak uprzejmi, tak dobrzy, że, jak mu się zdawało, dość było kilku słów, aby ich kasy się otworzyły i z nich spłynęła pociecha i pomoc.

— Pan dawno z zagranicy?—zapytała hr. Talniańskiego hrabina Rugardowa z uśmiechem uprzejmym.

— Przed dziesięciu dniami; jednak dopiéro onegdaj byłem w domu, tydzień bawiłem w Warszawie.

— Cały tydzień? — dziwił się książę, spoglądając spłowiałemi oczami.

— Cóż w Warszawie?—pytał hr. Rugard.

— Było jakieś *corso* kwiatowe. Nędza, ale oni tém się bawią— i wydął wzgardliwie wargę górną i tak już wystającą.

— O tak, Warszawa lubi się bawić—dorzuciła księżna.

— Jeśli Bruksellę — zaczął z ironią hr. Talniański — nazywają fałszywie Paryżem małym, to Warszawa jest karykaturą *d'un faubourg de Paris.* Nudne, płaskie zabawy, bez cienia wykwintu i humoru.

— Muszę stanąć w obronie Warszawy — odezwała się Herta — bawią się jak mogą i umieją.

— I téj zabawy jest za dużo — przemówił p. Wosiński z szarego końca.

Obecni spojrzeli zaciekawieni w tę stronę, ponieważ jednak pan Wosiński był przedstawiony, nie zdradzili niczém swego żdziwienia, przeciwnie hr. Talniański podjął rozmowę i nie patrząc, zapytał obojętnie:

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Zabawa dobra jest dla szczęśliwych — odpowiedział z wahaniem zapytany—ale wobec nieszczęścia emigracyi ludu, gdy tylu ginie w Brazylii, zabawa jest ironią.

— A tak, coś słyszałem o téj emigracyi—rzekł książę.

— Czytałem i ja — przemówił hr. Rugard — ale *au fond* jest to pęd owczy tłumu, który z czasem ustanie.

— Mówiono o tém w klubie—odezwał się hr. Talniański—i jak się jeden z moich znajomych wyraził, jest to lekarstwo dawne i dobre na gorączkę.

— Jest w tém trochę prawdy—dodał książę — emigrują żywioły niespokojne i burzliwe. To uspokaja kraj.

— Jakże śmiesznie brzmią dzisiaj — rzekł hr. Rugard—te deklamacye poetów o miłości ludu do ziemi rodzinnéj!

— A tak dużo o niéj mówiono i pisano — dodała hr. Rugardowa.

Te frazesy jątrzyły młodzieńczą krewkość p. Wosińskiego, odezwał się też głucho:

— Głód zwycięża miłość!

— Głód?—podjął książę.—Dla chłopa w Królestwie dość kartofli, ale im zawsze w głowie „lasy i pastwiska", jak mówił jakiś poseł w Galicyi.

— *A propos* Galicyi. Książę Leon zaręczony z hrabianką Eulenburg, słyszała o tém księżna?—zapytał hr. Talniański.

— Poznałam go w Wiedniu, miły i dowcipny.

I daléj toczyła się rozmowa o znajomościach spotykanych w Austryi, Niemczech i we Włoszech z określeniami tak subtelnemi i oso-

bistemi, że prócz grona gości i gospodarzy nikt nie mógł wziąć w niéj udziału.

Po obiedzie, że czas był pogodny, całe towarzystwo przeniosło się na werandę. Panie utworzyły jedną grupę, panowie pijąc kawę drugą. Pan Wosiński i doktór znaleźli się pomiędzy temi dwoma grupami, tak, że uszu ich dochodziły frazesy głośniejsze pań i słowa panów.

Księżna opowiadała o przyjęciu u ambasadora angielskiego w Paryżu, którego żona miała na sobie suknię z koronek brukselskich.

Wszczęła się rozmowa ożywiona o piękności koronek belgijskich i tegorocznych modach.

— Moda w stylu Henryka III potrwa jeszcze długo, jak zapewniają krawcy paryscy, chociaż spostrzegłam lekkie nachylenie się ku dworowi Elżbiety—mówiła z namaszczeniem księżna.

— W derby wygrał koń francuski—zawołał książę dość głośno.

— Francuski?—akcentował hr. Rugard.

— Zdawało się, że Paryż oszaleje, tak wielką była radość — dorzucił hr. Talniański.

— Nie rozumiem tego antagonizmu pomiędzy Francyą a Anglią—rzekł poważnie hr. Rugard.

— A cóż? Konkurencya! — odpowiedział książę, wzruszając ramionami i zajął się słodzeniem kawy i próbą likieru.

— Pojmuję—mówił hrabia Rugard zwolna—że burżuazya i kupcy mogą konkurować w handlu, zresztą o kolonie, rybołóstwo, wpływy pieniężne... ale w sporcie? o konie?

— Gdzież nie wciskają się oni dzisiaj? — powiedział z miną pogardliwą hr. Talniański.

— Dla mnie — rozpoczął hr. Rugard, puszczając miarowo dym z cygara—wszystko jedno jaki koń, angielski, francuski, czy niemiecki, byle dobry i ładny, o nic więcéj nie pytam.

— Hrabia mówi, jak *a true sportsman*, ale ten ogół, ta masa szara musi mieć jakiś pieprzyk i oto wynaleziono konkurencyę narodową. Tak dobra zabawka, jak inna — kończył książę tonem wyrozumiałości człowieka, który przeżył i zbadał wszystko.

— Te waśnie i zawiści narodowościowe przypominają wzajemne grymasy małp—kończył hr. Rugard, otrzepując popiół z cygara.

— To prawda, lecz ubliża to témbardziéj wyścigom—oburzał się hr. Talniański. — Idzie o stajnie, a nie o narodowość. Lord, markiz czy graf, to rzecz obojętna, byle ród konia był dobry i czysty.

— Małpiarstwo gawiedzi jest istotnie przykre — westchnął książę, kończąc kawę i lekko ziewnął, zmrużywszy zmęczone oczy.

— Cała pociecha, że sport kosztuje drogo i nie dla wszystkich jest dostępny — pocieszał hr. Rugard.

— Gdyby to było przynajmniéj zamiłowanie do sportu — mówił zgryźliwie hr. Talniański—ale nie, idzie o grę, o stawkę...

— Ależ, hrabio! — przerwał książę — za dobre mniemanie masz o ogóle. Psy rzucają się na kości, nie na ostrygi!

Zaśmiali się głośniéj panowie. Lokaj zabiérał filiżanki i kieliszki po likierze, hrabia tedy zaproponował zwiedzenie stajni końskiéj.

Wraz z gośćmi wyszedł doktór i p. Wosiński, ostatni umyślnie się opóźniał, by módz opuścić towarzystwo niepostrzeżenie. Zapragnął samotności, by pozostać sam ze swoim wstydem i upokorzeniem. Po wysłuchaniu rozmowy panów przy czarnéj kawie, czuł całą niewłaściwość swego odezwania się.

Gdy uprzytomnił sobie spojrzenia, półuśmiechy i ruchy gości, gdy rozważył ich słowa, pobladł z gniewu i oburzenia. Z przedobiedniego optymizmu wpadł w drugą ostateczność, widział wszystkich i wszystko w barwach czarnych. Zwolna postać Herty bielała, a gdy przypomniał sobie jéj odezwanie się o Warszawie, wyłączył ją zupełnie z grona potępionych; następnie wyszukał zalety i okoliczności łagodzące dla hrabiny i hrabiego Rugiwojskich, i tych wyłączył, czarnymi pozostali książę i hr. Talniański, których ujemne strony sprawiały mu nawet przyjemność. Rozumował bowiem, że jeśli ci dwaj panowie reprezentują istotnie arystokracyę, w takim razie Herta nie wyjdzie za arystokratę, ani rodzice jéj nie pozwolą, a wówczas, wówczas... i nie śmiał na razie sam przed sobą wyznać, że on połączy się z Hertą ślubnym węzłem.

Tą drogą rozumowania doszedł p. Wosiński do harmonii, spokoju i nadziei lepszéj przyszłości.

Logika w miłości jest tak zbyteczną, jak pogrzéb na weselu. Czasami zdarza się i jedno i drugie, lecz w téjże chwili rzuca się na niemiłych gości zasłonę tak nieprzejrzystą, że widoczną pozostaje jedynie miłość i wesele.

I p. Wosiński postanowił czekać wyjazdu gości i poruszyć jeszcze raz sprawę pomocy dla emigracyi chłopskiéj w stosownéj chwili, nie wątpiąc o wspaniałym rezultacie swego pośrednictwa i swéj wymowy.

XII.

Nazajutrz przy drugiém śniadaniu zasiadło to samo towarzystwo, prócz doktora zajętego chorymi. Księżna zachwycała się sznurami pereł pięknych zdobiących szyję Herty. Panowie chwalili konie i porządki stajenne hrabiego, co go wprowadziło w dobry humor.

— Każ, hrabio, sportretować Szpigelberga, on zasłużył na to — mówił hr. Talniański.

— Lichego malarza nie chcę, a dobry tak się droży ze swą wizytą, że nie opłaci się sprowadzać—odpowiedział hr. Rugard.

— Hrabia ma słuszność zupełną—potwierdził książę.—Chciałem miéć portret żony w balowéj sukni. Posyłałem, chodziłem sam, prosiłem i malarz nie skończył na czas oznaczony. To światło złe, to znów usposobienie, to się obraził, dość, że zdaje się im, iż robią łaskę biorąc sutą zapłatę.

— Popsuli ich handlarze bogaci i przemysłowcy, którym dogadza pochwała dzienników, wydymających sławę takiego malarza—dodał hr. Talniański.

— Każdy kroi na artystę, a zapominają, że Rafael i Michał Anioł służyli i słuchali—rzekł hr. Rugard z dumnym uśmiechem.

— Ja lubię jednak artystów — odezwała się księżna. — Ich bal ostatni w Wiedniu był wspaniały.

— Są artyści i malarze — wypowiedział z powagą hr. Talniański—taki Makart maluje wspaniale, ale reszta...

Hrabina Rugardowa oczekiwała z niepokojem przyjemnym nazwisk malarzy polskich, którzy w swych obrazach sportretowali dawnych Rugiwojskich; usłyszawszy nazwisko Makarta, rzekła tonem lekkiéj krytyki:

— Zapomina pan o dwóch polskich artystach, jest przecież Kossak i Matejko.

— No tak, zapewne... — odpowiedział hr. Talniański, gdy inni skinęli potakująco.

— Oni są i dla mnie artystami—mówił hr. Rugard—od banalności ratuje ich treść obrazów.

— Hrabia ma zupełną słuszność — potwierdziła uprzejmie księżna.

— Gdyby im odjąć treść zaczerpniętą z dawnych dziejów, zostałaby im tylko zręczność malowania koni i krajobrazu — dodała hr. Rugardowa.

— To też malarze i pisarze uganiają się za przeszłością, bo wiedzą, że ich czeka sława i poczytność—kończył hr. Rugard.

— Co do powieści historycznéj, nie znam lepszéj aniżeli „Trzech Muszkieterów” starego Dumasa...

— Jakto, książę czytuje jeszcze powieści?—zapytał hr. Talniański z uśmiechem.—Dla mnie wystarczają dzienniki, a już w ostateczności biorę romans do ręki.

— Nie mówię dziś—bronił się książę—ale dawniéj, z nudów...

— Siedząc na wsi—rzekł hr. Rugard — przeglądam czasem nadsylane do biblioteki nowości, ale wolę dzienniki...

— Ja zaś lubię powieści — mówiła księżna, uśmiechając się często, by pokazać rząd ząbków białych — ale dobre, zaciekawiające do ostatniéj kartki, by można zapomniéć nawet o bólu głowy.

— I ja lubię przeczytać czasem takiego Cherbuliez’a, Theuriet’a, Feuillet’a lub Ohnet’a—odezwała się z pobłażliwością hr. Rugardowa.

— A pani?—spytał Hertę hr. Talniański.

— Lubię Walterskotta i Malot’a.

— Nie lubię polskich powieści—rzekł książę—zawsze jakieś jęki, nauki, stróżowanie. Nie czytam ich, gdyż powieść powinna tylko bawić.

— Istotnie ten ich świat miejski i szlachecki jest nudny — potwierdziła hr. Rugardowa.

— Trzeba jednak przyznać, że powieści polskie są moralne — odezwał się hr. Rugard.

— Co do mnie, wolę występek wesoły, aniżeli cnotę nudną—dodał książę, popijając wino.

Prócz Herty uśmiechnęli się wszyscy z uznaniem.

— Gyp byłaby niezłą— mówił hr. Talniański—gdyby nie zawiele tych fałszywych tytułów.

Ponieważ nikt nie podjął rozmowy, nauczyciel uznał za stosowne zapytać głosem słodkim:

— O jakich tytułach pan hrabia mówi?

Hrabia Talniański, bawiąc się układaniem serwety, mówił od niechcenia:

— Te księżne, markizy, hrabiny są maskaradowe. Czasem na ślepo wyjdzie prawda i to zakulisowa.

— Bronię Gyp—zawołała księżna—sądzę, że opisuje świat tytułów napoleońskich, a oni są tacy!

Zdawało się księciu, że słowa te nie są dość jasne, więc pośpieszył z objaśnieniem:

— Stara arystokracya francuska jest inną, ale marszałek z żołnierza będzie zawsze trącił żołnierzem.

— To samo możnaby powiedzieć — odezwała się hr. Rugardowa z delikatnym uśmiechem ironii—o hrabiach niemieckich i książętach włoskich.

— To prawda! Zagranica roi się niemi, chociaż i wśród Polaków ich nie braknie—mówił złośliwie hr. Talniański.

— Mam i ja takiego sąsiada. Każe się tytułować hrabią, chociaż nie wiem, czy przywłaszczył sobie ten tytuł, czy kupił?

— Słyszałem—zawołał ze śmiechem książę — że hrabia go przechrzcił.

— Zabawnym wydał mi się ten tytuł — ciągnął rozweselony hr. Rugard, dumny ze swego dowcipu—zmieniłem tylko litery i zrobił się Chlewański.

Uśmiechnęli się wszyscy; nauczyciel ośmielony wystąpieniem poprzedniém, rzucił cytatę:

— *Littera docet, littera nocet*—i śmiał się głośno.

I ten dowcip przyjęto łaskawie, tylko hrabina zachmurzyła się trochę na wmieszanie się niestosowne nauczyciela.

— Nie jestem zwolennikiem kastowości — rzekł książę, odsuwając lekkim ruchem półmisek podany przez lokaja — ale czasami przydałaby się.

— Jest w tém trochę i naszéj winy—odezwała się hrabina wzdychając—balotujemy zbyt łagodnie.

— Wina w tém zmieszaniu nie nasza, ale piéniędzy — rzuciła księżna.

— To prawda—potwierdził hr. Talniański—za piéniądze naśladują wszystko: nasz strój, nasze zabawy, nawet nasz sport!

— Nie smuć się, hrabio!—zawołał książę wesoło.—Naśladują, to prawda, ale też mamy widowisko bezpłatne!

— Istotnie zabawném jest pozowanie tych bankierów i szlachty —dodala z uśmiechem księżna, poprawiając bransoletkę na swéj ładnéj, białéj ręce.

— Ja nie lubię ani tych ludzi, ani ich pretensyi.

To odezwanie się hr. Rugardowéj tchnęło krytyką zdań gości, więc mąż pośpieszył:

— Zdaje się, że nikt z nas tego nie lubi. Poprzestanie na losie naznaczonym od Boga, jest prawdziwą zasługą.

— Lecz dzisiejsi demokraci przeczą wszystkiemu — mówił hr. Talniański, krzywiąc swą brzydką twarz i pokazując wielkie przednie

zęby — radziby w gruzy obrócić wszystko, aby uniknąć drogi pracy i zasługi.

— Silniejszą od nich była rewolucya francuska, a jednak zginęła — pocieszał go książę.

— Dla mnie człowiek bez religii, nie jest człowiekiem — rzekła sentencyonalnie hrabina. Panie westchnęły, mężczyźni skinęli głową z uznaniem. — Byłam w Rzymie z Hertą téj Wielkanocy. Ojciec święty raczył pobłogosławić dla nas obraz.

Obecni zdawali się zaciekawieni. I hrabina miała możność opowiedzenia nie tylko o uroczystościach w Rzymie, ale i o zdrowiu, wyglądzie, humorze ojca świętego z drobnemi szczególikami.

W czasie tego długiego śniadania p. Wosiński słuchał w milczeniu całéj rozmowy i zdawało mu się, że pomiędzy nim siedzącym w jednym końcu zastawionego stołu, a pomiędzy nimi powstaje z chwilą każdą większy przedział. Czuł się obcym, niepotrzebnym, zawadzającym. Zupełne pominięcie jego osoby, przekonań i zasad drażniło jego ambicyą. Spoglądał często na Hertę.

Ludzie tworzą bogów na podobieństwo swoje, więc i Herta, jako ideał i bóstwo p. Wosińskiego miała umysł i uczucia podobne do niego. Jéj ożywienie i zainteresowanie kładł na karb względów dla gości rodziców, ale ona, jego zdaniem, musiała odczuwać w głębi duszy całą płytkość rozmowy, jéj duch wzniosły spoglądał z litością i niesmakiem na tę arystokracyę, i ona nigdyby się nie zniżyła do poślubienia którego z nich, gdyż na samą myśl wzdrygnęłaby się jéj dusza wzniosła i czysta. To przekonanie zupełnie uspokoiło i pocieszyło pana Wosińskiego.

Gdy w jakiś czas po śniadaniu wyjeżdżali goście, hr. Rugard wraz z p. Wosińskim zostali chwilowo sami na tarasie. Właśnie odjeżdżał hr. Talniański, którego stangret i strzelec byli ubrani z węgierska, a na drzwiczkach powozu pod koroną hrabiowską widniała tarcza herbowa z krzyżem i podkową.

Hr. Rugard patrząc na herb ten rzekł z uśmiechem ironicznym:

— Nawet podkowy z końmi pchają się gwałtem do naszéj łodzi!

— Nie wejdą, raczéj potoną! — odpowiedział młody człowiek rad z siebie, z ludzi, ze świata.

— Masz słuszność — dodał hrabia — przerazi ich lwica!

XIII.

Jeśli szczęściem nazywa się harmonia egoizmu z otoczeniem, w takim razie p. Wosiński był szczęśliwy.

Kilka łagodnych spojrzeń Herty wystarczyło, by w zakochanym wzbudzić najśmielsze nadzieje pozyskania jéj wzajemności. Pragnienie wzbudza obrazy oaz, źródeł i chłodu nie tylko na pustyni, częściéj jeszcze przytrafiają się one w życiu uczuciowém. Miłość na równi z wiarą znosi góry, wypełnia przepaście i ściele drogę różaną. Tém łatwiejsze zwycięstwo odniosła miłość w tym razie, gdyż p. Wosiński czuł się godnym Herty. Był przekonany, że nikt, nigdy nie kochał tak, jak on, i że chwila ich połączenia będzie zarazem uszczęśliwieniem tysięcy. Już dziś nie fermy wzorowe były celem jego marzeń, ale obok nich istniały w każdéj wiosce kasy zapomogowe, oszczędnościowe, ubezpieczające: budynki, inwentarz i posiewy. Z dobrobytem materyalnym rósł dobrobyt moralny w stosunku geometrycznym. Karczmy stały się klubami, szkoły, ochrony, szpitale były świetnie uposażone. A wszystkie te cuda zrobiła Herta i on. Marząc o tém, tém bardziéj ją kochał i uwielbiał.

Fałszywą nutą tego solowego śpiewu była niezałatwiona sprawa emigracyi brazylijskiéj, przypominająca się nieustannie przez dzienniki.

Kilka dni zwlekał oczekując sposobności przyjaznéj i usposobienia dobrego hrabiostwa, lecz te obawy wydały mu się zbyt ostrożne, postanowił działać.

— Dzisiejsze dzienniki przyniosły smutną wiadomość — przemówił hrabia—księżniczka Marya Rymwidówna umarła.

— Czyż możliwe? — ździwiła się hrabina.

— Są depesze z Włoch.

— Szkoda jéj! — zawołała Herta. — Gdyśmy ją spotkały z mamą, wydawała się zdrowszą, była taka dobra, piękna.

— To dziwne — rzekła hrabina. — W rodzinie nie ma dziedzicznych suchot, a ona umarła na suchoty!

— Była jedynaczką — zaczął hrabia po chwili — więc majątek przejdzie na brata księcia Rymwida.

— Majątki napewno — mówiła żona z namysłem — ale czy i kapitały? wątpię. Rymwidowa nie lubi brata, pewno zapisze gotówkę na cele dobroczynne.

— Czemuż nie jestem jéj doradcą? — odezwał się p. Wosiński.

— Skądże to pragnienie? — zapytał hrabia.

— Pani hrabina powiedziała, że księżna zapisze fundusze na cele dobroczynne; gdybym był doradcą, prosiłbym i błagał, by część majątku użyła na pomoc chłopom w Brazylii.

— Dobrze, — rzekł hrabia — ale do czego to doprowadzi? Jeśli idzie o koszta powrotne do kraju, stracone pieniądze, bo nowi emigranci napłyną.

— O nie! — zawołał młodzieniec — nie myślę o powrocie. Dziś już liczą tam dziesiątki tysięcy chłopów; ziemia w Brazylii tania, można zakupić olbrzymie obszary, całą prowincyę i tam osadzić chłopów. Czemuż nie jestem bogaty?—kończył ze skargą w głosie.

To wydało się tak zabawném hrabinie, że zapytała:

— I cóż byś zrobił?

— Poświęciłbym wszystko dla tego nowego kraju, któryby powstał bez więzów tradycyi.

Hrabia uśmiéchnął się sceptycznie i rzekł:

— Mój kochany, każdy kraj powstał z kolonizacyi, i Rugiwojscy sami kolonizowali olbrzymie przestrzenie, a co się stało? jaki koniec?

— Ależ tam inne warunki — bronił z zapałem p. Wosiński — ludność pierwotna licha i wymierająca, tam „nie pługiem i mieczem" ale pracą chłopską zdobywa się ziemię.

— Gdybym była bogatą — odezwała się Herta — nie żałowałabym pieniędzy na cel taki. Tylu ludziom zapewnić szczęście, dobrobyt i spokój, to dosyć!

— Marzysz o Ikaryi? — dodała hrabina z ironią.

— Nie łudzę się mamo, ale pomódz nieszczęśliwym jest przecież obowiązkiem.

— Pani hrabino, tu niema złudzeń — mówił p. Wosiński. W Ameryce, jak poucza historya, prowincye i miasta rosną szybko, a cóż dopiéro przy napływie tylu emigrantów! Powstanie miasto, szkoły, uniwersytet, marynarka...

— Zostań poetą! — zaśmiał się hrabia.

— I cóż daléj z tą Brazylią? — zapytała pani kończąc potrawę.

— Dzienniki opisują straszną nędzę emigrantów i wzywają do składek.

— A prawda! — zawołał hrabia, zwracając się do żony — widziałem w książce kasowéj wysyłkę pensyi Stanisława na składkę dla emigrantów.

Herta wiedząc o jego skromnéj pensyi spojrzała zdziwiona.

— Posłałem, ile mogłem.

Te słowa podziałały na hrabinę, która spojrzała wymownie na męża. Ten skinął głową i odpowiedział z cicha:

— Dobrze. Zrobi się.

Herta usłyszawszy te słowa, zwróciła się do ojca:

— I ja mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy, ojciec je weźmie?

— A dobrze.

Ten rezultat ucieszył bardzo p. Wosińskiego, widział w nim bowiem i zapowiedź powodzenia osobistego.

Przy czarnéj kawie na werendzie poruszyła Herta znów kwestyę emigracyi:

— Ojciec nie wierzy w kolonizacyę?

Hrabia milczał zapalając cygaro, po chwili odpowiedział:

— Kolonizacya jest możliwą, ale już w drugiém pokoleniu chłopi będą hiszpanami.

— Nigdy! — oburzył się p. Wosiński. — Chłop nie rzuca swéj narodowości, dla niego to nie rękawiczka, ale ręka.

Hrabia uśmiechnął się ironicznie:

— A Rzym? A Grecya? I tam byli chłopi.

— To były państwa, nie narody.

— Niech i tak będzie — zaczął hrabia obojętnie. — Dla mnie idea narodowości to przesąd chwilowy, chociaż jak nie zmieniłbym barwy herbu, tak nie zmienię narodowości. Jest w niéj pewna odrębność tradycyjna. Jestem zresztą konserwatystą, bo mam co konserwować, ale chłop?!

— O i chłopi są konserwatystami, weźmy np. Czechy...

— I tam są rody dobre, stare, — odezwała się hrabina. — Poznałam kilku magnatów czeskich w Wiedniu, bardzo przyjemni ludzie.

— Czy widziałaś teraz starego Weissenburga? — zapytał hrabia zainteresowany.

— Był na balu u ministra, prawie się nie zmienił. Poznałam też... — tu wymieniła kilka nazwisk.

Rozmowę żywą o znajomościach wiedeńskich przerwało wejście lokaja meldującego przyjście rządcy.

— Stało się coś niezwykłego, — rzekł hrabia wstając — chodźmy Stanisławie.

Hrabia wysoki, z pochyloną głową, podniesionemi ramionami, prawie chudy, wydawal się sztywnym i starszym przy młodym p. Wosińskim.

Wcale nie porównywała ich hrabina, ale zauważyła wzrost i przyjemne ruchy młodego człowieka i rzekła półgłosem:

— Może się i wyrobi!

— Kto? Mamo!

— Ten Wosiński.

— Zdaje mi się, że już skorzystał — mówiła poważnie Herta, zauważyła bowiem, iż od pewnego czasu opuściła go sztywność i nieśmiałość.

— Jeszcze surowy materyał; nadto egzaltowany.

— Poprawi się w towarzystwie ojca.

— Ojciec jest nadto pobłażliwy. Pozwala mu mówić o jego demagogii, emigracyi... z takimi trzeba być na ostrożności i trzymać zdaleka.

— Tak mamo.

Lekki chłód wieczoru powiał od rzeki, hrabina wstała:

— Nie zimno ci Herto?

— Nie mamo.

— Idę do pokoju. Zostajesz?

— Jeszcze chwilę.

Słońce zachodziło pokryte lekkiemi chmurami. Od barwy purpurowéj do lekko różowéj, od fioletu do jasnego seledynu drgał cały zachód, rzucając ostrzejsze blaski promienne na falującą powierzchnię przepływającéj rzeki.

Na razie przyrównywała Herta ten widok do palety malarskiéj, ale silna purpura tarczy nasunęła jéj przypomnienie słońc, przyświecających purpurowo innym nieznanym ziemiom. Ta myśl nasunęła jéj p. Wosińskiego, opowiadającego o niebie gwiaździstém.

Niwelujące prądy wieku przenikają mimo najbardziéj zapobiegawczych przeszkód, więc i Herta, jakkolwiek wychowana w wyrafinowanéj klauzurze rodowéj, pozwalała sobie w samotności na porównywanie p. Wosińskiego z młodzieżą arystokratyczną.

Z tych porównań wychodził on prawie zwycięsko, miał wprawdzie wady wychowania zaniedbanego; nie był zawsze równy w układzie; używał słów i zwrotów niewłaściwych; ale był jeszcze tak młody i gdyby żył w innych warunkach... Szkoda że on jest tylko sekretarzem jéj ojca...

Gdy po zachodzie słońca szła do pokoju, sformułowała sobie jasno swe przekonanie, że jednak ten pan Wosiński jest inny, aniżeli bywają ludzie z jego sfery!

XIV.

W gabinecie przechadzał się hr. Rugard wielkiemi krokami, rzucając od czasu do czasu pytania rządcy, stojącemu niedaleko drzwi, gdy p. Wosiński czytał z zajęciem papiery.

— Kto dał p. Dołsunowskiemu papiéry i projekta fabryczne? — zapytał po raz wtóry.

— Plenipotent hr. Chowańskiego — odpowiedział skromnie rządca.

— I co powiedział?—badał hrabia wstając.

— Trzech obywateli przyjechało do doktora wraz z plenipotentem, który oddał mi papiery z prośbą wręczenia panu hrabiemu.

— Dobrze. Któż przyjechał do doktora?

— Plenipotent powiedział mi nazwiska, ale zapomniałem.

— Przychodząc z raportem do mnie, trzeba wiedzieć z czém i od kogo się przychodzi — mówił twardo hrabia, rozpoczynając swój spacer na nowo.

Rządca milczał wpatrzony w posadzkę wzorzystą.

P. Wosiński odłożył papiéry i spojrzał na hrabiego. Ten stanął przed biurkiem i zapytał:

— Jaki projekt?

— Zostawiają panu hrabiemu do wyboru albo młyn, albo cukrownię. Do postawienia i urządzenia młyna trzeba 200,000 rs.; téj saméj sumy trzeba na cukrownię, prócz gruntu, motoru i zobowiązań co do rodzaju ilości produktów.

— I proponują?

— Większość jest za młynem, ale czynią to zależném od decyzyi pana hrabiego. Gotowi płacić za ziemię pod budynki.

— Dobrze. A za motor?

— O motorze nie ma wzmianki.

— Żadnéj?

— Nic.

— Może źle przeczytałeś?

— Nie ma.

— Niechże mi dadzą spokój ze swémi fabrykami. Jeśli tak głównéj rzeczy nie rozumieją, to i mówić nie warto.

— Pan hrabia ma zupełną słuszność — ośmielił się powiedzieć rządca.

Hrabia spojrzał lekceważąco w stronę głosu i odwracając głowę ku oknu mruknął dość głośno:

— Także uznanie! — i skrzywił usta do uśmiechu ironicznego.

W téj chwili drzwi się uchyliły i kamerdyner anonsował:

— Pan doktór!?

— Niech wejdzie — i zwracając się do wchodzącego zapytał — cóż doktorze?

— Stosownie do polecenia p. hrabiego kazałem złożyć projekta u p. Dołsunowskiego; widzę, że są już w ręku.

— A są — rzekł hrabia ze skrzywieniem.

— Powiedziałem projektodawcom, że odpowiédź otrzymają późniéj.

— Mogą dostać i zaraz — mówił hrabia lekceważąco.

— Jakto? dlaczego? — pytał doktór, patrząc po obecnych.

— Przeczytaj doktorze projekt, dowiész się dlaczego — odpowiedział hrabia głosem znużonym i usiadł wygodnie na fotelu.

Doktór czytał uważnie, przejrzał kosztorys i rzekł:

— Wszystko w projekcie zależy od woli p. hrabiego, a wiem, że nie będą się spierali ani o sumę dzierżawną za ziemię, ani téż o inne warunki.

— A motor? — zapytał hrabia, zapalając cygaro.

— Motor? Motor? — powtórzył doktór.

— O nim nie ma wzmianki — pozwolił sobie powiedziéć rządca.

— To prawda, ale można przecież postawić w warunkach p. hrabiego. Za wszystko chcą i będą płacili.

— Skądże ta pewność doktorze?—wycedził z ironią hrabia.

— Mówili mi ci panowie, że znając p. hrabiego piszą się z góry na wszystkie warunki.

— A więc? — zapytał hrabia.

— Za ziemię pod budynki i drogi będą płacili roczną dzierżawę. Chcą wprawdzie kupić, ale uprzedziłem że p. hrabia się nie zgodzi na sprzedaż.

Hrabia kiwał głową potakująco, gdyż zapał doktora podziałał i na niego, ożywiły się oczy i wyrazem twarzy zachęcał mówiącego.

— Sądzę, że 50 rubli za morgę rocznie, można będzie postawić...

— A motor? -- zapytał hrabia z uporem.

— Motor? Nie wiem na razie jaką ma wartość, ale widzę z projektu, że paliwo kosztowałoby około 20,000 rs. rocznie; więc za motor można zażądać połowę, czyli 10,000 rubli.

— No tak, zapewne — mówił weselszym tonem hrabia — za ziemię i drogi 2,000 rubli, za motor 10,000 rubli razem 12,000 rub., ładny dochód! Tylko żadnych spółek, niech biorą w dzierżawę i koniec. O warunkach prawnych pomówi mój adwokat.

— Więc mogę tych panów zapewnić, że p. hrabia zgadza się na projekt?

— Na 12,000 rub. rocznéj dzierżawy zgadzam się — mówił hrabia, jak gdyby ulegał prośbom.

— Panowie ci proponują zjazd celem omówienia warunków.

— Zjazd? Przecież nie u mnie, ani u nich?

— W mieście, grunt neutralny.

— Wybadaj doktorze, czy się zgodzą na moje warunki, a wówczas zobaczymy.

Doktór wahał się chwilę, popatrzył na rządcę milczącego, na pana Wosińskiego rozpatrującego projekt, i jak gdyby nieruchoma twarz hrabiego go natchnęła, zaczął mówić:

— Panie hrabio! Sądzę, że pojawienie się osobiste, kilka słów, podziała najskuteczniéj, usłuchają bez dyskusyi. Dla dobra całéj okolicy niech pan hrabia poniesie ten trud.

— Za gorąco przemawiasz doktorze!

— Bo taki młyn podniesie nie tylko cenę zbytu zboża, ale przyczyni się do bogactwa majątku i prowincyi.

Milczący dotychczas p. Wosiński odezwał się:

— Pan doktór słusznie podnosi znaczenie przerobu surowych produktów; podniesie się majątek i miasteczko.

— Od moich warunków nie ustąpię — rzekł hrabia zwolna.

— Warunki zależą od wspólnéj umowy — odpowiedział młody człowiek.

— Oni mogą się wspólnie umawiać, nic mi to nie szkodzi; ale moje warunki, ja dyktuję — powiedział hrabia stanowczym tonem.

— Ależ naturalnie! — zawołał doktór. — Byle pan hrabia zechciał osobiście poprowadzić sprawę. Oni proszą o termin.

— Termin? hm... Kiedyż?

— Możeby tak w przyszły wtorek? — radził doktór.

— Wtorek? Niech będzie i wtorek. Męczy mnie już ta historya i te propozycye.

Na te słowa poruszyli się obecni i składając ukłony pożegnalne, wyszli.

Doktór pospieszył do domu, gdyż delegaci czekali na odpowiédź. Powiedział im o dniu zjazdu, wspomniał głucho o cenie dzierżawnéj ziemi i motoru, ale bliższych szczegółów unikał, rachując na wpływ osobistego zjawienia się hrabiego wśród sąsiadów i na możność obniżenia warunków do dnia zjazdu.

Dotychczas działał doktór powodowany próżnością. Pochlebiało mu, że obywatele okoliczni użyli jego pośrednictwa do hrabiego, uzyskał też żądany przez nich termin zjazdu, i nie wątpił, że sprawa młyna postawi go lepiéj w opinii hrabiego i hrabiny.

A gdy delegaci, zadowoleni ze swéj misyi, nie szczędzili mu słów słodkich, obietnic i wyrazili przekonanie, że tylko takiego plenipotenta powinien mieć hrabia, doktór bez walki wewnętrznéj przyszedł do przekonania, że istotnie stanowisko administratora byłoby dogodniejsze i ważniejsze, aniżeli służba lekarza w pałacu.

Pożądając miejsca administratora, łatwo znalazł przyczyny i dowody popierające jego życzenie.

Wszak to on zrobił p. Dołsunowskiego rządcą; on kieruje sprawą młyna; jego zdanie decyduje często w sprawach domowych hrabiostwa, i gdyby nie było Wosińskiego stałby się nieodzownym... Ale tego jakoś się usunie, jest za młody, za gorący i zbyt zakochany, prędzéj czy późniéj powinie mu się noga...

I uśmiechnął się do marzenia swego: zostania plenipotentem hrabiego. Na razie majątek nie jest tak wielki, ale gdy umrze wuj hr. Jasmund, gdy im dostaną się w udziale dobra, fabryki, kapitały... wówczas on wypłynie.

Za tyle lat pracy i nauki, cóż mu daje medycyna? Zaledwie średnie utrzymanie, a ile niepokoju i przykrości i w dzień i w nocy! A tu, jedna, druga sprawa poprowadzona pomyślnie, i w jednéj chwili z nizin wstępuje w świat bogactwa, używania, wpływu!

Tegoż dnia obmyślił plan działania. Przedewszystkiém podniesie i rozdmucha sprawę młyna, bo kto wié, czy nie ta droga doprowadzi go do celu. Bez zwłoki dowié się u techników potrzebnych szczegółów; przez hrabinę wpłynie na ustępstwa możliwe hrabiego; następnie będzie pilnie obserwował stan gospodarki i musi się stać niezbędnym.

Na drugi dzień raniutko wyjechał po informacye do miasta i tegoż dnia zjawił się w pałacu na wizycie zwykłéj, lekarskiéj.

XV.

Karzeł Paweł z uśmiechem łaskawie ironicznym na twarzy staréj i zmęczonéj szepnął doktorowi w przedpokoju swym bezdźwięcznym głosem:

— Przyjechał dziś hrabicz Jasmund.

— Przyjechał? — powtórzył doktór zdziwiony, gdyż wiedział, że syn hr. Rugarda miał bawić jeszcze tydzień u swego dziadka.

— Niespodziewanie. Końmi najętemi — dorzucił cicho Paweł.

Meldujący kamerdyner wskazał doktorowi górną werendę. Hrabia Rugard kołysząc się w amerykańskim fotelu palił cygaro słuchając syna. Matka zarzucała go pytaniami. Młody hr. Jasmund, wysoki, szczupły blondyn posiadał rysy twarzy dziedziczne, nos orli, delikatny, spuszczony na ładne usta ocienione blond wąsikami, czoło z kątami silnie zaznaczonemi, brwi ostro zarysowane i ręce białe, wypieszczone, wąskie, które trzymał to bezwładnie na kolanach, to w kie-

szeniach bonżurki. Oczy niebieskie, zmęczone patrzyły badawczo, ale spokojnie.

Z doktorem przywitał się uprzejmie z odcieniem serdeczności.

— Widzisz doktorze, jaka niespodzianka — zaśmiał się cicho hr. Rugard.

— Tak miléj nie spodziewałem się.

— Jasmund miał zabawić jeszcze dni kilka u dziadka — przemówiła hrabina — ale zatęsknił i przyjechał do nas. Około ust syna przewinął się uśmiéch i rzekł patrząc na doktora:

— Po klauzuli naukowéj wpadłem w klauzulę szpitalną, chciałem nareszcie odetchnąć w domu.

— Jasmundzie! — odezwała się hrabina z wymówką — cóż to za studenckie frazesa, mówisz o dziadku.

— Młodość! Młodość! — uśmiechał się doktór przyjemnie.

— Życie nasze jest obowiązkiem, nie zabawą — przestrzegała hrabina poważnie.

— O tak! — odezwał się hrabia, patrząc na syna. — Jak tylko wypoczniesz, pojedziemy na objazd majątku, musisz przywyknąć do pracy obowiązkowéj.

Syn przyjął spokojnie naukę rodziców, a zwracając się do ojca, zapytał tonem zaciekawienia:

— Podobno ojciec ma nowych oficyalistów?

— A tak, nowy rządca protegowany doktora, i Wosiński, młody chłopak, ale zdolny.

— Wosiński! — przypominał sobie hr. Jasmund.

— Nasz stypendysta dawniejszy, a dziś słaba strona twego ojca — dodała z ironią matka.

— Słaba strona, to nie; ale porządny, uczciwy, pracowity, chociaż jeszcze gorączka.

— Pan hrabia zbyt dobry, a to psuje chłopca — dorzucił doktór politycznie.

— Zapomina doktór — uśmiechnęła się drwiąco hrabina — że Wosiński jeździ konno, doskonale.

Hrabia udał, że nie rozumié złośliwéj uwagi i huśtając się szybciéj na fotelu mówił do syna:

— Wiész, że lubię jazdę konną i znam się na niéj i powiadam ci, zresztą zobaczysz sam przy pierwszéj sposobności, że on umié dosiadać koni i siedzi jak ulany, ani drgnie.

Syn popatrzył porozumiewawczo na matkę i z uśmiechem rzekł:

— Dobra konna jazda, jest zapewne jedną zaletą więcéj dla gospodarza, ale...

— Chciałbym, abyś ty tak jeździł — przerwał mu ojciec poważnie.

I na odgłos dzwonka poszli do sali jadalnéj.

Pan Wosiński przedstawiony przez hrabiego, powitał hr. Jasmunda z wylaną serdecznością, nie tylko jako brata Herty, ale kierowany bezwiednem uczuciem związku młodego z młodym.

— Jak to dobrze, że pan przyjechał! — mówił ściskając podaną rękę.

Na spokojnéj twarzy hr. Jasmunda przesunął się uśmiéch, który zarówno mógł oznaczać łaskawość, jak i zdziwienie z téj niespodziewanéj serdeczności.

Przy obiedzie odezwania się p. Wosińskiego przyjmował hrabicz zimno, patrząc porozumiewawczo na matkę, natomiast okazywał szczególną sympatyę doktorowi.

Hertę zdziwiło postępowanie brata, a ulegając bezwiednie atmosferze niechętnéj dla p. Wosińskiego i ona stała się chłodniejszą, bardziéj dumną, aniżeli zwykle.

Po skończonym obiedzie hrabicz zaproponował doktorowi przechadzkę w parku, zapalili papiérosy i młody rzekł:

— Ten Wosiński, istotnie zabawny!

— Psuje go łaska hrabiego, byłby zresztą niezły.

— I cały rok tak żyjecie, jak dzisiaj? — zapytał hr. Jasmund z westchnieniem.

— Prawie zawsze, chyba że czasem, ale to bardzo rzadko przyjadą goście.

— Życie ostryg! — mruknął niechętnie.

— Konserwujemy się — zażartował doktór.

— To dobre dla rodzieów, ale Herta, ja...

— I to minie — pocieszał doktór.

— Macie co nowego w sąsiedztwie?

— Jest kilka ładnych panien — objaśniał zapytany.

— Szlachcianeczki! O nie! Za dużo dumy, za mało rozumu, a w karty grywacie?

— Marne partyjki; czasem zjadą się do mnie, ale grają licho i tanio.

— Co za kraj!? — westchnął młody—ani kobiet, ani gry. Więc co robicie?

— Wegetujemy.

Mówiąc tak ze sobą doszli do wjazdowéj bramy w chwili gdy drogą przejeżdżała bryczka a na niéj pani Dołsunowska z córką.

Doktór ukłonił się, odbierając uśmiechy przyjacielskie.

— A to kto? — zapytał młody.

— Żona rządcy Dołsunowskiego z córką.

— Ładna dziewczyna.

— Bardzo ładna — potwierdził doktór — ale młoda i naiwna.

— Tém lepiéj. Bywa kto u nich?

— Z okolicy nikt, a z naszych Wosiński...

— Dobry ma gust. I nikt więcéj.

— Czasem i ja zachodzę.

— Także raniony? — zaśmiał się młody hrabia.

— O nie! — zaprzeczył szybko — lubię ją, jako twarz ładną.

— Nie wierzę w platonizm dla żywéj kobiety.

— Ja téż nie mówiłem o platonizmie — zaśmiał się doktór.

— A reszta oficyalistów, uposażeni także w ładne żony, córki?

— Nie. Prócz Jani, nie ma żadnéj.

— Jak na imię? jak?

— Jania, zdrobniałe od Janina.

— Słyszałeś pan, że ojciec chce bym się zajął zarządem, dobrze. Najpierw skontroluję rządcę i jego córeczkę.

— Słusznie i sprawiedliwie — zaśmiał się doktór głośno, chociaż cyniczny ton słów hr. Jasmunda o Jani na razie go zabolał, ale pomyślał, że dla takiéj fraszki nie może narażać swéj przyszłości świéżo uplanowanéj.

Rozmawiając o koniach, zbliżyli się do pałacu. Na schodach oczekiwał ich hr. Rugard:

— A co słychać, doktorze, w mieście podobno byłeś?

— Byłem w interesie młyna przyszłego.

— Jaki młyn? — zapytał hr. Jasmund.

— A to historya długa—odrzekł ojciec—opowiédz mu doktorze.

W téj chwili wyszła hrabina z Hertą z pałacu i połączywszy się z panami, szli wszyscy w głąb parku. Doktór spoglądając często na hrabinę, szukając wrażenia swych słów, opowiadał szczegółowo o młynie, o informacyach zasiągniętych u techników i kończył zjazdem zapowiedzianym na wtorek.

— Plan bardzo dobry — pochwalał młody — za liche nieużytki i nieczynny motor 12,000 rubli. Interes świetny i jeśli doktór przeprowadzi go do końca, nazwę sztuką metternichowską.

— Wszystko zależy od pana hrabiego, — objaśnił doktór daléj, — gdy pan hrabia zechce osobiście stanąć na zjeździe i przemówi, ręczę za rezultat.

— Dla czegóż nie miałby hrabia pojechać?—zapytała z lekkiém zdziwieniem hrabina zwracając się do doktora.

— Tak dawno nie widziałem téj polskiéj szlachty — zawołał młody — że zazdroszczę ojcu wrażeń!

— Pojedź ze mną — rzekł hr. Rugard. — Nie wypada nawet, byś się odsuwał od służby publicznéj.

— Naturalnie, naturalnie — zachęcał doktór.

Po twarzy młodéj i ładnéj hrabicza przemknął uśmiéch ironiczny:

— Jeśli ojciec sobie życzy, pojadę.

— A co mówisz o młynie? — zapytała matka.

— Zdaje mi się, że motor jest za drogo obliczony...

— Co do motoru — podchwycił doktór — technicy sądzą, że ceną najsprawiedliwszą i najdogodniejszą, byłaby opłata od korca zmełtego zboża.

— Jakto? — pytał hrabia.

— Młyn, dajmy na to, przerabia dziennie 100 korcy, za każdy korzec płacą panu hrabiemu 20 kop. czy 30 kop. Przy zwiększonéj pracy, zwiększa się i dochód. *Minimum* przemełcia można zastrzédz umową, a taki motor podoła i 300 korcom.

— Ładny dochód — szepnął młody.

— Wolę jednak pewne 10,000 rubli — upiérał się hrabia.

— Akcyonarysze, panie hrabio, mogą stawiać zastrzeżenia przy mrozach, powodziach, i mieliby słuszność. Przestraszy ich zresztą suma roczna 10,000 rubli. Ale 20,000 rubli, byle kopiejkami nie zwróci ich uwagi. — uśmiechał się doktór — to naszéj szlachty logika i psychologia.

— Pan doktór ma zupełną słuszność — wmieszała się hrabina.— Opłata od korca zboża jest sprawiedliwą; motor zmełł, za motor się płaci.

— Zobaczymy, zobaczymy — mruczał hrabia.

— Przywiozłem szczegóły techniczne — mówił doktór — i jeśli pan hrabia pozwoli, przedstawię je w gabinecie.

— Dobrze. Ale późniéj, późniéj — odpowiedział obojętnie.

— Interesuje mnie ta sprawa — mówił młody — przejrzymy ojcze razem.

— W każdym razie Wosiński mógłby wygotować referat o młynie, bo to już sobota — nalegał doktór.

— Każę mu wygotować — powiedział machinalnie.

— Wobec zebranych przezemnie materyałów będzie miał lekką pracę — dorzucił doktór.

— Gdzież ten młyn zbudują? — zapytała Herta milcząca dotychczas, gdyż była zajęta układaniem bukiecika.

— Za miasteczkiem ma stanąć, tam gdzie stoi stary młyn — objaśnił doktór.

— Jak to dobrze, że nie pod parkiem — mówiła Herta.

— Nie pozwoliłbym na to — odezwał się ojciec.

— A co się stanie ze starym? — zapytał młody.

— Stary? — powtórzył ojciec zakłopotany.

— Może zostać — pospieszył z odpowiedzą doktór. — Nowy mełłby tylko pszenicę, a żyto i mlewo chłopskie przerabiałby stary młyn.

— A tak, to dobrze — odrzekł hrabia zadowolniony

— I mnie cieszy, że młyn stary zostanie, przyzwyczaiłam się do jego widoku, gdy jedziemy w tę stronę.

— Uprawiasz Herto, jak widzę, sztuki piękne — zadrwił brat — nawet z młynami staremi.

— A ty? — powiedziała zarumieniona, nie znajdując na razie stosownéj odpowiedzi.

— Nie myślę o poezyi. Wolę dochód ładny, aniżeli klekot stary.

Hrabina słysząc ten spór, zwróciła się do doktora:

— Jeśli młyn się uda, to tylko zasługa p. doktora.

— Złoży pan dowód nielada dyplomacyi — dodał przyjaźnie młody — bo zdobył pan nie tylko akcyonaryuszów, ale co trudniejsze chyba było, ojca.

Doktór spuścił skromnie oczy i odpowiedział:

— Z majątku, mojem zdaniem, należy wyciągnąć możliwe korzyści, w przeciwnym razie staje się on nieprodukcyjnym.

— Ekonomiczna zasada zachodu, — rzekł młody — ale u nas po staremu.

— Czy źle idzie, poznasz po zbadaniu majątku — odezwał się hrabia z goryczą lekką. — Kiedy zaczniesz objazd?

— Chociażby jutro. Proszę tylko o wyznaczenie koni.

— To rzecz najmniejsza. Chodźmy do stajni, dam rozporządzenie koniuszemu.

— I ja z ojcem — zawołala weseléj Herta.

— Może i mama pójdzie? —zapytał syn miękkim głosem.

— Idziecie wszyscy, pójdę i ja — odpowiedziała z uśmiechem.

Wprost z parku, przez ujeżdżalnię szli ku budynkom stajennym. Z chwilą wstąpienia do stajni twarz i ruchy hr. Rugarda uległy widocznéj zmianie. Znudzony i zmęczony w parku, stał się rześkim, zabłysły oczy, glos był dźwięczniejszy, ruchy elastyczniejsze. Po krótkiém wahaniu wybrał konie i kazał je przeprowadzić, korzystając z obecności rzadkich świadków.

Nie skończył się przegląd, gdy nadjechał konno p. Wosiński.

— W sam czas przyjechałeś! — zawołał hrabia. — Pokażesz Jasmundowi swoją sztukę.

Zagadnięty zawahał się z odpowiedzią; odczuł bowiem teatralność widowiska i szukając wymówki rzekł:

— Koń bardzo zmęczony, może innym razem.

Doktór chcąc się przypodobać, zawołał:

— Cóż się pan tak wzdraga?

Pan Wosiński niezadowolniony, odpowiedział chmurząc się:

— Bo nie chcę.

Ta odmowa podrażniła hrabiego i rzekł:

— Lecz jeśli ja cię proszę?

Prośba brzmiała wprost jak rozkaz. Pan Wosiński zmieszany popatrzył na obecnych. Jedna Herta czuła surowość wymagania, gdy hrabina i hrabicz śledzili z uśmiechem ironicznym przebieg rozmowy.

P. Wosiński skłonił się i rzekł głucho:

— Jeśli p. hrabia żąda, niechże mi podadzą innego konia.

I te słowa nie podziałały na hrabiego, który przejęty końmi, stajnią, nawet nie przypuszczał, że robi przykrość swém żądaniem.

— Zobaczy pan —zwrócił się doktór do hr. Jasmunda — jakich to my mamy kawalerzystów!

— Ciekaw jestem — odparł obojętnie.

Wyprowadzono Szpigelberga na arenę. I pan Wosiński dosiadł go w biegu z prawéj strony.

— Jeszcze z lewéj!—zapalał się hrabia, i zwracając się do syna zapytał: — A co wieziałeś?

— W cyrku widziałem lepszych woltyżerów, ale to dobra sztuczka.

W téj chwili p. Wosiński trzymając lekko lejce, gotował się do skoku; lecz czy źle obliczył bieg konia, czy téż był zmęczony jazdą całodzienną, dość że zamiast skoczyć na siodło, usiadł na zadzie konia. Szpigelberg wierzgnął gwałtownie i p. Wosiński spadł, otrzymawszy uderzenie kopytem tylném.

Hr. Rugard krzyknął na masztalerzy, by schwytali konia i czekał podniesienia się p. Wosińskiego z ziemi. Ten podźwignął się z trudnością i byłby upadł, gdyby nie stajenny, który go podtrzymał.

Herta pobladła, ale widząc zwrócone na siebie oczy brata uśmiechnęła się z przymusem. Hrabina nachmurzona rzekła z cicha po angielsku do męża:

— Ładny koniec, jeszcze złamał nogę!

Hrabia chciał właśnie wysłać doktora, gdy ten nie czekając wezwania podszedł spiesznie do pana Wosińskiego, idącego z wysiłkiem wielkim przez ujeżdżalnię ku stajni, z któréj dochodziły rżenia. Hrabia widząc chorego pod opieką doktora, poszedł pospiesznie do stajni.

Pani hrabina z wyrazem współczucia zrobiła kilka kroków na spotkanie kulejącego, mówiąc tonem serdecznym:

— Co za nieszczęście! Jakże się czujesz?

— Drobnostka! Stłukłem nogę.

Ta odpowiédź wywołała leciutki uśmiéch ironii u hrabiny i syna, ale nie zmieniając tonu, zwróciła się do doktora:

— A co sądzi pan doktór?

— Muszę obejrzéć nogę — a usłyszawszy bolesne syknięcie rzekł do ludzi podtrzymujących chorego: — Ostrożniéj! Może są nosze lub krzesło podajcie i przenieście p. Wosińskiego do jego pokoju! — następnie zwrócił się do hrabiny stojącéj z córką i synem: — Po opatrzeniu dam znać pani hrabinie — i skłoniwszy się poszedł za chorym.

Hrabina z rodziną poszła ku pałacowi.

Gdy pan Wosiński podtrzymywany z obu stron przechodził obok stajni, wyszedł hr. Rugard, popatrzył na twarz jego bladą i cierpiącą, i rzekł:

— Cóż stłukłeś się trochę?... Jaka szkoda, że ci się nie udało!? Jednak ten Szpigelberg łagodny, inny byłby cię stratował.

Pana Wosińskiego wniesiono na rękach do jego pokoju. Doktór opatrzył nogę, prócz wywichnięcia w kolanie miał obrażoną kość uderzeniem. Doktór rozporządził potrzebne środki opatrunkowe, oddał chorego opiece lokaja, i poszedł do hrabiego, nie tylko, by powiedziéć o stanie chorego, ale by zarazem przeprowadzić sprawę młyna według swego planu.

Idąc kurytarzem, spotkał Hertę, która zatrzymała go pytaniem:

— Co się dzieje z panem Wosińskim?

— Nic nadzwyczajnego. Zwykłe wywichnięcie i stłuczenie, za dziesięć, dwanaście dni będzie zdrów.

Herta uśmiechnęła się, obawiała się bowiem złamania nogi i raczéj z ciekawości, aniżeli z współczucia, zapytała:

— Czy on bardzo cierpi?

— Ból jest dotkliwy, to szczęście, że koń nie skruszył kości, lecz uderzył bokiem. Sam sobie winien, bo kto czém wojuje, od tego ginie.

Herta spojrzała z niechęcią dumną na doktora, przypomniawszy sobie jego rolę w téj niedobrowolnéj produkcyi. Skinęła głową na pożegnanie i poszła ku schodom wiodącym na piętro.

Gdy doktór wszedł do gabinetu hrabiego i uwiadomił o czasie przypuszczalnego leczenia, rzekł hrabia niezadowolony:

— Szkoda! Także wybrał się z tą nogą w czasie żniw.

— Jedyna pora, w którój naprawdę jest potrzebny—dorzucił doktór.—Referat o młynie zrobię sam.

Doktór z hrabią Jasmundem omówili tegoż wieczora wszystkie warunki, dotyczące młyna, i sam doktór podjął się napisania umowy tymczasowéj.

Gdy nazajutrz przy śniadaniu zawiadomił hrabiego o rezultacie konferencyi, przypisał całą zasługe młodemu hrabiemu, który pokazał w tym wypadku dokładną znajomość stosunków technicznych, ekonomicznych i prawnych.

Matka uwierzyła słowom doktora bezwarunkowo; ojciec z lekkiém wzdraganiem, co umożliwiło doktorowi wypowiedzenie pochwał rozmaitych. Jeden tylko hrabia Jasmund słuchał ze sceptycznym uśmiechem słów doktora, przyszedł wszakże do przekonania, że doktór jest zręczny, gładki, uprzejmy i byłby powiernikiem doskonałym, wreszcie i on pozwolił się przekonać wymowie doktora.

Jedna tylko Herta nie brała udziału w rozmowie. Puste krzesło p. Wosińskiego i rozmowa, nudna dla niéj, o młynie, o akcyonaryuszach i warunkach nie wypełniła braku oczu pełnych zachwytu dla niéj.

XVI.

W oznaczony wtorek sala restauracyjna hotelu miejskiego, zmieniona na salę posiedzeń, przedstawiała obraz ożywiony. Okoliczna szlachta zjechała się cała niemal. Przeważały twarze opalone, z czołami odcinającemi się ostro swą białością, ocienione zarostem, uśmiechnięte, zadowolone ze spotkania. Zgromadzeni w ubraniach odświętnych, w rękawiczkach nowych, w butach połyskujących, roztrącali krzesła i sąsiadów ruchami szerokiemi, zastosowanemi do pól szerokich. Spiekota dnia parnego, wyziewy kuchenne, któremi była przesiąknięta sala, mieszały się z perfumami salonu fryzyerskiego, z którego wyszła niedawno większość obecnych.

Wśród nich uwijał się doktór, agitując żywo na rzecz młyna. Od czasu do czasu szedł śpiesznie do stolika przy oknie, u którego siedział reprezentat firmy projektującéj budowę młyna, właściwy inicyator całego planu. Człowiek niski, szatyn siwiejący, patrzał spokojnie po zebranych, układając z drobnostkową systematycznością papiéry, cenniki, broszury.

Do sali wszedł hrabia Chowański, gruby, średniego wzrostu, z wąsami siwemi, sumiastemi. Twarz pospolita, z oczami piwnemi, zbyt wypukłemi, oszpecona nosem wielkim, mięsistym. Kilku bliższych otoczyło go kołem. Spostrzegł przybyłego doktór i natychmiast poskoczył, składając ukłon głęboki.

— Kiedyż zaczynamy? — zapytał hrabia Chowański głosem grubym.

— Sesya naznaczona na pierwszą godzinę, jeszcze pięć minut — odpowiedział jeden z bliższych.

— Ależ gorąco!—mówił hrabia ociérając czoło i sapiąc głośno.

— Sam dobry czas na żniwa—pochwycił ktoś z boku.

— Zatém budujemy młyn, a fundusze skąd?—zapytał hrabia, patrząc w stronę doktora.

— Spółka da—odpowiedział tenże.

— Może dwóch, trzech da, a reszta?—i zaśmiał się grubo.

— Spółka poręczająca otworzy sobie kredyt w banku — mówił niezmieszany doktór.

— Kredyt łatwy, ale kto zapłaci w banku? — dopytywał się hrabia Chowański.

— Młyn zapłaci.

— Jakież są warunki pana Rugiwojskiego? — zapytał głośniéj, podkreślając słowo „pan" i siadając ciężko na krześle.

— Wydzierżawia rocznie ziemię pod budynki, drogi i motor — mówił doktór spokojnie.

— Za jaki motor? Cóż on go kosztuje?—obruszył się hrabia Chowański, gdy bliżsi potakująco kłonili głowy.

— Ziemia z obu stron wody należy do hrabiego Rugiwojskiego, więc i woda jest jego i użytek z niéj.

— Hm.., hm...—drwił hr. Chowański — a to spekulacya doskoła z daru bożego. I ileż akcyi liczy sobie za bożą wodę?

— Żadnéj akcyi tylko umówioną cenę od zmełcia korca — rzekł doktór śmiało.

— Tylko tyle!?—zaśmiał się głośno hrabia.

Około rozmawiających utworzyła się grupa, która przycinki hrabiego przyjmowała z zadowoleniem hałaśliwém i doktór czuł, że odparcie zwycięskie uwag hrabiego Chowańskiego decyduje o losie młyna; więc z brawurą podniósłszy głos mówił:

— Za każdy motor płacić trzeba i należy, to rzecz jasna i zrozumiała dla każdego technika. A gdy hrabia Rugiwojski oddaje motor, ziemię i możliwe korzyści, żądanie zapłaty jest słuszne i sprawiedliwe.

Szlachta potakiwała nieśmiało, ale hrabia Chowański odezwał się z ironią:

— Jeśli motor taki dobry i drogi, dlaczegóż u was stoi klekot stary zamiast młyna? Na stajnie i cugi macie, a jak do młyna, to do nas w prośby.

— Nie pierwszy hrabia Rugiwojski proponował budowę młyna, o nic nie prosi, lecz daje i ziemię i motor.

— No, no, wysłucham ja warunków pana Rugiwojskiego, już ja się nie złapię na ofiary wasze!

Zaledwie dokończył tych słów, gdy w drzwiach szeroko otworzonych stanął hr. Rugard z synem. Sala uciszyła się i oczy wszystkich zwróciły się na wchodzących. Obecni ulegli, jak zwykle, urokowi nazwiska i tytułu, a wysoka, lekko pochylona postać hrabiego Rugarda, jego zmęczona podróżą i upałem twarz, oczy szkliste, patrzące przed siebie nie widząc, wydały się zebranym uosobieniem elegancyi i rodu znakomitego w historyi.

Hrabia, podobnież jak syn, był ubrany w strój zwykły, podróżny, który odbijał swą powszedniością na tle tużurków czarnych.

Nieznużony doktór był już przy hrabi Rudgardzie i prowadził go do pierwszego rzędu, tuż przed stolikiem przewodniczącego.

Od chwili wejścia hr. Rudgarda reprezentant firmy stał przed swym stolikiem. Doktór uważny na wszystko spostrzegł to, objaśnił hrabiego, który leniwo spojrzał i na głęboki ukłon skinął niedbale głową. Reprezentant firmy usiadł.

W sali rozpoczęły się suwania, szmery, szepty przechodzące zwolna w głośniejszą rozmowę. Wreszcie głosy niecierpliwsze odezwały się: „zaczynajmy"; inni wołali: „przewodniczący!"; ktoś krzyknął: „prosimy hrabiego!", a nawet z drugiego końca rzucono pytanie: „A którego?" Rozległy się śmiechy. Większość mówiła wyraźnie: Rugiwojski!", ale byli i tacy, którzy wołali „Chowański!"

Wśród tych przygotowań do posiedzenia twarz hrabiego Rugarda spochmurniała, drażniło go zestawienie jego nazwiska z inném; wstał więc zwolna i obracając się do zebranych przemówił:

— Panowie! Według przyjętego zwyczaju proponuję na przewodniczącego najstarszego wiekiem. — Tu powiódł okiem po zgromadzeniu, a widząc staruszka znanego mu z kościoła parafialnego kończył: — Sądzę, że pan Wiśniewski jest chyba najstarszy wśród nas i zechce przyjąć wybór!

To przemówienie hrabiego, pamięć nazwiska starca, zwłaszcza uległość dla tradycyi usposobiły zgromadzonych przyjaźnie dla hrabiego Rugarda.

Staruszek po sakramentalnych słowach zagajenia, wezwał do zabrania głosu. Gdy nikt z obecnych obywateli się nie zgłaszał, reprezentant firmy poprosił o głos. I w długiéj mowie wyliczał korzyści młyna, łatwość kredytu, taniość i bezpieczeństwo firmy budującéj...

Z początku słuchali obecni z uwagą, lecz gdy mówca dotknął szczegółów technicznych wszczęły się w głębi sali ciche szepty i ruchy. Tylko pierwszy rząd krzeseł słuchał poważnie uczonych wywodów. Siedzieli tam z jednéj strony ojciec i syn hrabiowie Rugiwojscy, z drugiéj hrabia Chowański przedzieleni kilku krzesłami zajętemi przez obywateli starszych wiekiem.

Strój hrabiów Rugiwojskich, układ ciała, spokój niezmącony, rysy twarzy delikatne a wyraźne i zdecydowane odbijały niemal rażąco na tle zgromadzenia. Szlachta bowiem wiejska zamieszkując dwory oddzielne, czując swą przewagę ekonomiczną i patryarchalną na wsi, posiada piętno odrębne. Jest w niéj pewna śmiałość, pewność siebie, poczucie swobody i samodzielności, które na zewnątrz ujawniają się w wyrazie twarzy i w ruchach.

Formy wykwintne i odmierzone stolicy i salonów, w które chętnie w liczniejszém zgromadzeniu lubią się ubierać, są dla nich za ciasne i za krępujące; są zbyt wiotkie i delikatne, by wytrzymały nawet lekki napór objawów uczucia i temperamentu.

Uścisk ręki i pocałunek, te liczmany towarzyskie, przechodzą u nich w objaw szczery uczuć przyjaźni lub niechęci. Głos rozlegający się na przestrzeniach wiejskich zastosowuje się z trudnością do akustyki pokoju zamkniętego, i sam zmysł słuchu staje się mniéj wrażliwym na tony cichsze. Wzrok nawykły do barw zdecydowanych w świetle słońca nie zadawalnia się półtonami, szarzyzną umyślną stroju, lecz szuka kontrastów, dorzuca krawat jaskrawy, spinkę błyszczącą, rękawiczkę jasną, buciki świecące. Ruchy wiejskie, śmiałe, szerokie, gdzie nikt nie trąca łokcia łokciem, nikt nie następuje na nagniotek przeniesione do salonu wyróżniają ostro mieszkańca wsi, nawet w chwili spokoju przez bezwiedne rozpieranie rąk i nóg, przez wygodę zaniedbaną całego korpusu.

I na tém tle, wśród tego otoczenia Rugiwojscy wyglądali istotnie jak ludzie innéj sfery, innéj rasy, innego świata.

Tę różnicę odczuwała szlachta bezwiednie, a dzięki nazwisku, bogactwu i tradycyi Rugiwojskich patrzała na nich nie tylko z szacunkiem, ale z pewną czcią i uległością.

Reprezentant firmy zwracał uwagę zgromadzonych: na wyzwolenie się z rąk pośredników żydowskich przez budowę młyna, kończył zaś mowę zwracając się bezpośrednio do hrabiego Rugarda, w którego

ręku spoczywa rozwiązanie sprawy, nie tylko pokoleń obecnych, nie tylko okolicy, ale szczęście przyszłości, kraju, narodu!

Hrabia Rugard czuł na sobie wzrok obecnych, a po tém niemal formalném wezwaniu wstał, poprosił o głos i przemówił:

— Panowie! Całe moje życie spędziłem tu w kraju, pracując ciężko około roli, widzieliście to wszyscy i znacie to wszyscy. Nie skrzywdziłem nigdy nikogo, i tego żądam od drugich. Nie chcę i nie żądam jakichkolwiek ustępstw, względów ubocznych, byle nikt nie chciał méj krzywdy, byle nikt nie poczynał ze mną podstępnie. Wezwany przez panów, widząc w tém nowém przedsięwzięciu korzyść ogólną, przyjechałem tu wraz z synem. Zgadzam się na budowę młyna wspólnemi siłami panów, oddaję w dzierżawę długoletnią i ziemię i motor. Czynię wszystko, co uznają za dobre i potrzebne zarówno w interesie waszym, jak i moim, pod jednym warunkiem dobréj wiary i zaufania, że sprawa ta nie sprowadzi nieporozumień i złych skutków. Napad kaszlu przerwał tę mowę, korzystał z tego hrabia Chowański i rzekł dość głośno:

— Za kogoż on nas ma?

Hrabia nawet nie spojrzał w tę stronę i tonem równym, spokojnym kończył:

— Szczegółowe wyjaśnienia da pan doktór, ja czując się słabym, wychodzę, co może i na dobre wyjdzie, gdyż nie będę nikogo krępował swoją osobą.

Odezwały się oklaski i liczne głosy: „bardzo dobrze!” „zgadzamy się!”

Hrabia kłaniając się zgromadzonym opuścił wraz z synem salę, odprowadzony do drzwi przez doktora. Po wyjściu hrabiego wszczął się gwar rozmowy, dopiéro dzwonek przewodniczącego i głos donośny hr. Chowańskiego, krytykującego znalezienie się i projekta hrabiego Rugarda, uspokoiły obecnych.

Po gorących rozprawach uchwalili obecni: zawrzéć spółkę rejentalną; część pieniędzy złożyć jesienią na ręce wybranego skarbnika; resztę funduszów pokryć kredytem w banku; i wreszcie na wiosnę przystąpić do budowy młyna.

Jak doktór przewidział, tak się téż stało. Obecność hrabiego podziałała na zebranych, również kopiejki od korca zmełtego zboża wciągnięto do warunków dzierżawy motora.

Dumny ze swego powodzenia, roją̨c o przyszłości świetnéj, wraca doktór z miasta. Wprawdzie podpisani wspólnicy nie złożyli pieniędzy, tylko stwierdzili podpisami swe przystąpienie warunkowe, ale plan budowy młyna z dziedziny marzeń przechodził w rzeczywistość.

Nastręczające się wątpliwości usuwał doktór aureolą nazwiska hrabiego Rugiwojskiego, swémi zabiegami i ujawnieniem publiczném w gazetach. Liczył na przywiązanie zaściankowe i ambicyę powiatową uczestników zgromadzenia, gdy stanie się głośnym fakt budowy młyna doniosły w następstwa ekonomiczne i jaśniejący solidarnością obywatelską.

Postanowił też napisać do dziennika najpoczytniejszego korespondencyę, którąby podniecila zapał obywatelski, co też uskutecznił natychmiast po powrocie.

Na drugi dzień, zdając przy czarnéj kawie sprawę z przebiegu posiedzenia w obecności rodziny hrabiów, podnosił słowami swéj korespondencyi zasługi hrabiego Rugiwojskiego, zachwycał się jego wymową, opisywał barwnie wpływ zjawienia się ojca i syna hrabiów Rugiwojskich na zgromadzeniu, pozwolił sobie na zrobienie kilku uwag złośliwych o hr. Chowańskim; i jego skromność, przemilczenie o swéj osobie, zręczne pochlebstwo odniosły tryumf zupełny.

Pierwsza hrabina, podniecona powodzeniem syna i męża, pragnąc okazać doktorowi swe zadowolnienie, rzekła:

— Z pana byłby administrator doskonały, jaka szkoda, że poświęcił się pan medycynie.

— Medycyna pani hrabino uczy psychologii, która jest kluczem wszystkich spraw -- odpowiedział doktór uradowany.

Hrabiemu Rugardowi podobała się oryginalność przypadku, by doktór medycyny został administratorem majątku, lubił zresztą doktora za jego zamiłowanie do koni, znoszenie wiadomości, pochwały zręczne, i uśmiechając się dobrotliwie mówił:

— Nauka nigdy nie przeszkadza, i gdyby istotnie doktór się zdecydował rzucić medycynę, a został administratorem, byłbym rad z tego.

Zaświeciły się oczy ciemne doktora, uśmiéch rozjaśnił twarz pulchną i gdyby był uległ swym pożądaniom, przyjąłby był natychmiast posadę ofiarowaną, lecz powstrzymał się, przesunął rękę białą po wyniosłem czole i postanowił iść pewniejszą drogą skromności.

— Nigdy nie marzyłem o takiéj godności i zaufaniu hrabiostwa... Łaskawa propozycya zaskoczyła mnie tak niespodziewanie, że wpiérw muszę sam siebie zbadać, czy podołam zadaniu zaszczytnemu, gdyż obowiązki moje zwykłem pełnić sumiennie.

Ton jego głosu był jednak tak radosny, że hrabina uśmiechając się powiedziała:

Liczymy na doktora prędzéj czy późniéj, uważam sprawę prawie za załatwioną.

— Doktór jesteś dość sprytny, by poznać w krótkim czasie tajemnice administracyi—dodał hrabia.

Doktór w milczeniu kłaniał się to hrabinie, to hrabiemu i spojrzał na hr. Jasmunda, uśmiechniętego zagadkowo, który rzekł:

— Obaj mamy się wtajemniczać w arkana gospodarcze, więc razem będziemy jeździli do ekonomów i rządcy, i ja liczę na pomoc pańską.

Podkréślenie słów o rządcy i pomocy rozumiał tylko doktór, którego kilkakrotnie młody hrabia wypytywał o Janię, był jednak tak uradowany powodzeniem niespodziéwaném, że odpowiedział z uśmiechem:

— Wobec pana, ja będę tylko Telemakiem!

Frazes ten podobał się ogólnie, był bowiem wyraźną zapowiedzią, kto będzie mistrzem i panem.

W kilka dni późniéj hrabia przeglądając dzienniki, zobaczył wydrukowane czcionkami grubszemi „Wieszary”, zaciekawiony tém odczytał dwukrotnie korespondencyę. Prócz pochwał jego pracowitości, poświęcenia się roli, troskliwości o dobro podwładnych i sąsiadów, była zręczna cytata z jego mowy, projekt budowy młyna i kilka docinków do ludzi niechętnych, nadętych jak pęcherze, z pretensyami do tytułów bez zasług i zalet, którzy, wyżéj stawiając swą próżność aniżeli dobro powszechne, opuścili zgromadzenie akcyonaryuszów. O tym szczególe postępowania hr. Chowańskiego doktór przemilczał rozmyślnie, zachowując go jako kąsek smaczny, na chwilę odczytania korespondencyi.

Hrabia zaniósł sam ten dziennik do żony, a gdy podniecony rozmawiał o młynie, odezwała się:

— Należałoby pomyśléć o wynagrodzeniu doktora.

— Zostanie przecież administratorem — odparł bez wahania hrabia.

— Wiem o tém i cieszę się z tego, bo ci administratorzy z powołania są zanadto biegli w rachunkach podwójnych... On będzie jakiś czas przynajmniéj uczciwy.

— I ja tak myślę—potwierdził mąż.

— Możeby go jednak czémś zobowiązać dla nas — mówiła z namysłem. — Na takich ludzi łatwo oddziałać... Możeby mu dać prezent jaki.

— Ale jaki?

— Parę koni do wyjazdu — odpowiedziała, a widząc spochmurnienie męża, dodała: — Tym sposobem zaoszczędziłbyś swoją stajnię, bo przecież on musi jeździć po folwarkach i za interesami.

— Hm... to prawda. Niech i tak będzie... Mam na folwarku parę koni młodych, dam mu je, byle tylko szanował i nie sprzedawał.

— Wiész przecież — uśmiechała się hrabina — jak on naśladuje twą pasyę do koni, będzie im lepiéj u niego, aniżeli na folwarku.

— Może masz słuszność.

Gdy doktór ujeżdżał otrzymane w darze konie, oddzielnie wizytując p. Wosińskiego słabego, oddzielnie pałac; wszyscy podwładni patrzali z podziwem i zazdrością na wybrańca łaski pańskiéj.

XVII.

P. Wosiński od dziesięciu dni leżał w swym pokoju, nie mogąc poruszyć nogą obandażowaną.

Z początku słabości, w czasie jego gorączki, przysyłała pani hrabina kilkakrotnie dowiadywać się o jego zdrowiu i zapytywała przeznaczonego do usługi lokaja, czy nie brakuje czego choremu. Otrzymawszy zadawalniającą odpowiedź, czuła, że spełniła obowiązek chrześciański litości i współczucia. Hrabia Rugard polecił zaraz pierwszego dnia wypadku z koniem swemu kamerdynerowi Ernestowi, by codziennie chodził do chorego i zdawał mu sprawę. Kamerdyner każdego rana otwiérał cicho drzwi pokoju p. Wosińskiego, patrzał z ciekawością na twarz chorego i chyląc lekko głowę, mówił głosem spokojnym, jednostajnym:

— Jaśnie pan hrabia pyta dziś o zdrowie pana, co mam odpowiedziéć?

Te odwiedziny, regularne jak febra, zapytania monotonne służbisty, drażniły tylko chorego, ale krzywiąc usta do uśmiechu przyjemnego, odpowiadał codziennie:

— Proszę podziękować panu hrabiemu za pamięć o mnie, jest mi lepiéj.

Kamerdyner schylał głowę potakująco i oddalał się bez szelestu, zadowolony ze spełnienia rozkazów.

Te dowody współczucia ze strony hrabiostwa nie wpłynęłyby tak dalece na staranność opieki płatnéj nad chorym, gdyby nie lokaj Jan, przychylny dla p. Wosińskiego przez wdzięczność, że wskutek protekcyi młodego kontrolera, jego ojciec otrzymał wygodne i popłatne miejsce leśnika.

Odwiedziny codzienne doktora stanowiły rozrywkę jedyną i prawdziwą. Doktór bywał chętnie, gdyż p. Wosiński złożony chorobą, nie mógł w niczém pokrzyżować planów jego, a czując swą prze-

wagę moralną i materyalną nad chorym, chciał wywołać podziw dla siebie, swéj inteligencyi i powodzenia.

Próżność stawia sobie zawsze i wszędzie ołtarze i każdy chociażby najmarniejszy i najlichszy wyznawca i czciciel bywa chętnie widziany i przyjmowany. Wrodzona próżność doktora zwiększyła się powodzeniem pałacowém i mimo różnicy poglądów zapragnął miéć w p. Wosińskim czciciela.

— Powiem panu dobrą nowinę—mówił doktór po opatrzeniu rany, siadając na krześle obok łóżka.

— Najlepszą dla mnie byłoby moje wyzdrowienie — powiedział chory ze smutkiem.

— Cóż za nastrój eligejny!? Przyjdzie i zdrowie, tylko bez melancholii—mówił doktór tonem pociechy zdawkowéj.

— Dobrze panu mówić, będąc zdrowym.

— Czyż panu tu źle? Masz pan osobny pokój, dozór lekarski i opiekę—tłómaczył doktór, zapalając papiérosa.

— Mimo tych dobrodziejstw—odpowiedział chory z ironią—czuję się obcym, zawadzającym, ciężarem niepotrzebnym.

— Nerwy! Nerwy!

— Czy i to nerwy, że jestem na ich łasce?

Doktór spojrzał na rozdrażnioną twarz chorego, uśmiechnął się i puszczając kłąb dymu, rzekł spokojnie.

— Rozumujesz pan fałszywie. Hrabia płaci tylko za swą fantazyę... Widzi pan, w życiu za wszystko trzeba płacić i brać zapłatę. Za miłość, stanowisko, rozum i siłę płacić musi.

— I pan płaci?—zapytał p. Wosiński z niedowierzaniem.

— Jeśli ja nie płacę, to inni mnie płacą. Nie daję i nie dam darmo mojéj energii, rozumu, przebiegłości, ktoś musi zapłacić. Epoka ofiar bezpłatnych dawno minęła.

— Gdybym wierzył w szczerość słów pana, bolałoby mnie jak każdy egoizm niski.

Doktór wstał i przechadzając się po pokoju mówił:

— Prawda życia zawsze boli, a prawdą jest, że życiem rządzi egoizm. Weźmy przykład bliski. Czy sądzi pan, że znalazłby się ktokolwiek, coby bezinteresownie starał się o postawienie młyna w Wieszarach? Jeśli jeździłem, namawiałem, badałem, to miałem w tém mój interes egoistyczny: chciałem wypróbować moje siły i wygimnastykować mózg w tym kierunku.

— Zapomniałem zapytać się pana, kiedy stawiają młyn?

— Postawią lub nie, to rzecz obojętna dla mnie; wystarcza mi, że doprowadziłem robotę do tego punktu, do którego sam chciałem.

Umilkli. Doktór zastanawiał się, czy nie powiedział za dużo i po chwili rozpoczął znów rozmowę.

— Mówię z panem szczerze i otwarcie. Jeśli dałem przykład z młyna, to w zaufaniu i dlatego, by pana wyleczyć z idealizmu. W życiu, jak w każdéj walce, nie wolno robić żadnych ustępstw, wahań, czułości, a przedewszystkiém czułości!

P. Wosiński wodził oczyma za doktorem, słuchając go z wielkiém zajęciem, a gdy doktór umilkł, rzekł z uśmiechem:

— A jednak nie wierzę. W pierwszéj naszéj rozmowie mówił pan, że obowiązki lekarza pałacowego przyjął pan i pełni je, gdyż może pan być pożyteczny i pomocny innym ludziom, a nawet obiecywał pan sobie uzyskanie większych sum na stypendya, naukę, wydawnictwa.

— No, z zastrzeżeniem czasu, gdy hrabia otrzyma spadek po wuju.

— Zgoda na warunek, ale jak pogodzić dawniejsze słowa z dzisiejszemi?

— Bardzo łatwo — odparł doktór, stając przed łóżkiem. — Dziś mówiłem o środkach, a wówczas o celach. Przedewszystkiém sam muszę stanąć pewnie, niewzruszenie u hrabiego. Pan pomieszał jedno z drugiém i stąd cała sprzeczność.

— Pomieszałem może środki, ale cel ma pan przecież jeden, służyć społeczeństwu, a ten cel wyklucza egoizm i bezwzględność środków.

Doktór wzruszył ramionami, uśmiechnął się i rozpocząwszy swój spacer, mówił tonem przepowiedni:

— Tacy ludzie, jak pan, muszą zginąć. Polecą w przepaść, bo zaślepią ich: urojone cele, uczucia, fantazye.

Słowa te dotknęły p. Wosińskiego, odpowiedział téż cierpko:

— Złote okulary nie uchronią téż od śmierci.

— Nie gniéwaj się pan, obrazić nie chciałem; tylko widzi pan, życie trzeba brać takiém, jak jest. Naprzykład weźmy przyjazd pana do pałacu, czy wiedziałeś do kogo i po co przybywasz?

— Wiedziałem... Na służbę.

— Dzieciństwo! Na służbę przyjeżdża lokaj, panu należało najpierw zbadać teren... Odpowié mi pan szczerze na trzy pytania?

— Odpowiem.

— Więc co pan mówi czy myśli o osobie hrabiego?

— Człowiek dobry, ale chwiejny.

— Dobrze. A hrabina?

— Dumna, ale matka i żona wzorowa.

— Jeszcze trzecie pytanie. hrabianka?

— Bardzo piękna i dobra.

Doktór zaśmiał się głośno i mówił:

— Wiedziałem naprzód, co pan odpowié... ha, ha, ha... i tak pan zbadałeś teren?... ha, ha, ha...

Śmiech ten drażnił chorego, więc odezwał się chmurnie:

— Odpowiedziałem panu szczerze, skądże ten śmiech?

— Pozwól mi pan śmiać się... Gdybym nie widział wąsów pana, sądziłbym, że albo dziecko odpowiada, albo człowiek chytry. Ani jednéin, ani drugim pan nie jesteś, i za szczerość odpłacę szczerością, chcesz pan wiedziéć moje zdanie?

— Ależ proszę, serdecznie proszę.

— Na pierwsze pytanie odpowiadam: Hrabia ma pasyę do rodu swego, do koni swoich, do budownictwa swego i do przyzwyczajeń swoich. Hrabina ma pasyę do znaczenia, wielkości, zamążpójścia córki i doskonałości syna. Hrabianka nie wié jeszcze, do czego ma pasyę, zdecyduje to dopiéro mąż i życie. Taki był teren. Jako agronom powinien pan był wpierw poznać glebę, rośliny jéj właściwe i zużytkować umiejętnie swą wiedzę. A pan?

Zapytany milczał. Doktór spojrzał na zégarek, wziął kapelusz i podając rękę powiedział:

— Myśléć pozwalam, ile pan zechce, ale ruszyć się z łóżka nie wolno.

Chory zostawał sam ze swemi myślami i książkami, których czytanie go męczyło. Przykuty do łóżka, cierpiący, szarpany obawą kalectwa mimo upewnień doktora, patrzał na okres ostatni, pałacowy swego życia krytycznie, z pesymizmem egoizmu właściwego chorym. Hrabiostwo z wysokości cnót i zalet, niegdyś przez niego tak uznawanych, zeszli do poziomu ludzi dumnych, przyjmujących usługi ludzi, za które płacili piéniędzmi i tylko piéniędzmi.

Trudniéj mu przyszło przyjść do zgody ze sobą w osądzeniu Herty. W pierwszych dniach swéj niemocy oczekiwał, jeśli nie zjawienia się jéj, to pamięci, dowodu, znaku jakiegokolwiek jéj współczucia i przychylności. Każde poruszenie klamką, ruch na kurytarzu pobudzał jego oczekiwanie. Patrzał na twarz i ręce wchodzącéj służby pragnąc uporczywie zobaczyć czy posłyszéć coś, co byłoby dowodem jéj pamięci, kwiat, książka, zapytanie — ale służba spełniała milcząco swój obowiązek, a jego pytania zbywała odpowiedzią obojętną. Wyrzekł się wreszcie swych nadziei, przezwyciężył niecierpliwość, ale Herty z swych marzeń nie mógł usunąć.

Zwolna jednak nie widząc jéj oczu, postaci i wdzięku, wyzwalał

się z pod jego uroku. Przepaść dzieląca go od jéj rodziców, z któréj zdawał już sobie sprawę, oddalała i Hertę. I ona usuwała się tak daleko, tak traciła wyrazistość swéj fizycznéj postaci, tak robiła się mglistą, niedoścignioną, że dziwił się sam projektom swym dawniejszym pozyskania jéj.

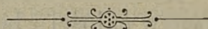
Zdrowie wracało dzięki siłom młodości, a mózg wypoczęty zaroił się planami. Postanowił opuścić tę kołyskę opiumową, jak nazywał pałac, a jąć się pracy twardéj, ciężkiéj, któraby zadawalniała jego ideały społeczne. Oczekiwał niecierpliwie chwili wyzdrowienia, będąc przekonany, że znajdzie dość siły i woli, by swe plany przeprowadzić. Doktór nie wspomniał panu Wosińskiemu ani o swych projektach administratorskich, ani téż o hr. Jasmundzie, zajętym kontrolą gospodarstwa.

(*D. n.*) *Artur Gruszecki.*



Z dziejów polskiego różnowierstwa.

ARYANIE.



II [1]).

Na początki aryaństwa polskiego złożyły się były prądy włoskie a niemieckie, badania dogmatów o Trójcy św., o przedwiecznem bóstwie i pośrednictwie Chrystusa, a mrzonki o przekształceniu samych społeczeństw wedle norm ewanielii, racyonalizm wytrawnych dyalektyków podciągający wszystko pod sznur rozumu a entuzyazm zapaleńców gardzący rozwagą i miarą.

Sprzeczność zarodków jak i wyników, do których dochodziła krytyka dogmatów i sakramentów (chrztu), wzbudzały zacięte spory, rozbijały „zbór mniejszy" (aryański) na nowe wzajemnie się zwalczające odłamy, przerzucały niezadowolonych z miejsca na miejsce, torowały wreszcie drogę, jak wszelakim, nieraz najdziwaczniejszym, skrajnościom, tak i rychłym odstępstwom; zacierały się w sporach i walkach spólne cechy i podstawy wiary a miejsce ich zajmowały gorszące waśni, wzajemne przezywania się i wyklinania nietolerancyi religijnéj. Mimo to, spory i walki nie dyskredytowały saméj sprawy w oczach

[1]) Patrz „Ateneum" 1896, kwiecień, str. 1—31.

wyznawców: podobne towarzyszyły przecież początkom reformacyi, kiedy się to po raz pierwszy „ze sideł antychrysta” gmatwano, w rzeczach mniejszéj wagi, w obrazach, mszy, wieczerzy Pańskiéj i innych; takież niepokoiły już kościół pierwotny; i samemu Chrystusowi nie wierzono; wedle słów Jego, zgorszenia muszą być; byłyć to zawady, jakiemi drogę do jedynéj, zbawiennéj prawdy żywota zakładał antychryst, wabiący wiernych napowrót do fałesznéj jedności i zgody „wszetecznego Babilonu”, właśnie za łaską Pańską porzuconego.

Wobec odosobnienia i nieliczności gromadek, przeciwnicy — a najzawziętszymi byli Kalwini, bo z ich łona wyszli Aryanie — nie mogli ani chcieli śledzić wszystko, co między nowowiernikami kotłowało; aby ich jednak w oczach ogółu potępić i zohydzić, aby wzniecać prześladowania przez prawowitą władzę czy przez podburzane systematycznie tłumy, wystarczało oskarżać i Aryan, o co od wieków sekciarzy, przed trybunałem czy przed motłochem, zawsze posądzano; wystarczało zarzucać i im bluźnierstwa lub ateizm; rozpasanie na orgie lub zbrodnie; przeczenie samych podstaw społecznego porządku, małżeństwa, rodziny, własności; uchylanie się od wymagań państwowych, od służby w wojsku i sądzie, mieniem i życiem; podsuwać im wreszcie zamachy i spiski przeciw całości i bezpieczeństwu kraju. Doświadczonéj téj broni kłamstwa i nienawiści używano przeciw polskim Aryanom stale przez całe stulecie, choć nie zawsze z równém powodzeniem. Kilka razy jednak fanatyzm aryański sam grzeszył wybrykami, uchodzącemi płazem w wieku szesnastym, karanemi nieludzko w następnym; dawał więc sam powód do skarg i utyskiwań.

Z widoczném zadowoleniem opowiada historyk aryaństwa, Lubieniecki, o owych szczęśliwych czasach, kiedy to np. podczas procesyi Bożego Ciała w Lublinie r. 1564 młody Erazm Otwinowski, podniecony słowami swego ministra, Stanisława Paklepki, wybiegł ze zboru, opadł księdza i po krótkiéj dyskusyi monstrancyą na ziemi podeptał a mimo wszelkich gróźb i skarg kary żadnéj nie odniósł [1]). Spółcześnie w Wilnie dworzanin królewski, oskarżony o gorsze jeszcze zbeszczeszczenie procesyi majowéj, niestawiennictwem drewnianego boga i niezostawieniem należytego pełnomocnictwa dla skarżących skargę odbił. Ale w tém samem Wilnie, r. 1611, (kalwin) Włoch Franco, gdy podbudzony znowu kazaniem ministra, tłumy w procesyi od

---

[1]) Czy właśnie Rey przed sądem sejmowym obżałowanego żartami i drwinami obronił, o tém wolno powątpiewać. Katolicy świętokradztwa tego nie zapomnieli, jeszcze w r. 1597 Żebrowski, mówiąc o Otwinowskim (Recepta na plastr Czechowica i t. d.), wspomina i o owym zamachu „starego wyrwy“, jakiemu niby baby przeszkodzić umiały.

„bałwochwalstwa" odwodził, zginął okrutną śmiercią z ręki kata. Czasy mieniały się szybko: w r. 1564, pisze Uchański, nie chciano wcale odbierać po sądach przysięgi na krucyfiks ani w imię Trójcy św. — gdy zaś w r. 1611 mieszczanin bielski, (aryanin) Jan Tyszkowic, ani na krucyfiks ani w imię Trójcy (nie wiedząc o niéj, męskiego-li czy żeńskiego rodzaju) tylko w imię Boga samego przysięgać chciał, skazanemu zato na śmierć w Warszawie, wywleczono język, odcięto rękę i nogę (jakiemi miał krucyfiks deptać), ścięto go a trupa spalono, jako kacerza. Także Lublinianie r. 1627 a Rakowianie 1638 r. drobne winy przypłacili zniesieniem zborów, szkół, drukarni. Żyjąc nienagannie, wyjątkowo chyba dopuszczały się garstki aryańskie jakichś wybryków; osławiano zaś i prześladowano ich tylko dla saméj wiary: czyny lub zamysły, jakie im podsuwano, służyły za pokrywkę, pod którą na wiarę godzono.

Jedno z najwcześniejszych podobnych posądzań a zarazem i świadectw o wewnętrznym stanie „mniejszego zboru", powtórzył ksiądz Benedykt Herbest w relacyi swéj o podróży na Ruś, dla lwowskiego kasztelana Herburta spisanéj. Bawiąc nawiosnę 1566 r. w Krakowie, wydostał on list łaciński, kalwina wileńskiego uwiadamiającego spółwyznawców krakowskich o nowokrzczeńskich i aryańskich zakusach ministrów wileńskich, pomawiającego ich w gruncie o propagandę monasterskich zbrodni, chociaż o samym Monasterze, Tomaszu Münzerze i t. d. nie wspomniał, co inni wtedy nieraz czynili, mimo energicznych protestów strony obżałowanéj. List ten tak charakterystyczny, że przytaczamy go w skróconym przekładzie Herbesta (z dzieła p. t. „Chrześcijańska porządna odpowiédź" i t. d., Kraków 1567 r.):

„Pisany jest do niejakiego Simona (Zacyusza?) u Nowowierników przy Krakowie ministra, o sprawach i o wierze nowéj ministrów litewskich. Ci wileńscy ministrowie, Wędrogovius, Coscinius, Kurnicianus, Kuterlanus, więcéj już niż przez trzy lata trzymają z Aryany i z Nowokrzczeńcy. Prawdziwą naukę o ś. Trójcy każą; niezgodne swe i fałszywe konfesye wydając, inne potępiają; pamiątkę Chrystusa Zbawiciela chcąc zniszczyć, osobliwe święta (jako Narodzenia jego, Zmartwychwstania, Świątki, wespołek z innymi) wymietują; żadnego artykułu wiary chrześciańskiéj, gdy tego czas jest, nie wykładają; imiona pewnych czasów, świąt i dni wygładzić chcą. Na swym tu konciliabulum krzest małych dziatek kusili się wyrzucić. Wieczerzą Pańską i nieuczciwie i bardzo rzadko, jakoby rzecz niepotrzebną, czynią; miasto kazania, obyczajem Nowokrzczeńców prorokują t. j. swoje sny i widzenia t. j. straszliwe bluźnierstwa, wiele żon mianie, dobra naszego społeczności, wzgar-

dę urzędu, sądów i każdego stanu, wnoszą. Do zniszczenia krztu dziatek małych rzecz tocząc, na 16 niedziel i dalej krzest odwłaczają a rodziców i kmotrów nie przypuszczają. Gotowanie ku Wieczerzy Pańskiéj za niepożyteczną rzecz i prawie za śmiech u siebie mają. Poddani, panom i urzędowi pisząc, tytułu braterskiego używają; do zrównania stanów i do wzgardy urzędu wszystkę rzecz wiodą. Przy Wieczerzy na jedném miejscu pan z chłopem siedzą; ludzie prości a nieuczeni rzeczy święte sprawują; według swéj myśli dekreta czynią i na przeciw urzędowi wiele się ważą. Tu w Wilnie gadano o tém, mają-li być przypuszczeni do Wieczerzy pańskiéj, którzy niewolniki swe wolnymi nie czynią? W kościele niemasz nic, tylko stół szynkowny wpośród kościoła; o groby nie dbają; z małżeństwa, z pogrzebów, z wszystkich rzeczy świętych wielkie idą zgorszenia i wzgarda religiéj. Mnie (powiada ów pisarz listu z Wilna) nad wolą nieboszczyka Pana Radziwiła (Czarnego, um. r. 1565) nigdy ani do rady ani do kazania nie przypuścili i jeśli tu będą ci dłużéj rządzić, nie tylko błędów będzie pełno, ale też trzeba się bać na koniec sedyciéj. Atoż masz, W. M. miłościwy Panie Lwowski, pewne nowiny litewskie, z których katolicy i smęcą się i cieszą i t. d."

W relacyi téj nazwiska ministrów przytoczone wiernie, lecz nie zaznaczono, że właśnie Wilnianie, Mikolaj Wędrogowski, Kuterla i Karnicki gorąco przeciw Czechowicowi i jego chrztowi dorosłych walczyli. Sprawę o chrzcie dorosłych wierzących i kających się, „przeciw chrztu niemowląt" wzruszyli w polskich zborach Piotr z Goniądza r. 1558, który i list o tém r. 1562 do ministra Wawrzyńca Krzyżkowskiego napisał, Hieronim Piekarski, pierwszy Piotra poplecznik, trójczak Maciéj Albinus, minister Iwanowicki, Stanisław Paklepka i inni; wydał przeciw nim napróżno konfesyą zboru kalwińskiego ów Szymon Zacyusz r. 1559, wtedy minister wileński; spory trwały daléj i dla zagodzenia ich zwoływano osobne synody w Brzezinach i Węgrowie w ciągu r. 1565. Zamiast zamierzonéj zgody z ministrami kalwińskimi nastąpiło stanowcze rozdwojenie: naukę Piotra z Goniądza, Czechowica i innych przyjęli wszyscy Aryanie, usunięto chrzest niemowląt, wprowadzono ów ewanieliczny, odradzający do nowego życia, dorosłych, przy całkowitem ponurzaniu w stawie lub rzece. Stąd pogardliwie nazywano Aryan „nurkami" i znęcano się nad nimi z tego powodu, tak np. kazał jeden z Łaszczów „nurka" Piotra Pulchranina (niemca, rektora szkoły bychawskiéj) wrzucić do stawu, gdzie cudem życie ocalił. Wobec niebezieczeństwa, jakiém Aryanom publiczne „ponurzenie" groziło, prosił Mikołaj Paruta, zbieg włoski, przebywający długi czas na Morawach, wedle świadectwa Budnego jeden z inicyatorów czystéj

(aryańskiéj) nauki, żeby wolno było ponurzenie odbywać w obrębie samego zboru (prostem omyciem katechumena), lecz superintendent Lutomirski na to ustępstwo nie przyzwolił, nie chcąc nikomu stałych, poniewolnych form narzucać. Przeciwnicy wymyślali różne cuda, ażeby ponurzenie potępiały; tak opowiada ks. Mik. Cichowiusz (Pogrom dyabła arryańskiego i t. d., r. 1659), że w Rakowie, w tym roku kiedy „*crucifix* potłukli", zebrali się na nurzanie, lecz gdy minister w wodę wstąpił „grobla się na caliźnie z trzaskiem wielkim rozerwała" i woda uszła, tak że bez nurzania do domów wrócić musieli. Inni szydzili z samych obrzędów nurzania, np. autor „Peregrynacyi dziadowskiéj" (r. 1612); żebracy jego wybierają się w rozmaite strony, nawet między Lutrów i Żydów, jeden z nich Kubrak, mówi:

Więc poydę do Lusławic, choć do Aryanów,
Nieźle téż tam musi być, bo tam dosyć panów,
Małoć téż tam od żydów coś trochę trzymaią;

drugi, Choroba, wtrąca:

Maiąć y tey y owéy wiary po kawalcu
Aleć to nastrasznieysza, że się chrzczą w Dunaycu.
Tak się chrzczą: kto przyimnie wiarę u nich nową,
Wrazi go pod Dunaiec pospołu y z głową,
To go trochę potrzyma, aż modlitwę zmowi,
A potym go za włosy porwie ku wierzchowi,
I tak mu będzie czynił do trzeciego razu.
Nie ma on tam agendy ani téż obrazu.
A co gorsza, kiedy się przytrafi chrzcić w zimie,
I puł roka poleży, nim go febra minie.
Ode chrztu nic nie biorą, krzyżmo u nich tanie,
Chrzcielnica dobrze głębsza, niżeli w Jordanie.
Post nawiętszy w niedzielę, w piątek wszystko iedzą.

Skoro w Rakowie (po r. 1570) ponurzenie za główny sakrament na zawsze uznano, spiérano się daléj, czy ponowienie chrztu uznawać za niezbędny warunek przypuszczania „kropionych" t. j. chrzczonych w niemowlęctwie, do zboru „chrystyańskiego" czy téż zostawiać to do woli każdego. Czechowic gardłował za pierwszém, pismem, mową i czynem; z jego rąk przyjął był chrzest Jan Niemojewski; przed tym nurzali się Jan Siekierzyński, kaznodzieja znakomitéj wymowy i pobożności, ów Piotr Pulchranin—późniéj Jerzy Szoman z rodziną żony, Lubienieccy i inni;—ostatni może „nurzał się" Krzysztof Wyszkowski, podczaszy bielski, niegdyś zagorzały kalwin, w Robkowie w r. 1653. Jednak innych odstręczał ów mus i w końcu zwyciężyło przeciwne zdanie Socyna, do którego przyłączyli się Lubienieccy; były minister

krakowski, następca Grzegorza Pawła, Wojciech z Kościana (Coscenius relacyi Herbesta) i in. I inne szczegóły relacyi owéj prawdziwe po części: Tak np. tytułowanie braćmi panów i urzędu nigdy nie ustawało, choć się na brak szczerości w téj mierze w piętnaście lat późniéj Budny uskarżał: „naydziesz dziś takiéj wyniosłéj myśli pany, rzkomo Chrystyany, którzy acz, czusto (to jest) o tytuły i o rewerencye, nie dbają, a przedsię, gdy którego bratem napiszesz, pod pokrywką z tego? jakom sam doznał, szydzą; także téż rozmów braterskich przed sługami i przed bałwochwalcami umyślnie — by sobie w czém nie dać ubliżyć — uchodzą a czasem się i brat minister przed bratnim pokojem nastać musi, albo nic nie sprawiwszy odyść—samem był przytym, kiedy dwaj ministrowie przedniejszy przed drzwiami pana brata kilka godzin, pókiby je puszczono, czekali, a skoro żydowin, który się czarnoksięstwem bawił, zakołatał, zarazem go puszczono." Nie zawadzi wspomniéć, że tytułowanie się polskiéj szlachty bracią uchodziło, np. w siedmnastym wieku, za prerogatywę, obcą innym narodom, i za jakiś węzeł religijno-mistyczny, spajający naród szlachecki.

Również słusznie zarzuca Aryanom ów list obojętność przeciw pogrzebom i grobom; — obojętność tę stwierdzali oni zawsze, czynem i pismem, np. jeszcze Wacław Potocki w końcu następnego wieku, chociaż już katolik,—godziła się téż zupełnie z wiarą ich w życie zagrobowe, w któréj dla wskrzeszenia c i a ł zmarłych miejsca nie było. Za to inne szczegóły zakrawają na potwarz, chociaż je już wtedy stale powtarzano; tak musieli w liście z 20 lutego 1566 r. odpiérać w Brześciu Lutomirski i inni ministrowie zarzuty wileńskich ministrów o ich mniemane dwużeństwo, niedozwalanie trzymania własności ziemskiéj, wywyższanie się przez nowy chrzest (ponurzenie) w liczbę wybrańców Bożych wolnych od grzechu i błędu. I w druku nawet miały wychodzić podobne nauki, wspomina np. wójt wileński Rotundus w liście do Hozyusza (13 września 1567), że czytał w Grodnie drukowane książki polskie, przeczące powadze urzędu, głoszące komunizm i zrównanie stanów; lecz książek tych, o których i wileńscy ministrowie w liście do Brześcian, zdaje się, wspominają, ani z tytułu nie znamy; inni wspominają nawet o jakiémś kazaniu wydaném po polsku w Krakowie r. 1564, domagającém się zniesienia duchowieństwa i zbezczeszczenia kościołów (!), chociaż należy się z tém wstrzymać aż do nabrania odpowiedniéj siły. Zarzut o propagandę wielożeństwa dotyczył głównie Ochina, twierdzono, jakoby zbieg sędziwy w Krakowie na kazaniach wielożeństwo zalecał (już Eustachy Knobelsdorf w liście do Hozyusza z 1 lipca 1564), o co jednak, dodawała późniéjsza tradycya, przed pięściami przekupek krakowskich uchodzić musiał — ale to wszystko po-

twarz, zaczepiająca tylko o argumentacyą jednego z dyalogów Ochina; Herbest wpomina o pobycie Ochina w Polsce, który niedawno w Krakowie dwóch cudzołożników męczennikami poczynił.

Tak samo pomawiano Aryan o inne sprosności cielesne, mieszając ich z jakimi Adamitami, z jaką dawną sektą panteistyczną, uznającą w zlewaniu się człowieka z przyrodą i Bogiem cel doskonałości, do czego przeszkadzało by wszystko, co człowieka z ogółu wyróżnia, więc nie tylko stan, własność, ale i małżeństwo wydzielające poszczególne pary — przecząc je wyprawiano orgie na schadzkach; podobna sekta wyłoniła się i między Taborytami czeskimi r. 1420, lecz ją rychło stłumiono. Kanonik Hieronim Powodowski w dziele p. t. Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Aryanów (r. 1582) twierdzi, że słychać o nich, jakoby śluby małżeńskie zawierali nago w łaźniach lub ogrodach, co Aryanin Jan Niemojewski (Obrona i t. d., 1583 r.) jako marną plotkę odpiéra, lecz to samo twierdzono już dwadzieścia lat przedtém. Gdy bowiem r. 1566 Hieronim Filipowski, obok marszałka izby poselskiéj, Sienickiego, obok Lasockich, Cikowskich, Orzechowskich, Lasotów i innych, filar świecki wyznania aryańskiego w Koronie, w Piotrkowicach bratanicę za Gnoińskiego wydawał, w ten sam dzień ubolewał na kazaniu minister kalwiński krakowski, Szymon Zacyusz, że Filipowski nowozaślubionych pod świerkiem (w ogrodzie) nago wystawi. Włoch Prosper Provana, jeden z celniejszych aryan krakowskich, obecny na owém kazaniu, zawiadomił Filipowskiego przez posłańca, o co go Zacyusz pomówił: list odczytał Filipowski natychmiast wobec weselnych gości, zdziwionych bezczelném kłamstwem Zacyusza; mimo to szerzyła się potwarz i na dworze królewskim zapytał biskup Padniewski Budzyńskiego, szafarza owego wesela, czy zaszło tam coś takiego, dowiedziawszy się o wszystkiém zawołał biskup: otóż widzisz, Budzyński, że to twoi ewanielicy, nie moi katolicy, takie o was rzeczy prawią; jakżeż im wierzyć, kiedy ów, minister i starzec, tak skłamał.

O „sedycie", spiski i bunty, pomawiano Aryan również. Na sejmie lubelskim 1566 r. wymagali od króla protestanccy senatorowie i posłowie, zastraszeni propagandą aryańską pod murami grodu, edyktu przeciw sekcie antypańswowéj; podejrzliwy król dał się do tego łatwo nakłonić, mimo oporu Filipowskiego, aby nie zasądzano ludzi, nie wysłuchawszy ich wprzód, i oporu duchowieństwa, któremu takie wydalanie samych Aryan wydawało się potwierdzeniem innych sekt i wmieszywaniem świeckich w rzeczy sumienia i wiary. Edykt, zresztą nigdy nie wykonywany, brzmiał bardzo groźnie; wydalał wszystkich Aryan z kraju w ciągu dwóch tygodni, pojmanych potém zmu-

szał do odwołania a w razie przeciwnym nakładał karę śmierci. Gdy otóż tym edyktem Filipowskiemu jako głównemu patronowi Aryan docierano a on zawołał: przyjdzie czas że inny król sądzić będzie, który zwolennikami swymi opiekiwać się będzie, myśląc o Bogu, wytłumaczono te słowa inaczéj: przed królem oskarżył go Jan Zamoyski, jakoby Janem siedmiogrodzkim, spółwiercą, się odgrażał. Obruszyło to niezmiernie nieufnego króla, podrażnionego przeciw Filipowskiemu i o inną rzecz; energiczne jednak wystąpienie ojca Zamoyskiego przeciw złéj wierze własnego syna i skora audyencya obżałowanego u króla sprawiły, że kryminał o zbrodnię stanu wyszedł na grzyby Miechowicine (na nic do rzeczy). Lecz podobne potwarze [1]) nie odstępywały Aryan na chwilę, od kolébki do grobu.

Że Aryan za bluźnierców miano, wynikało z samego pojęcia o ich wierze, widziano w nich przedewszystkiém wrogów bóstwa Chrystusowego; za próbkę, jak się o nich wyrażano, niech posłużą słowa ks. Powodowskiego w „Wędzidle": (Aryanie jak świnie tajemnice wiary chrześciańskiéj) „swym niegodnym pyskiem świekorą a pożyraią, ale téż, którego wyżréć nie mogą, porządne a ozdobne szczepienie jego (winnicy kościoła świętego), mnimaiąc by to swój nałożny barłog, pyszczą, szamocą i w gniazda plugawego legowiska swego obracają." Lecz niezadowalano się zarzutem bluźnierstwa; twierdzono, jeśli nie o wszystkich, to o poszczególnych, że dochodzili do ateizmu, wypierali się Boga, obowiązków i sumienia, stawali się Epikurami, obrzydłymi materyalistami, poganami. Gdy umarł Kacper Bekiesz, towarzysz Batorego, aryanin, pojawił się paszkwil wierszowany „Napis i wyznanie wiary na grobie zacnego p. Bekiesza hetmana węgierskiego w Grodnie zmarłego i w Wilnie na Łyséj górze 18 listopada 1579 r. pochowanego," gdzie między innemi Bekiesz o sobie mówi:

..... Wszystko z siebie mam: nie chcę Boga liczyć;
Nie pragnę jego nieba, piekła się nie boję,
Miłosierdzia nie proszę, o sąd nic nie stoję;
Grzechu nie znam, ani wiem, co bych komu winien.
Samem sobie zawsze żył i byłem się pilen.

---

[1]) Już to Filipowski miał do nich osobliwsze szczęście. Jeszcze gdy był kalwinem (w Chrzczęcicach jego był jeden z pierwszych zborów), pomawiano żonę (wdowę po Niemście), że porodziła strasznego potwora w smoczéj postawie; gdy zmarłą w połogu, chowano, rzucił się na orszak pogrzebowy w rynku krakowskim tłum żaków i gawiedzi a Urowiecki uderzył w twarz Filipowskiego — lecz ten się ani bronił ani przyjaciołom zniewagi mścić dozwolił. Syn, ów mniemany potwór, nie wstąpił w ślady ojca; ulubieniec króla Stefana porzucił aryaństwo.

Nie trwożę się o ciało, ani mniej o duszę:
Społem ze mną umarła, wyznać śmiele muszę;
Pracy onej nie będzie, którą inszy mają,
Szukając każdy swojej, gdy z grobu powstają....

Ktoby paszkwilowi wiary nie dawał, znajdzie inne nieposzlakowane świadectwa; Marcin Czechowic wspomina, nie wymieniając nazwisk, o ateuszach i poganach między swoimi; K. Wilkowski (1583 r.) nazywa Slesińskiego niewierzącym w nic; inni innych; lekarzowi Batorego, Simoniuszowi, zarzuca toż samo przeciwnik w broszurze o „religii" jego (1588 r.); St. Reszka opowiada, że na Litwie grobu przechrzty żydowskiego, Lewana, kalwina, potém ateusza, ziemią nie można było zasypać i t. d. Pojawianie się niezaprzeczone ateuszów między Aryanami stało właśnie w związku z ciężkiém przesileniem, jakie wyznanie ich między 1569 a 1573 rokiem przechodziło.

Stałego centrum i pewnéj organizacyi Aryanie w początkach nie posiadali. Prześladowania kalwińskie, np. Stanisława Myszkowskiego, nie dawały im się w Krakowie spokojnie osiedzieć; podobnie rugowano ich po śmierci Radziwiła (Mikołaja Czarnego) z Wilna; z Kujaw, gdzie Jana Niemojewskiego własny brat Jakób gorliwie zwalczał; w Poznaniu nie przypuszczono ich nawet do rozmów z lutrami lub między sobą; po przykrych doświadczeniach r. 1566 nie stawali więcéj ich ministrowie nawet i na sejmach, gdzie przedtém, w orszaku swych panów i wraz z nimi prozelitów gorliwie werbowali. Zakładał wtenczas Jan Siemieński, kasztelan żarnowski, późniéj wojewoda podolski, miasteczko w sandomierskiéj ziemi, zowąc je od herbu żony (Gnoińskiéj) Rakowem; tolerancya dziedzica, chociaż kalwina, ściągnęła tu niebawem wiele tułających się Aryan z Litwy, Kujaw i Krakowa; Raków, a w parę lat późniéj i Lublin z niedalekiemi Bełżycami i Piaskami, stają się odtąd głównemi koloniami aryańskiemi, choć dla oka bynajmniéj nie powabnemi, bo obfitującemi w piaski i bagna. Szydzono i z tego; Powodowski w „Wędzidle" np. nazywa Nowokrzczeńców antychrystami, ponieważ wedle Objawienia ś. Jana antychryst z dworem swym buduje na piasku, a Aryanie, opuszczając żyzne łany ojczyste, „przenoszą się na piasek na puszczę do Rakowa, skąd mowa ich, jako rak wrzód, ludzie zaraża, także pod wał Lubelski nad wodę, a prawie blisko trzciny, gdzie mistrz ich Lucyper przemieszkiwa" (wedle znanego przesądu o czartach w błocie); szydzi i daléj ze zborku, coby „na piędzi gdzie we trzcinie siedział", czego mu Czechowic nie przeczy („pod murem na wale, nad stawem mam mieszkaniczko"). W Rakowie, późniéj i w Lublinie, stawili się Jakób z Kalinówki z innymi Litwinami, między nimi i ów rajca wileński, Łukasz Mundius,

co do braci Morawskich jeździł; z Krakowa Jerzy Szoman, Grzegorz Paweł, ów Siekierzyński; z Kujaw Marcin Czechowic, Jan Niemojewski, po złożeniu sęstwa ziemskiego inowłocławskiego, z Brzezińskimi (Wojciechem i Walentym), Bielawskim, Siemianowskim, Plecem i innymi.

Z początku jednak i w Rakowie, gdzie przez parę lat porównywano, t. j. badano Pismo św. wspólnemi siłami, jakby na synodzie, nie zanosiło się na jakiekolwiek porozumienie i zgodę w zasadach wiary i życia; nie znalazłszy szukanych sprzymierzeńców—nawet bracia czescy (morawscy) Aryan dla dogmatów o Trójcy i Chrystusie się wypierali; nie licząc już między sobą więcéj lub znaczniejszéj szlachty, moderującéj zaślepieńców — drożdżami ludzkiemi zowie ich tak kalwin (późniéj brat czeski) Łasicki, jak katolik Powodowski („ci chłopi, tokarze, strugarze, wrzeciennicy, płóciennicy, kapuściarze i insze drożdże narodu ludzkiego" i t. d. „Wędzidło", str. 180), nie uznając niczyjéj wyższéj powagi nad własne widzimisię, swarząc i łając się wpadano z jednéj ostateczności w drugą. Głoszono spólność dóbr, przyczém bogaci, jak Jan Niemojewski, ubożeli a biedacy, jak Grzegorz Paweł i inni ministrowie, się panoszyli (pisze kalwin Trecy 21 stycznia 1570 roku, omawia to samo K. Wilkowski i jezuita Żebrowski w „Recepcie" z r. 1597); przeczono nieśmiertelności duszy lub nawet istnieniu jéj (Trecy w owym liście; Żebrowski twierdzi również, że „nurkowie" duszę uznawali tylko taką, jaka u zwierząt; na Litwie powołano na przeszłym trybunale wileńskim sędziego Łoweyka z Możeru o to, że nie wierzył w życie duszy po śmierci, w zmartwychwstanie, w sąd ostateczny, ani w stworzenie świata, który tak „od wieku" stoi). Uznając królem tylko tego, co dźwigał cierniową koronę, żądano od wyznawców, by światu wypowiedzieli wojnę; by nie dbali o ciało, o strój, ochędóstwo i wygody jego; by zrównali się we wszystkiém z prostaczkami, którym należy królestwo niebieskie. I porzucili ministrowie, w imię braterstwa i równości chrześciańskiéj, nawet urzędy swe; powoływano do przepowiadania we zborze nieuków-rzemieślników, obdarzonych darem Ducha św., z czego wszystkiego przeciwnicy szydzili. Dziwne też musiał sprawiać wrażenie np. taki Jan Niemojewski, okazujący się na sejmie lubelskim między barwnemi tłumami strojnéj szlachty w pokornéj postawie, bez oręża, bez służby i towarzystwa, w szaréj odzieży, z torbą na plecach — jeszcze w trzydzieści lat późniéj przypominał go sobie takim Stanisław Reszka (1596 r.). Inni znowu, zrażeni temi nowostkami, chwiejnościami i skrajnościami, wyłamywali się zupełnie z wszelkiego rządu, żyli „bez zboru i bez sakramentów leda jako"; jeszcze inni, skarży Czechowic w przedmowie do „Rozmów" 1575 r., nie chcąc

być poddani karności boskiego słowa „i nie mogąc wytrwać napominania zborowego, stateczności ścisłego żywota chrystyańskiego i odnowienia ducha umysłu nowego z nami nie chcąc naśladować, na zad się zaś ku światu i więtszej cielesney wolności wrócili", pierwsze wyznanie przyjęciem rzeczy, dawniéj opuszczonych, „jako omyte świnie błotem kału gęstego, znowu splugawili" i nas wszystkim hydzili. Jednóm słowem, w zborze rakowskim zapanował chaos, o jakim późniéj tylko niechętnie, półgębkiem, ze wstydem wspominano; czasy te nazywa Czechowic (tamże) „onym dziwnym zamieszaniem, trwogami i rozprószeniem pocztu wiary i wyznania naszego"; inni „konfuzyą" i t. d.

Najbardziéj trwożyło, że uciekający przed błędami „bałwochwalni trójczackich" porzucali nieraz grunt Nowego Testamentu i cofali się do Starego, do Mojżesza i do Proroków, lub tylko do Dwu tablic, które z naukami pogańskich filozofów łatwiéj pogodzić się dawały — ci „poganożydowie" z przedniejszym hersztem (Budnym?) szerzyli bardzo zaraźliwe a „potworne gadki", że Chrystus nie Mesyaszem, że nie z woli Bożéj za nas grzesznych umarł, że nie zmartwychwstał ani teraz panuje; nie zlewali się jednak zupełnie z żydami, gdyż „dla wygody" rozróżniali między koniecznemi a zbytecznemi przepisami: obchodzili więc soboty zamiast niedzieli, ale nie wiązali się do obrzezania, do kuczek, pożywania baranka, ofiarownictwa i t. d., np. Piekarski (Hieronim, niegdyś towarzysz Piotra z Goniądza w zwalczaniu chrztu niemowląt?). Dla zohydzenia Nowego Testamentu, zebrał „żydotrójczak" Daniel Bieliński stotrzydzieści i dziewięć sprzeczności między ewanielistami i niemało kosztowało pracy ministrów aryańskich, zarzuty jego odbijać: Czechowic, podejmując się tego w „Rozmowach", nie wymienia go z nazwiska, wspomina tylko o jednym „nieobrzezanym nowym poganożydowinie a wielkim odmieńcu", bo odmieniają się w wierze, „jak kur indyjski w grzebieniu swym". Duchem starozakonnym pałał szczególniéj Budny, żądający tępienia mieczem wszystkich, co się w wierze nie zgadzali. Lecz nowe „żydowstwo" i między Aryanami i między kalwinami (w Wilnie kilku z nich nie jadało świniny, dawało się obrzezywać nawet?), wyjątkowo liczyło zwolenników; szerzyło się ono głównie między siedmiogrodzkimi Aryanami, gdzie się za Franciszkiem Davidis Sabatyanie od nich oddzielili; jednym z najgorliwszych krzewicieli jego był Niemiec, Wegius—zwano go różnie, Maciejem Gliriusem, „póki tu w Polsce chodząc ministry, zbory i pany zwodził od tych ostatków chrześciaństwa i póki się był nie obrzezał — wiadomo jest, jako wiele ludzi ten bezecnik w Polsce i w Siedmiogrodzkiéj ziemi z swym discipułem Franciszkiem Dawidowiczem w żydostwo sprosne wwiódł" (K. Wilkowski, 1583 r.). Ów Daniel Bieleński, późniéj

minister kalwinów wileńskich, od żydowstwa nawet i do turectwa pomyślał, jak sam w swojéj „Rewokacyi" (nieznaném dziś dziele łacińskiém, cytowaném często np. przez ks. Powodowskiego) wyznał. Do Turcyi trafiali przedtém i późniéj niektórzy, np. Adam Neusner, uciekłszy z więzienia hejdelberskiego, na Szmigiel i Siedmiogród; Pawłowi Alcyatowi, piemontczykowi, co przed genewskiemi prześladowaniami do Moraw i Polski się uciekł, a w Gdańsku umarł [1]), zarzucano otwarcie, że przekładał islam nad chrześciaństwo; Wilkowski wspomina o nurku „Kuneyce, wygnanym do Turek i tam obrzezanym" i in.

Najwięcéj zwolenników znachodził chiliazm, kołatający się długo i upornie po głowach aryańskich, zapatrzonych, wobec prześladowań i wzgardy teraźniejszéj, w owo upragnione i oczekiwane z pewnością tysiącolecie Chrystusowe na ziemi, przed sądem ostatecznym, gdzie sprawiedliwi z Panem w doczesném Jeruzalem obfitować będą w spokój, dostatki i władzę, gdzie bez grzechu, choroby i śmierci tryumfu nad sługami antychrysta zażywać będą — mrzonki, wylęgłe w zrozpaczonych głowach żydowskich, a oparte późniéj na dosłownie pojętém miejscu apokalipsy, połączoném ze słowami Zbawiciela w ewangelii ś. Mateusza. Chiliastami byli np. Jan Niemojewski, przeciw któremu Socyn pisywał; Motowiło, którego książę Ostroski do odpowiedzi na pismo Skargi o jedności kościoła wzywał (o chiliazmie jego wiemy ze wzmianki w liście księcia Kurbskiego) i in.

Łódkę aryańską, grożącą zupełném rozbiciem, ocalili Marcin Czechowic, który jedyny wtedy urzędu ministrowskiego nie złożył; Szymon Ronenberk, zamożny aptekarz krakowski, mąż wielkiéj wymowy i powagi; Krowicki, Budzyński i kilku innych; otrzeźwiono się z szału neofitów, przestano spuszczać się na inspiracye prostaczków, wrócono do przewodnictwa zborowego — lecz nie wrócono zupełnie do świata, płacącego „wisielcom", pogardą a wzamian od nich „szubienicznikiem" zwanego. I nadal bowiem zabraniano „chrystyaninowi", w myśl nauki Zbawicielu o nieprzeciwianiu się złemu, nieprzysięganiu, miłości ku nieprzyjaciołom i prześladowcom, jakiegokolwiek sądu i walki, jakiegokolwiek używania a choćby noszenia tylko oręża; nie dozwalano chrystyanom nietylko przysięgać, dzierżéć urzędów z władzą nad życiem i śmiercią, ale nawet udawać się do nich w sprawie własnéj, jeśli tylko z szkodą (karą) obcą połączona by była. Równocześnie jednak, wedle słów o oddawaniu cesarzowi, co cesarskiego, wymagano od

[1]) Gdy go raz żacy krakowscy srodze turbowali, uszedł im, mieniąc się nie „Arianus" lecz „Marianus", bo wierzy, że Chrystus z Maryi zrodzony. W r. 1581 żył w Krakowie, w liście do Ronenberka kazał go Budny pozdrowić.

chrystyan najzupełniejszego i najwierniejszego poddawania się zwierzchności i jéj rozkazom—tak dalece, że nawet walkę o swobodę wyznaniową uważano za bunt, za szatańskie przeciwienie się prawowitéj władzy. Takim sposobem uchylano na zawsze jakąkolwiek solidarność (albo raczéj posądzanie o nią) z anabaptystami monasterskimi: wyraźnie zaznaczał to już list synodu węgrowskiego z 10 grudnia 1565 r. (....i wprzód będziemy się starać gorliwie i świadczyć słowem i czynem, wzywając łaskę Bożą nad zwierzchnością, nie dla strachu tylko, lecz i dla sumienia i t. d.). Na tém stanowisku, pełném niekonsekwencyi i wybiegów dotrwał aryanizm do końca, chociaż i z niego samego wyszli światli mężowie, jak Samuel Przypkowski, którzy tę sprzeczność między wymogami rozumu, a wiary godzić i usuwać umieli.

Lecz i w początkach aryanizmu nie obeszło się co do tego bez głębokich sporów, choć inną bronią walczono; argumentował Przypkowski rozumem, to czerpali dawniejsi obrońcy miecza i urzędu, doktór Jakób Paleolog (Grek, nauczyciel w Siedmiogrodzie, potém w Polsce i na Morawach żyjący, wydany Rzymowi i spalony na stosie), Szymon Budny i in., argumenta teologiczne ze starego testamentu; przebieg téj pierwszéj fazy owéj walki rzuca tyle światła na ludzi, ich słabostki i obłudę, że opowiemy go pokrótce wedle dzieła Budnego (O urzędzie miecza używaiącem wyznanie zboru Pana Chrystusowego, który w Litwie i t. d., 1583 r.).

Podlaszanin, Piotr Giedzek z Goniądza, jak wzniecił spory o dogmat Trójcy Św., o chrzest niemowląt, jak używał pierwszy terminu „chrystyanin" (boć Chrystusa nie zowiemy Chrzestusem), tak wzruszył pierwszy w książce o zwierzchności (łacińskiéj, dziś nieznanéj) i spór przeciw dzierżeniu urzędów; za nim poszli Grzegorz Paweł i niemal wszyscy bracia polscy; przyjęli odnośne kanony, ustanowione przez zbór Rakowski. A mianowicie: jako nie słuszna rzecz wiernemu, królem, książęciem, hetmanem, wojewodą, starostą, sędzią, podsędkiem, namiestnikiem, wójtem, burgmistrzem, setnikiem, żołnierzem, drabem i t. d. być; jako takiemu nie godzi się imienia, z któregoby wojnę służył, mieć, praw wszelakich, polskich, litewskich, niemieckich, ziemskich, grodzkich, mieścskich i innych, gdzie mieczem karzą, albo wżdy przysięgi skazują, używać; naostatek, jako się nie godzi oręża wszelakiego i podróżnemu nosić albo wozić i rozbójnikom się bronić. Po śmierci Stanisława Paklepki (r. 1565, w powietrze) zastawiali się przeciw tym skrajnościom tylko Marcin Krowicki (niegdyś przyjaciel Orzechowskiego, sługa Kmity, żonaty pleban) i Stanisław Budzyński: ten pisał na synod lutomirski r. 1573 list na ręce Krowickiego, aby

takowéj srogości we zborze bożém nie używali, jak potąd, tak iż téż u kogo kord widzieli żelazny, zarazem potępiali i do piekła odsyłali. Złożony ustawiczną niemocą Krowicki odpisał tylko w dwa tygodnie przed śmiercią (z Piasków po ś. Szymonie 1573 r.) Budzyńskiemu. Zarzucał Rakowianom, że czynią wszelkich przełożonych tyranami, podczas gdy i naszego wieku znaleźli się tacy, przez które P. Bóg rozszerzył ewangelię swoją, boby bez nich „było nas pognieciono jako gnidy"; daléj, że Boga takowym czynią, który brakuje między osobami ludzkiemi, stany wielkie odpycha od siebie precz, a którzy chodzą w siermięgach, w odrapaném i plugawém odzieniu, abo w kożuchach wszywych, miałby przyjmować w łaskę; że ścisnęli ewangielią, którą Chrystus kazał przepowiadać wszelkiemu stworzeniu, a oni wyłączają z niéj siedzących na urzędziech. Siła było naustawiano w Rakowie, co się wniwecz obróciło, z czego się Bogu hańba a ludziom śmiech uczynił, a we zborze bożém zgorszenie; zborem bożym najwięcéj rządzić chcą Rakowianie, już nie będąc ministrami, tylko tułaczami błędnymi (oni ministeria swoje spomiatywali, gdyż jich do tego nikt nie popychał — prosto była kaźń Boża). O tém więc teraz największe zatrzęsienie i zatrwożenie; brzemiona i jarzma ciężkie a nieznośne kładą na lud boży.

Paleolog, wezwany od Jakóba Kalinowskiego i Szymona (Ronenberka?), zdanie swe za urzędem i obronę tegoż po łacinie wypisał, lecz spis jego między bracią zborową nie rozszedł się i spór zdawał się uśmierzony. Wznowili go Litwini. R. 1578 gdy w Litwie, za pomocą Bożą a za częstemi i statecznemi namowami, umyśliliśmy w Łosku nas kilkonaście ś. ponurzenie przyjąć, zaczemby téż i drugi sakrament (Wieczerzy) doszedł i wszytekby porządek przywrócon był, tedyśmy byli niektórzy umyślili zaniedbać, jako miejsc sławnych, tak téż i osób ważnych; chcieliśmy tak między nami samymi szafarza tego sakramentu obrać i jemu tę sprawę zlecić. Lecz jeden z ministrów, w Polszce przedtém ponurzony, nikogo się z nas nie dołożywszy, tak wedle swego zdania starał się o to, jakoby tu do onéj sprawy ś. kilka bratów z Polski przybyć mogło, jakoż przybyli i przedsię wdzięcznie od nas wszystkich przyjeci. Krótko mówiąc, oni bracia a zwłaszcza dwa (Marcin Czechowic i Aleksander Witrelin) pilno się o wszytkiem, t. j. o nauce i o obyczajach, przed usługowaniem ponurzenia ś. przypytawali. Dowiedziawszy się, że z nas niektórzy mieli domki szlacheckie, pytali, jakobychmy do tego ś. sakramentu szli, mając takie domy? Powiedzieliśmy, że gotowiśmy te domy przedać lub nawet porzucić, skoroby to nam słowem bożém pokazano, że się ich trzymać nie godzi. Przestali na tém oni. Doszło ś. ponurzenie. Lecz ozwał się jeden szlachcic,

Basil Ciapiński (tłómacz i wydawca ewanielii małoruskich), a przy nim i innych kilka, że to nie jest przeciw nauce ewanielskiéj, urząd mieczowy, także imienie szlacheckie trzymać, na wojnę jachać, praw używać i t. d. Sparli się z nim bracia polscy, ale iż wieczór był, dali sobie pokój. Nazajutrz téż nic o tém więcéj nie mówiwszy, różno się rozjechali (Polacy na Żmódź). Wszakże ten kamyk u mnogich został w sercu. —

Na końcu czerwca 1578 r. złożon był synod do Lucławic na Podgórzu, na który wysłano z Litwy Budnego i Fabiana Domanowskiego, z listem od szlachty, by się o téj „przy" statecznie rozmówiono i rozmowę na Litwę przysłano; lecz bracia polscy w nic takiego wdawać się nie chcieli, pan Jan Niemojewski np. odpowiedział, że to u nas już jest *ratum gratum et firmissimum*, że Chrystyanin nie może być urzędnikiem w rzeczypospolitéj żadnym; odpisali téż szlachcie litewskiéj krótko barzo, odsyłając ich do książki Czechowica (Dyalogi). Również nie użyczyli nam spisku Paleolowego ku przeczytaniu; wystarałem się oń z Krakowa, od Paleologa samego, który na ten czas w Morawie mieszkał; ten tak nam i panu memu, staroście żmódźkiemu (Kiszce), podobał, żeśmy go wraz z przeciwną censurą Grzegorza Pauli, dali tu w Łosku w sierpniu 1580 r. wydrukować. Tymczasem na synodzie lubelskim, w styczniu 1579 r., chciano uchwalić, że żaden nie ma nic wydawać, ażby drzewiej starszy przepatrzyli i uchwalili. Na synod Lewartowski w jesieni 1580 r. przyjechali z Litwy Budny i Tomasz Gardliński, ze spisem Paleologowym; synod ten, na którym miano dysputować z Trójczakami (kalwinami) o Bogu i o Synu Bożym, rozerwan, gdyż nie chcieliśmy im pozwolić, powoływać się prócz Pisma ś. na concylia i doktorów; jechaliśmy wszytcy do Lublina; polscy bracia dla wieczerze Pańskiéj, my, aby ich o śmierć Franciszka Dawidowica (żydowstwującý, jak Paleolog i Budny, umarł we więzieniu siedmiogrodzkim) strofować i owe księgi Paleologowe o wojnie i o urzędzie ofiarować. Lecz niemoc, którą tu w Litwie kostołomem zwali (czy nie influencya?), popadszy nas jeszcze w Lewartowie, przeszkodziła nam; wszak ozdrowiawszy nieco, przyszliśmy do jich pasterza (Czechowica) i o niesłusznem Franciszka osądzeniu mówili; oznajmiliśmy jim téż, że z nimi do wieczerze p. nie zasiądziemy. Nazajutrz tedy odprawowali wieczerzą, przy któréj nie byliśmy; wszakeśmy po obiedzie do jich gromady przyszli, gdzie pozdrowiwszy je od wszytkich litewskich bratów, podawaliśmy jim księgi Paleologowe z prośbą o ponowne względnienie w ten spór. Lecz naszy mili bracia, a zwłaszcza oni, którym najwięcéj przystała cichość i znaszanie, z trzaskiem się na nas puścili, ksiąg i do rąk wziąć niechcieli, odcięciem (*anatemą*) o zgwałcenie dyscypliny grozili:

czemuś ty, Budny, te księgi do druku, nam jich drzewiej na próbę nie dawszy, dać śmiał? Jam tak pytanie pytaniem odbił: moi łaskawi panowie bracia, gdybym był was spytał, jeśli je drukować, czy dozwolilibyście byli? Zamilczeli; gdym powtóre spytał: ale bracia, powiedźcie; odpowiedział przedniejszy senior, p. Niemojewski, nie dozwolilibyśmy byli; także i wszytcy, a było mężów o czterdzieści, krzyknęli: nie dopuścilibyśmy. A jam rzekł: a dlaczegożem tedy miał was o to pytać, com dobrze bez pytania wiedział? Lecz oni przedsię dyscypliną grozili: jam też powiedział, żebyście pierwsze i więtsze staranie o samych siebie i o bliższych, niż o nas dalekich, daléj niż za siedmdziesiąt mil, mieli; bo acześmy tu u was nie dawno, jednak widzimy, że nas niewinne baczycie, a siebie nie raczycie. Widzimy, że z was jeden przedniejszy minister córkę swoję papieżnikowi w małżeństwo dał, tenże teraz syna swego do Włoch posyła, gdzie się nic dobrego nauczy, że co teraz ociec buduje, tō syn jeśli się wróci, rozwalać będzie. Za tém oni dopiéro poczęli się pytać, któryby taki miedzy nimi był i dopytali się u swych, ale jeśli go potém strofowali, tego niewiem. Koniec ten był, że ksiąg nie wzięli, aż gdy już z miejsc swych powstali, przystąpił ku mnie niektóry mąż uczony, cudzoziemiec (Socyn), i prosił o egzemplarz, chcąc przeciw niemu pisać.

Takci nas na on czas ci bracia pocieszyli, tak nas odprawili i owszem przez nas do braciej (litewskiéj) pisali, odłączeniem grożąc i powagą swą i nie wiem jaką żwierzchnością strasząc. Lecz nie wiele wystraszyli, bo na synodzie łoskim 6 stycznia 1581 r., gdy się wotować przyszło, wszytcy za pomocą Bożą, oprócz dwu, za urzędem, iż ma we zborze Chrystusowém miejsce, wotowali; wszakże tegoż czasu pisali do braciej polskiéj, napominając i prosząc, aby sobie nie ufali, z prawdą nie walczyli, a jeśli by to być mogło, aby się z nami na pewném miejscu uźrzeli i o tém się w miłości braterskiej przytomnie namówili.

Potém było z obu stron milczenie, aż w sierpniu (1581 r.) wyszedł spis łaciński przeciw Paleologowi onego cudzoziemca (Socyna), uczenie, ale więcéj przeciw samemu Paleologowi, niż przeciw jego sentencyi; na który Paleolog odpowiedziéć, jako chciał, nie mógł, gdyż niebawem dla prawdy Bożéj gdzieści we Włoszech męczennikiem został. Gdy przeto naszy polscy bracia onym odpisaniem zmocnieni byli i nie leda jako ufanie swe na niem zasadzili — jako się znaczy z listu niektórego z nich do jednego pana radnego tu w Litwie — pisali do nas, składając u nas w Litwie synod na 18 stycznia 1582 r. do Iwia. Chętnieśmy onego czasu ich czekali, lecz zamiast nich, przybyły nazajutrz listy do nas i do JMP. starosty żmódzskiego; w obu zatrudnienia swe

przekładali i nieprzybycie pilno omawiali. Nie po myśli to nam było wszytkim; mówili niektórzy, że to nie próżno, ale pewnie dlatego, aby tak słuchacze, niepotrzebnie się spracowawszy, drugim razem nie przybyli (i rzeczywiście, co ich pierwszym razem do kilkanaście było przyjachało, to potém — prócz p. starosty — ledwie jeden. P. starosta i my naznaczyliśmy braci lubelskiéj nowy termin, do Lubcza na 1-go marca.

Tam przyjachało polskich ministrów czterzej i kilka młodzieńców, t. j. Marcin Czechowic, Jan Niemojewski, Mikołaj Żytno, Piotr Domaniewski, Piotr Lubieniecski i t. d., a z naszéj strony mało co więcéj, chociaż tylko trzej rozmawiali. 5 marca dopiéro — prze niektóre pilne JMP. starosty zabawki—uczyniwszy modlitwę ku P. Bogu, zasiedliśmy, lecz polscy bracia do rozmowy o urzędzie mieczowym we zborze żadną miarą przystąpić nie chcieli, ażby pirwej o wzywaniu Pana Chrystusa rozmowa i zgoda albo niezgoda była. Dlugośmy się jim tego zbraniali, lecz oni gwałtem nas do téj rozmowy cisnęli; spodziewali się po nas tego, żebyśmy wszelkiego wzywania P. Chrystusa zapierali a iż widzieli niektóre przedniejsze słuchacze tém się obrażać, przeto naprzód nas tym obyczajem podejrzanymi uczynić chcieli. Musieliśmy więc na tę rozmowę zezwolić i po niemałym sporze zgodziliśmy się z nimi co do wzywania Chrystusa jako pośrednika, którego o przyczynę do Boga prosimy i wzywamy. Chociaż oni sami w téj rzeczy między sobą nie prawie zgodni, bo jeden z nich, gdy po kazaniu miał wedle obyczaju modlitwy czynić, pirwej ją do Chrystusa jako do samego Boga uczynił, na którą nie wszyscy amen rzekli. Czego nazajutrz drugi z nich przystojnie pociosał, gdy obyczajem chrystjańskim pirwej do Boga samego wiecznego modlitwę piękną uczynił, a potém Chrysta Pana jako pośrzednika o zalecenie i ofiarowanie onej modlitwy Bogu nabożnie wzywał; przeto też wszytcy statecznie rzekliśmy amen.

6 marca gdy się już o urzędzie mówienie zacząć miało, prosiła nasza strona, aby mogło być prawie porządne mówienie (t. j. z prezydentem i z wiernym spisywaniem wszelkich mów i zarzutów, bo to pospolicie bywa, że więc oni, którym wątku albo radszcy prawdy nie zstawa, radzi się swych słów zapirają). Lecz nie mogliśmy tego otrzymać i musieliśmy pozwolić, tak na wiatr z nimi mówić, nawet i tego, by oni wprzód dowody swoje podawali.

Gdy się tedy tak na ten nierząd i na wszytko, co oni chcieli, pozwoliło, jeszcze i tego z wielkim usiłowaniem domówić się chcieli, abychmy propozycyą t. j. podanie o czém mówić, odmienili; zamiast naszéj chcieli mieć: jaki ma być żywot chrystyański; a to nie prze co inego uczynić chcieli, jedno żeby tego do nich żaden nie baczył, iż

urząd ganią, acz ji rzkomo wielce wysławiają, posłuszni mu są, Bogu się zań modlą i pobory chętnie płacą—lecz siedzących na urzędzie mają za niegodnych przyjęcia do zboru i sakramentów, t. j. za pogany ich poczytają. Idzie nam z nimi jacy (tylko) o to: że onemu każdemu, kto u nich sakrament chce przyjąć, jeśli ma na sobie jaki urząd, naprzód ji złożyć każą, a jeśliby nie złożył, tedy takiego do sakramentu nie przypuszczają. Acz ci się jakoś teraz w téj mierze trwożą. Jako gdym jednemu na tem synodzie zadał, coby uczynił gdyby do niego który wojewoda albo hetman z którejkolwie sekty przyszedł i kajał się a chcąc już wszytkie artykuły wiary z nami trzymać, prosiłby ponurzenia św., a wojewódstwaby albo hetmaństwa złożyć niechciał? Cobyś mówię uczynił? Czy przypuściłbyś takiego? Na to pytanie niewiedział, co miał odpowiedzieć, a prawie, jako mówią łacinnicy, wilka za uszy trzymał; bo się długo ramiony ściskał, aż gdy mu zewsząd o to dogrzewano, przez zęby powiedział, przypuściłbym. Ale zaś nazajutrz, gdy go drugi o toż spytał, przeciwną rzecz odpowiedział. Zaś samiż powiedali tamże na synodzie, że jakiegoś chorążego do ponurzenia w Polszcze przypuścili — tedyby już z nami nie mieli o co mówić; lecz to nie bez fortelu, bo pewnie przy takiém przypuszczaniu będą takich obwięzować, aby na potem ono wszytko opuszczali, coby nie wedle słowa Bożego trzymali a potem będą jim rzkomo z pisma ukazować, że urząd jest przeciw powinności chrystyańskiéj, *ergo* chorąży porzuć chorąstwo, także i ty starosto i t. d.

Powiedziało się jim na jich propozycyą, że nam nie o to z wami idzie, jaki ma być chrystyanin albo jego żywot, gdyż tu jest zgoda, ale o to, jeśli ten chrystyanin, który ma być cichy, cierpliwy, miłosierny i t. d., może urząd mieczowy trzymać czy niemoże? Za tém musieli tę propozycyą przyjąć a przyjąwszy zarazem powiedzieli, że się chrystyaninowi nie godzi żadnego urzędu mieczowego trzymać; a chcieli to za jeden dzień odprawić, t. j. uczyniwszy kilka kazań miasto dowodów — bo taki obyczaj mają, że długo mówią — a naszych dowodów jeszcze ani słuchawszy, ani się o nich pytawszy, mieli za to, że już po wszytkiem, t. j. już zwycięstwo sobie przypisowali. Lecz sie barzo na tem omylili. Bo gdyśmy swoje dowody podawać poczęli, a wieczór już zachodził, żądali, abychmy jim one dowody spisać dopuścili, żeby tak gotowszy ku odpowiedaniu na przyszły dzień byli. A tak gdyśmy je dla spisania jim wyliczali, nalazło się wszytkich piętnaście dowodów, a wszytkie z pisma św. zamknione. Na które obiecali się nazajutrz odpowiedać. Lecz nazajutrz zasiadszy rano do samego wieczora wszemi siłami kilku dowodom odpirając, ni jednego odbić nie mogli. Jakośmy to dosyć potężnie pokazowali i jeszcze potężniej pokazać go-

towiśmy byli, ale iż słuchać niechcieli, nie lza było jedno dać pokój; dziesiąci lepak dowodów naszych ani ruszyli, ani ruszyć chcieli, wymawiając się wiosną i drogą dla rostoku niepewną. Czemubym jednak wierzyć musiał, gdyby byli tedyż albo nazajutrz wyjechali, ale iż aż do dnia trzeciego na mieścu zmieszkali, trudno ma temu kto wierzyć. Odciąwszy tedy 7 marca o urzędzie rozmowę, o swéj zwierzchności, którą oni przezwiskiem dyscypliny farbują, chcąc ją i tu w Litwie nad nami rościągnąć, mówić zaczynali, i owszem, co byli w nocy miedzy sobą uradzili, jako a gdzie którego z nas przesadzić, to na rozjeznem, skoroby byli zwierzchność otrzymali, opowiedzieć i roskazać wolą mieli, ale iż nie na taki aspekt trafili, tak po dawnemu z radami swemi do Polski się wrócili. Daj jim Panie Boże lepszą szczyrość i doskonalszą do nas i do wszytkich miłość.

I o tém synodzie należy więc rozumiéć, co spółczesny o „Nowokrzceńcach" napisał z tytułu niezgody wielkiéj, „która miedzy nimi panuje. Naprzód miedzy samymi ministry, których ledwo jest dziesiątek albo półtora. A mogę rzec, iż miedzy niektórymi z przednich jest nieprzyjacielska waśń; zwłaszcza na synodzikach, gdy się zjadą a zgodę jaką w naukach swych różnych i w wykładziech pisma ś. przeciwnych sklijić chcą. Czego nigdy nie sprawią. Bo ośm albo sześć dni naswarzywszy się, gdy się i słuchaczom i sobie uprzykrzą, do domu każdy z swą opinią jedzie i to jest konkluzya: każdy przy swym zostań" (K. Wilkowski).

Głowną część książki (od k. 18—96) poświęcił Budny wywodom o urzędzie; narabia on starym zakonem, przykładami o Abrahamie, Dawidzie i t. d., najobszerniéj zastanawia się nad słowami 5 rozdziału ś. Mateusza: Nie przeciwcie się złemu, ale jeśli cię kto uderzy w czeluść prawą, nawróć mu i drugiéj i t. d. — zastawia się z Paleologiem tym, że ponieważ Chrystus zakonu Mojżeszowego burzyć nie przyszedł, więc i te jego słowa nie przeciw zakonowi, lecz przeciw faryzejskiemu tłumaczeniu i złemu używaniu zakonu wymierzone są; że odnoszą się ku osobom prywatnym, nie ku urzędowi; że jak Chrystus nie zabrania sprzeciwiać się złemu u dzieci, czeladzi, poddanych (boć i przepowiadanie słowa bożego jest sprzeciwianie się złemu, również karność domowa—czyż i to zabronione?), tak téż nie zakazuje królom i urzędnikom ich urzędu wykonywać. Przedewszystkiém zaś bije na to, że nie ma jasnego słowa Bożego o tém, że się wiernemu nie godzi urzędu z mieczem trzymać; na takie zaś spory nie starczy konsekwencyjek nikczemnych, trzeba wyraźnego zakazu.

Wywody Budnego zbyli Rakowianie milczeniem; co przeciw nim powiedziéć mieli, wyłożył był już Socyn (przeciw Paleologowi). Nauka

Socyna, moderująca nieco skrajności Czechowica i Grzegorza Pawła, przeważyła u Aryan, którzy i nadal ani walczyli, ani sądzili; uchodziło to, póki Aryanie stanowili drobną garstkę i z życia publicznego się wyłączali; słuszne zarzuty, np. że nie pozwalali bronić ojczyzny nawet przeciw napadom nieprzyjacielskim, odpierali tém, że zawsze znajdzie się dosyć takich, co zamiast „chrystyan" walki się podejmą — i Jerozolimę ukarał przecież Bóg ręką pogan, Rzymian, między którymi żadnego chrześcianina nie było. W ostatecznym razie byli gotowi, wyruszać zbrojno, nawet wywijać orężem—byle nim nie krwawić! jak Bracia Czescy, którzy wchodząc w kompromis ze światem, i na wojnę szli, lecz sobie wymawiali, by ich tylko w straży tylnéj, lub w załogach gdzie ustawiano. Wyznawaniem takich zasad skazywało się aryańswo zgóry na niepłodność, na brak szlachty w szeregach swoich wyznawców, zapełnianych głównie plebejami na coraz słabszą propagandę, dla samych tych zasad wielu, porzuciwszy katolicyzm, nie wstępowało do zboru: antagonizm przeciw papiestwu, przygodne odwiedzanie zboru, zastawianie się za nim w razie potrzeby, starczało już Aryanom, by tych obojętnych między swojich zaliczać (K. Wilkowski).

Nieliczne szeregi ich przerzedzała śmierć, rzadziéj odstępstwo, odczuwane o wiele boleśniéj, szczególniéj jeśli odstępca głoszeniem pobudek i wyjawianiem słabych stron zboru, wywoływał polemikę, występował w roli oskarżyciela, wywlekał brudy domowe. Takich faktów liczymy kilka w pierwszych dziesiątkach lat aryaństwa; najgłośniejszém było odstępstwo lekarza lubelskiego, Kaspra Wilkowskiego, ciekawe dla walk wewnętrznych i zewnętrznych, jakie Wilkowski przechodził, dla rozgłosu, jakiego w literaturze nabrało; z niego czerpali bowiem ciągle późniejsi polemiści, Reszka i inni; opowiemy wkrótce za autorem o walkach i trwogach sumienia jego — iluż to nie ulegało podobnym, w owe czasy apostazyi, przechodzenia od wiary do wiary, tęsknego, gorączkowego szukania prawdy wyznaniowéj; charakterystyka owych czasów niezupełna, jeśli jéj podobnych obrazów nie dostaje; wybieramy téż szczegóły nadzwyczaj ciekawe a pouczające, jakie autor o stosunkach i życiu w obrębie sekty, z któréj wyszedł, zapisał; czerpiemy zaś wszystko z dzieła p. t. „Przyczyny nawrocenia do wiary powszechney od sekt nowokrzczeńcow samosatenskich Kaspara Wilkowskiego, medyka lubelskiego" (Wilno, 1583 r., poświęcone w łacińskiéj przedmowie królowi Stefanowi). Opowiada zaś o sobie pan medyk, co następuje (w nawiasach dodajemy od siebie poprawki lub dopełnienia):

Za powodem Symona Ronenberka, aptekarza krakowskiego (jednego z wiernéj braci krakowskiéj), potym i za radą dwu zacnych tejże

sekty mężów, p. Stanisława Lutomierskiego (niegdyś, r. 1563, obranego superintendentem małopolskich Aryan) i Jana Mączyńskiego (autora „Słownika polskiego królewieckiego” z r. 1564) i za pozwolenim rodziców moich byłem we Włoszech — o czem sam ani myślałem i zrazu miałem to za rzecz sumieniu i żywotowi doczesnemu niebezpieczną. We Włoszech, folgując barziej zdrowiu a wiarując się niebezpieczeństwa, takem sumienie swoje daleko zawiódł, żem pewnej nadzieje o zbawieniu żadną miarą mieć niemógł. A nacięższy to był grzech, że ja, wierząc, iż msza jest iste od djabła przez antychrysta papieża rzymskiego wynalezione i wymyślone bałwochwalstwo a ciało prawdziwe pana Jezu Chrysta bałwanem i innymi strasznymi bluźnierskimi nazwiski nazywałem i tym być mocno trzymałem, jednak bywałem przy mszej i klękałem przed ciałem Bożym dla niebezpieczeństwa, choć to za bałwochwalstwo mając. Co jako mnię, dziwna rzecz, wróciwszy się do Polski trapiło, każdy, kto kiedy iskierki tego ognia w sobie czuł, dobrze rozumie. Na takim był barzo ciężki i wielce srogi hak z strony zbawienia mojego przyszedł, że było nielza, jedno zgola wszytkę nadzieję postradawszy, pewnego zginienia oczekiwać. Krzepczyłem się w tym długo, przez dziesięć lat, i częstokroć zbyć móla i ognia tego być wolnym, rozmaitymi sposoby w tamtej sekcie usiłowałem, ale próżno. Do jakich dziwnych ciężkości i wątpliwości to przywodziło, a ztąd za wnętrzną trwogą i do częstego ze zborem, zwłaszcza z Ministry, niepokoju, co oni dobrze wiedzą, którym z nimi będąc kwestyami i sprzeczanim się z nimi ustawicznym o wielu rzeczach byłem przez ten czas dosyć *molestus*, nie skąd inąd ani z innej przyczyny, jedno że pokoju wewnątrz niebyło a u nich, czymby się ucieszyć i prawdziwie uspokojić, naleść się nic nie mogło. A choć się to podczas ukołysało, że zborem prawdziwym będąc, mają moc do rozwiązania i grzechów odpuszczenia, przedsię jednak wielkość grzechu przed oczyma tkwiała i to, że chociaż by tę moc dobrze mieli, jednak jeśli bym przeciwko Duchowi Św. zgrzeszył, jakom rozumiał, u nich będąc, że mi to odpuszczono, jednak być nie mogło. Owa zewsząd desperacja i trwoga, aż za łaską Bożą błogosławiona jutrzenka światłości i pociech niebieskich ukazować się i wschodzić w sercu moim poczęła.

Zmiękczył Pan Bóg serce moje, żem zdrowej i mądrej rady (ks. Zacheusza Pikarskiego, który w Lublinie będąc deputatem i pracy mojej w poratowaniu zdrowia swego używając, do tego mię pilno namawiał) usłuchał i naukom i postępkom kościoła powszechnego rzymskiego, rozmyślając i poczęści czytając, przypatrować się począł, Panu Bogu, ile ona bojaźń grzechu i sumnienie strwożone dopuszczało, modląc się. I baczyli (bracia tej sekty), żem do papiestwa mierzył.

Prawda, żem wiele rzeczy podawał, któremi pokazowałem im, iż próżno się chlubią szczerym być i własnym zborem apostolskim: wiele niedostawa, wiele zbywa, wiele inaczéj i przeciwko kościołowi apostolskiemu. Dawałem téż znać, że mowy ministrów ostre, potwarliwe i szyderskie przeciw kościołowi rzymskiemu nie barzo mi się podobały. Natrącałem i tego często, że się jego rzeczy i dowody nie cale proponują i słabo a barzo niedostatecznie rozwięzują. Książki moje, którem był o tym za papiestwem na on czas przed kilka lat napisał, o których tylko kilka z braci wiedziało, świadczą, do czegom był postąpił i jak bliski byłem prawdy. Jako się to zaniechało i zatłumiło aż do tego roku (1583), długoby o tym pisać a mało potrzebnie. Gdy zaś czas naznaczony od Pana Boga przychodził, około puł roka przed nawróceniem moim, począłem oziębléj i nie pilno do zboru chodzić, acz mało nie oziębléj drudzy. Na co gdy minister (Czechowic) często i ostrze narzekał, mówiąc: Papieżnicy nas osądzą, którzy na swe roraty, jutrznie, na msze, nieszpory i t. d. chodzić nieomieszkiwają, ważyłem się zatym, przyczynę niedbalstwa w pośrzodek podać, któréj była ta suma. Iż nie do końca pewniśmy tego, służbali to Boża a słowoli to Jego szczere i prawdziwe, które tu we zborze opowiadane bywa; o drugich, mnie w niedbalstwie podobnych, tego się domniemawam; ja sam wyznawam na się, iż o tym wątpię. Po których trwogach i sporach w tymem się im nawet odkrył, iż te wszytkie wątpliwości i *tumultuaciones* we mnie być muszą, póki móla, który mie gryzie, nie zbędę a w tych dwu rzeczach rozwiązan nie będę: pierwsza, który jest prawdziwy kościół, moc grzechów odpuszczania mający; wtóra, że mój grzech we Włoszech nie był ani jest grzechem przeciw Duchowi Ś., nie jest zaprzenie się dobrowolne prawdy, owszem jest służbą Bożą, a ono mnimanie i bałwochwalstwem z niewiadomości poczytanie mocą od P. Chrystusa daną może być odpuszczone.

A iżem u nich o tym rozwiązan być ani upewnion nie mógł, nielża tedy było, już tu nie mogąc żadnéj otuchy na sercu mieć, pociechy i ratunku w kościele rzymskim poszukać: próżno, o duszę szło, musiało się wszytko na stronę, co zawadzalo, odłożyć. Powiedziałem tedy p. Janowi Niemojewskiemu, że muszę z księdzem (Stanisławem) Warszawickim (jezuitą, szczerze kościoła rzymskiego broniącym, jak go mi p. Niemojewski sam zalecał) o tym się rozmówić. Jakoż nie bronił mi tego, tylko chciał, aby ta rozmowa moja z nim była przy świadkach. Ale to nie było grzeczy, bom ja radzić się o rzeczy mnie potrzebne, nie swarzyć się miał potrzebę; koniec P. Bogu oddawałem. Jakoż do tego z łaski jego przyszło. Za pracą ustną i podanim pewnych pism od ks. Warszewickiego i, po jego odjechaniu, od ks. Symona Wysockiego

i ich modlitwami za mną, żem wziął koniec w onych trwogach i wątpliwościach. Co za praca i w tym czasie była, nietylkom nauki kościoła ale i innych zborów i tego samego uważał, ale téż osobno i samo pismo ś. pilno czytał i któremuby właśnie zgromadzeniu służyło, przypatrywał się, czego mogę każdemu, ktoby potrzebował, pewne znaki ukazać.

Niewidząc tedy nic w sekciech wszystkich, jedno drogę pewną na zginienie, wszystkie pokusy, przekazy i zawady wielkie i ciężkie zwyciężywszy a prawie wszystko podeptawszy, do kościoła ś. przystałem i w nim, jakom się za oną maluczką światłością spodziewał, co dzień więtsze a więtsze utwierdzenie, pociechę i oświecenie z łaski Bożéj biorę. Między owemi pokusami i zawadami wymienia Wilkowski długi i rzewny list, „który pan ociec mój miły do mnie pisał, chcąc mię w téj sekcie zadzierżéć: słowa w nim są takie, że adamantowe serce mogłyby zmiękczyć i od przedsięwzięcia odwiéść. A wiédzcie, dla czegom ja na mniéj zemdlić mu się nie dał. Czuję się, com rodzicom powinien i gdyby tylko o samę moję duszę szło, na taką pilną ojcowską prośbę, na takie groźby, jakie tam są, snaćbych był ustąpił. Ale o Boga stworzyciela i wybawiciela, potym i o jego prawdę idzie. Któremum się długo ociągał i nieszczęśliwym, że mię na to powoływał, długom się poczytal i narzekałem gorzko, bacząc te trudności, kłopoty, szacunki, które mię miały potkać i potykają a najwięcéj ten niezmierny frasunek ojcowski przed oczyma tkwiał. Ale trudno się przed Panem skryć...

Co z jakim mi przyszło utrapienim i com na sobie odniósł i odnosić muszę, wam tajno nie jest a najwięcéj, iż wam natrącę, żem się od was, prawie depcąc po namilszych rzeczach, do Chrystusa wydrzeć musiał: wszakeście frasunków i listów, twardszych niż kloza, mocniejszych niż łańcuch do zatrzymania u was, ostrszych do zabicia niż miecz, dobrze świadomi. O czyjich to liściech mówię, wiécie, mianować dla więtszego zajątrzenia nie trzeba i żal niedopuści. Ale nie tu koniec; baczyłem i teraz czuję, co mię za kłopoty i zelżywości oczekiwają. Na mię teraz pismy swojemi wszyscy waszy i inni gniewy swoje wyleją; sprawę tę i pracą moję dziwnie obramują i serce moje mięsnymi, ci co żelazne kordy porzucili, dobrze posiekają...

Wiem téż jako waszy pragną, nawet i P. Boga proszą, oczekiwając nieszczęścia jakiego mojego a mianowicie grzechów jakich sprośnych, czymby się sami ucieszyli i katolikom mną urągali, mam ich o tym listy...

Rzeczecie drudzy, niechcemy z tobą sprawy mieć, boś zbieg i zmiennik, prawdyś się, Boga i Chrystusa zaprzał, dla zbogacenia

w papiestwie i abyć wolno było wszytko, tameś się udał; ktemu z zboru wyrzucony i szatanowi oddany jesteś, niegodzi się nam i pozdrowić cię i rękić nawet dać (co u was częste, co był niedawno minister Farnovius p. I. Niemojewskiemu zuchwale uczynił, że go ręki swéj i mówienia z nim przy wielu ludziach z wielką zelżywością nie godnym osądził)...

Gdym nie opatrźnie wyrzekł o jednym, co też w kościele (katolickim) ze zboru lubelskiego począł był bywać, mówiąc, iżem nie sam, co za trwoga i frasunek był między wami, tak długo, ażem musiał, abych był od was za kłamce niepoczytan, onego mianować, coście tam potym z nim czynili i jakoście go przy sobie zatrzymali, ja już nie wiem...

Wiem, i wy to często wyznawacie, doświadczywszy, że wiele się po ponurzeniu gorszymi stawają, a wszyscy oziębłejszymi i leniwszymi do dobrego... Niech tak będzie, że łakomstwo i chciwość bogactw do papiestwa mię wwiodło od was, tym sposobem mało was wrychle zostanie. Bo zaprzéć tego nie możecie, że między wami chciwych bogactw jest więtsza część. Ale u katolików nie baczę, aby co za to dawano i bogacono, jam dotąd, coby w oko skryć, *eo nomine* nie wziął. Lecz czy wy nie dawacie i nie wspomagacie tych, co się do was przyłączają? Chcielibyście przeć tego, wasze niektórych majętnostki, tym potracone, to jawnie świadczą. Aza też wam jedni baczniejszy jawnie waszych podarków nie odsyłają? jako on ks. Jakub, kaznodzieja z Wieliczki, gdy od was, mało co z wami pobywszy, odjechał; drudzy zaś, oberwawszy, jawnie szydzą i śmieją się.

Powiadacie, od was zbieżałem, aby mi wolno było wszytko, a zwłaszcza lichwę brać. I cóż tak srogiego czynicie lichwiarzom, żem to ja dlatego od was musiał odstać? nic, ganią ją i na lichwiarze na kazaniu ministrowie wołają—barziéj i cięźéj katolicy. Cóż daléj czynią? podobno ze zboru wyrzucają, do wieczerzéj pańskiéj nie przypuszczają, szatanowi oddają lichwiarze, nie jedzą z nimi, ręki im nie dają i sprawy żadnéj z nimi nie mają? Bynajmniéj—chyba jeśli katolikiem został, choćby i lichwić przestał.

Rzeczecie jeszcze: nie dla naszegoś to dobrego napisał i podał, ale abyś nas zesromocił i na mięsne jatki wydał. Tego mniemania waszego o mnie pewien jestem z onych waszych słów i pism do mnie: ty naszym Judaszem będziesz, ty nas wydasz, ty na nas krzyż i wszytko złe przywiedziesz i t. d. Ale to tu tylko piszę, coście sami albo wodzowie waszy albo zbiegowie do was kosztem waszym napisali i na jawią wydali, co każdy z waszych ksiąg, których jest wielkie mnóstwo, wié albo wiedziéć może. Mów i spraw, któreby wam szkodzić miały,

albo o których rozumiem, żebyście ich jawnie pisać i mówić nieśmieli, pilno się strzegę wspominać...

Powiadam wam, żeście papiestwa nie świadomi, żeście lekkomyślnie je porzucili, albowiem ile was znać mogę, żywych i zmarłych, nieco zwłaszcza w sektach waszych mężniejszych, tedyście w dzieciństwie, w leciech waszych nierozsądnych, chowając się w onych szkołach niemieckich, w złe mniemanie o kościele rzymskim wprawieni. Rzeczecie, nie wszyscyśmy byli dziećmi albo młodzieńczyki, gdyśmy papiestwo porzucili, ukażcież mi, wielu z was było na ten czas dwadzieścia lat minęło? Ja żadnego nie znam. Lecz mógłby się podobno naléść który taki, jednak ten każdy laikiem, od prawnych swarów i świeckich spraw albo od pługu albo od warstatu do Luterstwa się porwał, w którym żadnym tak wiele rozsądku nie było tysiącznéj części, ile odmiana tak wielka potrzebuje...

Sadzicie się ustawicznie na szczere pismo, nic nie dodając ani odmiatując, tymczasem i odrzucacie, co tam rzetelnie rozkazano (np. mycie nóg jedni drugim), i ustawiacie, czego tam nie ma. Przytacza kanony i reguły, jakie sobie dowolnie ci papicże nowochrzeńscy ustanawiają, między niemi i ten że urząd jest przeciw powinności chrystyańskiéj więc chorąży porzuć chorąstwo; „ja dołożę, chorąży ponurzony będzie się wywodom ich sprzeciwiał i choręstwa, aż mu dano podkomorstwo, niepuścił—cierpią to ci papieże (tak Budny Czechowica zowie); tylko niektórzy, co téż jakie urzędy puścili, szemrzą, folgę tę widząc i wzgląd na osoby, także i ubodzy drudzy, któremuby żadnemu, gdyby wójtem albo pisarzem w miasteczku został, niecierpiano. Więc dekreta swoje jako chcą relaksują, wedle czasu i osób. Przypuszczają do wieczerzéj białegłowy, pytam gdzie *expresse* w piśmie ś. napisano o tym? I w innych wielu rzeczach sami się doma porachujcie i one wyrzućcie, dopiéro komu drugiemu pódźcie a źdźbło wyjmijcie t. j. pierwéj ministrów waszych kilkanaście i zborzyki od wynalazków oczyśćcie i zbór jeden bez wszelkich przydatków w nauce, postępkach i ceremoniach wybudujcie: ale tymczasem wiele wody upłynie i rychléj sobie oczy wyłupią i ostatki rozwalą budowania swego.

Niezgoda między nimi panuje, nie tylko między samymi ministrami, ale i jakaś skryta waśń dwuch stanów, ministrów z ubogimi a panów. Ministrom tkwi w głowie i w głos to mawiają: póki panowie we zborze, póty nie może być dobrze, nie może być rząd; przeto ich téż wielu z majętności i szlachectwa połupili i prostymi chłopy poczynili, na co teraz wiele ich obaczywszy się narzekają albo ich żony i dzieci płaczą. Panowie zaś mówią: póki ci żacy we zborze rządzą, póty nie może być dobrze, i radziby zpośrzodku siebie ludzie proste i niewy-

krętne ministrami widzieli, powiadając, iż tacy byli w zborze apostolskim, nie szukano z szkół żaków, z pośrzodku siebie męże na to obierano. A owe jawne niezgody, częste odmiany, częste rewokacye ale bez przysięgi, bo znowu myślą od tego, do czego przystają, odpaść a wątpiąc, prawdali ono, co twierdzą, poprzysiąc tego nieśmieją.

Druga przyczyna, trwoga i wątpliwość, zwłaszcza, czy słusznie i z Boga nurzanie w zbór wprowadzili? latają już o tym książki i listy, i spory wielkie o tym między nimi, ale bez pospólstwa, bywają. Nie rozumiem samego Doliny, który z tym po świecie jeździ, u nich się ponurzywszy, ganiąc to nurzanie wodne i wieczerzą chlebową a ministry najemnikami, brzuchowymi sługi zowąc a siebie samego mężem i posłańcem Bożym; są inni mędrszy. Wiele się we zborze tą ich nauką potrwożyło; przedni nurzyciel o tém barzo wątpi, Siekierzyński. Pamiętacie, jakom się ja onymi jego dyskursami o nurzaniach obraził, gdy o tym jako nastały wywodził: jedno w nieznajomego Krystusa, Kujawskie; drugie w tego, co przed P. Maryą nie był, Rakowskie; trzecie w przed P. Maryą będącego, Podgórskie; czwarte, z mieczem, litewskie. A nazajutrz mówił: nie nurzać mię, ale uczyć Pan posłał; Czechowic, iż to przyniósł z Niemiec i najpierwéj w Polszcze nurzać począł, tego najbarziéj broni. Drugi zaś powiedział: gdybyśmy mieli poprzestać nurzać, zadławiliby nas ludzie, gniewając się, że się na swą sromotę dali nam namówić, gdybyśmy to zaś mieli ganić. Przeto téż wiele się już do niego iść ociąga i nie tak się jako pierwéj spieszą; drudzy zgoła tą nauką przestrzeżeni nurzać się nie chcą. Bo ten, co to prowadzi (Socyn), jest uczony człowiek, ociec i autor nauki téj, w któréj się najbarziéj kochają, o Synu Bożym, dla tego go między sobą, choć tak wielki błąd prowadzi, uczciwie chowają i barzo miłują; on za nie łacińskim językiem odpisuje kss. Jezuitom, p. Wolanowi, Paleologowi i t. d.; będąc tak ostrego dowcipu, baczy to dobrze i wyznawa, że to nurzanie jest wielką przekazą a prawie chamulcem, dla czego się zbory niepomnażają i jego nauki o Bogu i Synu Bożym nie przyjmują, jedni nurzania się tego bojąc, drudzy sromając, trzeci niepotrzebnym i nie wedle słowa Bożego być rozumiejąc; i sam to wyznawa, iż dla tego się nie nurza i nurzanie gani [1]).

---

[1]) Co Wilkowski o czworakim chrzcie prawi a inni skwapliwie powtarzają, odnosi się nie do chrztu, lecz do odłamów i sekt w aryaństwie. Ponurzanie z mieczem, litewskie, to nauka Budnego, że miecz i urząd mieczowy Chrystyanom się godzą, przeciwna Rakowskiéj; trojakie inne ponurzenie, to różnice dogmatów o Chrystusie: rakowski dogmat uznawał człowieka, przejrzanego i wzbudzonego od Boga, wskrzeszonego ze zmarłych i królującego w chwale; podgórski zaś—Boga syna przedwiecznego. Pierwotnie bowiem, np. Piotr z Goniądza, zwalczając

Trzecia przyczyna, iż barzo w ludziach zbory te schodzą. Owi przedni panowie i znaczniejsza szlachta zmarli, na dwu albo trzech wszystek zbor wisi. Co się też tknie ministrów, przedniejszy oni, Krowiccy, Kalinowscy, Kościeńcy i t. d. pomarli, drudzy do żydostwa postąpili (Budny, Bieleński), trzeci do kalwinistów się wrócili (Bieleński), czwarci też doma siedzą nieznacznie albo za co się innego, porzuciwszy ministerya, wzięli (Grzegorz Paweł), młodzieńców, którzyby po nich mogli nastąpić, nie chowają ani w to wprawują, ojcowie syny swe do dworów i do szkół innéj wiary wolą dawać, sromając się tego szlachcic, gdyby syn jego miał się w tém ćwiczyć, jakoż nigdzie takiego niedbalstwa niemasz w ćwiczeniu albo wprawowaniu dzieci w religią swą ku pomnożeniu jéj, jako u Nowochrzczeńców, choć wolą sami słuchać ćwiczonych: pilniéj i nie tak tęskno słuchają Czechowica albo Aleksandra (Vitrelina), co w szkolach zrośli i doktorów świętych rozumieją i przywieść umieją w swych kazaniach, niż szlachcica od gospodarstwa, chłopa od pługa, mieszczanina od kopyta, albo od kramu albo od czopu: tęskno i nie smakuje, nie buduje, powiadają, jego mowa. O tym ćwiczeniu (młodzieży) gdy bywała zmianka, zwykli mówić, wypchnie P. Bóg (takich), wyuczy sam, i obdarzy Duchem ś. i umiejętno-

---

dogmat o Trójcy, bóstwu Syna nie przeczył; spory o to wzniecili w umysłach polskich Włosi, Paruta, Blandrata, Alciat, listami (z Moraw i Siedmiogrodu) i ustnie, Franciszek Dawidowicz, pisma starszego Socyna, jakie się do Polski przez sługę jego, Stanisława Kokoszkę, dostały. Grzegorz Paweł, Jerzy Szoman, Kalinowski, Budny, Krowicki i inni poszli za Włochami; Piotr z Goniądza, Stanisław Farnowski, Stanisław Wisniowski, z Czechowicem, Niemojewskim, Lutomirskim i innymi wyznawali przedwieczne bóstwo Syna. Debaty na zwoływanych umyślnie synodach w ciągu r. 1567, w Łańcucie Pileckich i w Skrzynnie, bardzo namiętne, sprawiły, że największa część ministrów poszła za Gzegorzem Pawłem, Włochami i Siedmiogrodzianami; Aryanie stają się unitaryuszami, wyznając jedyną osobę Boga; drobna ich garstka zostaje „dwójczakami", „dwójbożanami" (*ditheitae*), wyznając preeminencyą Boga Ojca i odwiecznego Boga Syna (jak i Serwet), wznawiając więc właściwą naukę Aryusza. Ci dwójczacy, przeciwników Samosatenami i Ebionitami przezywając, zwalczali ich ostro, chociaż i innym nie folgowali, stawiając Żydów i Turków nad chrześcian, uznając ich bliższymi Królestwa Bożego. Wódz ich, Piotr z Goniądza, rychło zmarł (r. 1570, w Węgrowie na Podlasiu, wedle świadectwa Budnego); zastąpił jego niepohamowany, wyniosły Stanisław Farnowski, który w głębokiéj starości, opuszczony przez wszystkich wyznawców, przesiedlających się do unitaryuszów, umarł (żył jeszcze r. 1614); osiadł był on na Podgórzu, w Sączu, u p. Mężyka, założył tu szkołę, zaczepiał pisemnie unitaryuszów (odpowiadał mu Czechowic), tłumaczenia Nowego Testamentu, jakie zamierzał, nie wydał; jedna z jego owieczek, pani Zabawska, zebrała modlitwy polskie (nie znamy ich). Od tego to Farnowskiego nazwano owo ponurzenie podgórskiém a zwolenników jego Farnowianami.

ścią. Pamiętacie, gdyście się byli na to spuścili i ministerya porzucili, czekając aby był P. Bóg godniejsze wypchnął, i jużeście przed sobą szewcom i krawcom dawali miejsce, pochwalając barzo ich naukę i dziwując się jéj i mówiąc, żeście się więcéj jednéj godziny, słuchając ich, nauczyli niż przez wszytek wiek z ksiąg, zaprzéć tego trudno. Lecz niemogąc się doczekać, znowu do ksiąg wrócić się musieliście a szewcom kazać milczéć i młynarzom. Boście baczyli, do czego ci mili dziwni prorocy wiedli i co za konfuzyą, któréj się po dziś dzień sromacie, prowadzili.

Po nas to, rzeczecie, P. Bóg uczyni. Dlaczegóż to po was? czyli wy zawadzacie? czyli zdołacie sami, ile was teraz jest, téj pracéj? bynajmniéj, aza mało miejsc, na które szlachta niektóra ministrów potrzebuje i u zboru waszego żąda, a nie macie, kogo im dać; czy to tak małe żniwo, że dosyć kilka robotników? Lecz niech tak będzie, że wynidą drudzy po was, ale tegożli uczyć będą? Ukażcie przodków waszych sukcesory, którzyby tegoż, na ich miejsce nastąpiwszy, uczyli: nie tykając daléj inszych strón, w Lublinie czy tego Czechowic uczy, czego uczył Paklepka? w Krakowie czy tego uczy Szoman, czego uczył Kalinowski? także i w inne stolice swe weyrzycie. Dożywotna to tedy wasza jako innych sektarzów nauka: pókiście żywi, póty trwa; z wami ginie i umiéra.

Rzeczecie, aza i za żywota naszego nie wypycha P. Bóg do nas ludzi uczonych na tę robotę? Wiem, iż przychodzą do was zbiegowie kościoła rzymskiego i by nie ci, dawnoby was było mniéj i nic byście nie mieli, czymbyście się zdobili i ktoby za was jakożkolwiek ozdobnie i uczenie odpisował albo wasze błędy udawał; przeto się w takich zbiegach kochacie, ważycie i im pomagacie. Lecz długoż waszéj radości i pociechy w nich? Aza potym prędko wami nie zamieszają i nie potrwożą was? Gdy wam, do was (nie do waszéj nauki) przyłączywszy się, swoje sny przynosić i za nową wam nieznajomą prawdę i dalsze oświecenie podawać poczną? W gorzkość się wam wielką wasze pociechy obracają. Gdzie wasz Ochin, gdzie Blandrata, Stankar, gdzie nowszy Prosper Turpio (pseudonim Socyna) — tak się czasem zowie, czasem zaś inaczéj—izali już, gdy was o ponurzeniu potrwożył, jego lekcyj słuchaćeście nie przestali? Izali gdy katechizmów poprawował i nową naukę o usprawiedliwieniu bez śmierci Chrystusowéj, mało co różno od Dawidowicza, między was podawał, długo się z nim próżno naswarzywszy i jego absurda haniebne, jako je był zebrał w jego piśmiech p. J. Niemojewski, obaczywszy, izaście go mowię niektórzy — bo zawsze każdy, z was kogo, do siebie urwie — niepogardzili? Lecz macie na to miejsce innego, Jezuitę (niemiec Franken, rektor szkoły

w Chmielniku, późniéj w Siedmiogrodzie). Ujrzymy, długoli będzie téj radości i pociechy i co wam jeszcze nowszego z starych błędów przyniesie; długo z wami być—ale długoż i sami z sobą będziecie? — jako i inni, nie może. Dla czego? Tacy zbiegowie są ludzie uczeni i dowcipów ostrych, wy nieukowie i grubi pojąć ich fantaziéj nie możecie. Oni, z niewoléj jako mówią, ale raczéj z rządu — wyszedszy, rządzić u was i po swemu wszytko miéć chcieliby; wy zaś tak téż im barzo rządzić, ich hardości znieść nie mogąc, niedopuścicie i chcielibyście je miéć pod swym nierządnym jakim takim rządem. Czego oni nie wytrwają i myśli swych hardych wysoko i szeroko samopas rozpuszczanych, jako sami w poimanie ująć, tak i wam ich poimać dać nie chcą; stąd prędki rozbrat. P. Boże, wam daj wszytkim uznanie i odmianę w dobre, Amen.

Bardzo pouczająca relacya ta o wewnętrznym stanie zboru tchnie prawdą, mimo przesad, niedokładności i sprzeczności w jednym i drugim zarzucie dowodzi, jak trudno było pierwszéj generacyi polskich Aryan, połączyć się na gruncie jednego dogmatu i obrządku i obmyślić środki dla wychowania młodzieży a przygotowania ministrów. Lecz trudności te w końcu przezwyciężono; burze, wiry i męty pierwszego dwudziestolecia uspokoiły się i osiadły; przetrwawszy walki wewnętrzne, wystąpił zjednoczony aryanizm na pole walk religijnych z nowemi siłami, wyzywał znowu kalwinów i katolików na zwycięskie dysputy, propagował wiarę licznemi pismami łacińskiemi, urządził wzorowe szkoly dla kształcenia młodego pokolenia. Do pozyskania zaś jednolitéj podstawy, zabezpieczającéj późniejsze powodzenie, przyczynił się głównie znowu Włoch, ów młodszy Socyn, którego imię już w relacyach Budnego i Wilkowskiego znacząco występuje; z przekąsem uniewinnia się Budny (w przedmowie do Krzysztofa Lasoty, podczaszego lubelskiego, z Łoska 23 stycznia 1583 r.), że zabrał się do dzieła, do jakiego potrzeba by właściwie więcéj wykształconego skrybenta, więcéj wypolerowanego Polaka, „ale gdzież nam ty Włochy brać.”

A. Brückner.



WSPÓŁCZESNE AUTORKI.

ELIZA ORZESZKOWA.

STUDYUM LITERACKIE.

II.

Praca, jeżeli ma być owocną w swych skutkach, nie może ciążyć na jednéj tylko połowie ludzkości, musi i powinna zatrudniać cały ogół. Jeżeli mężczyzna staje do pracy, kobiéta nie powinna, nie może rąk zakładać bezczynnie, bo inaczéj zdarzy się niechybnie, że stanie się albo ciężarem, gdy praca mężczyzny nie wystarczy na zaspokojenie wspólnych potrzeb, lub padnie ofiarą, gdy zabraknie z jakichkolwiek przyczyn opiekuna i wyżywiciela.

Autorka, która przyjmuje z takim entuzyazmem nowe idee rozbrzmiewające w społeczeństwie, sprawę kobiét odrazu pojmuje we właściwém jéj znaczeniu, trzeźwość nie opuszcza jéj ani na chwilę, nie pozwala się ani razu unieść wezbranéj fali szumnych teoryi i frazesów; rozumié czego kobiéty mają prawo żądać, co im się słusznie należy, w czém tkwi złe ich położenie i jak mu zaradzić można. Emancypantki Orzeszkowej—jeżeli tu tego wyrażenia użyć można—nie marzą o doktorskich beretach, katedrach uniwersyteckich i zrównaniu się pod każdym względem z mężczyznami: są to jedynie wytrwałe i dziel-

ne pracownice, usiłujące pracą rąk lub głowy zapewnić sobie byt niezależny, lub stać się pomocą rodzinie. Z pewnym rodzajem smutnéj, lecz gryzącéj ironii autorka przedstawia figurycznie skład takiéj rodziny, w któréj ojciec sam jeden upada pod brzemieniem pracy, aby zapewnić utrzymanie wszystkim jéj członkom, jako grupę wyobrażającą karyatydę, która dźwiga na plecach i karku całą gromadę osób. Jeżeli obarczająca go rodzina składa się z istot drobnych, widok mniéj jest przykry, ale jeżeli to są ludzie dorośli, natenczas zdejmuje ochota zawołać na tych, którzy obsiedli kark i barki biédnego niewolnika:

„A zleźcież, niedołęgi, i pochodźcie choć trochę o własnych siłach! Niech ten, który tak długo dźwigał go na swoich barkach, wyprostuje się nakoniec, obejrzy się po świecie, spojrzy w górę i odetchnie swobodnie.”

Jeżeli ci, których dźwiga, miłością odpłacają mu trud ponoszony, w takim razie już nie oni, ale on zasługuje na srogi wyrzut. Należałoby go się zapytać:

„A dlaczegożeś, niedołęgo, nie nauczył ich chodzić na własnych nogach? — Snadź nie masz głowy, biédaku, albo woli, jeśli nazwyczaiłeś ich do tego, by jeździli sobie tak po bożym świecie bez trudu, a na twoich plecach. Teraz że za to cierp, dźwigaj i milcz” („Na dnie sumienia”).

Lecz właśnie ta trzeźwość, to zrozumienie istotnych warunków położenia sprawiły, że Orzeszkowa stała się rzeczywistą przewodniczką dążności kobiét, a wpływ jéj w tym kierunku stał się decydującym. Trudno zaprzeczyć, że środki, jakie wskazuje dla osiągnięcia celu, zastosowane w praktyce, nie ziściły pokładanych w nich nadziei, lecz to już nie jest winą autorki, tylko wynikiem ogólnych warunków pracy, których rozstrzygającą kwestyę stanowi prawo podaży i popytu; zasada pozostała słuszną.

Pierwszą obszerniejszą powieścią, w któréj autorka uwydatnia swe zapatrywania na dążenie kobiét do pracy samodzielnéj, są: „Pamiętniki Wacławy”.

Wacława jest panną zamożnego domu szlacheckiego. Jako młodziutkie dziewczę używa życia tak, jak to jest w jéj sferze przyjęte: taniec, zabawy, rozrywki towarzyskie stanowią główne jéj zajęcie. Ale w młodziutkiém dziewczęciu, pod wpływem doznanego zawodu, budzą się poważne myśli i uczucia. Zerwawszy z narzeczonym, który okazał się jéj niegodnym, gdy krewna jéj matki, która pragnęła tego połączenia, wydziedzicza ją, Wacława postanawia pracą własną zarabiać na utrzymanie swoje i matki, zostaje nauczycielką, zyskuje spokój i zadowolenie w poczuciu swéj użyteczności i godności własnéj. Towarzy-

szka jéj, Emilka, zostaje—introligatorką. W przeciwieństwie do tych dwóch dzielnych pracownic, z reszty ich towarzyszek, które nie miały w sobie dosyć sił, czy odwagi, szukać dla siebie dróg nowych, jedna umiéra na suchoty, druga, wydana za nienawistnego sobie człowieka, ucieka od męża i zostaje... przyjaciółką tego, którego pokochała pierwszą miłością.

Ćwierć wieku mniéj więcéj temu był czas, kiedy często słyszéć się dawało, że ta lub owa młoda panna bierze się do nauki introligatorstwa, szewstwa i tym podobnych profesyi wyzwolonych; co do mnie, mam głębokie przekonanie, że nie było pośród nich ani jednéj, któraby nie czytała „Pamiętników Wacławy”.

Wogóle zaś nauczycielki, bądź-że są to pionierki pracy samodzielnéj, bądź-że są krzewicielkami oświaty, cieszą się największą sympatyą autorki; jako postaci niewieście mają jéj uznanie na równi z przyrodnikami, doktorami medycyny, prawnikami i przemysłowcami. Tak jak Wacława, również nauczycielką była Kamila w powieści „Pan Graba”, Józia („Wesoła teorya a smutna praktyka”), Helunia („Rozstajne drogi”), Szyłłówna, a późniejsza pani Orchowska („Eli Makower”). Wszystkie one były kobiétami wyższego umysłu i serca. Nauczycielstwo—mówi autorka przez usta Wacławy — to powołanie i kapłaństwo, którego zadaniem jest rozbudzić w duszy człowieka drzemiącą prawdę, przyozdobić ją w piękność, która się nie zasadza na światowych połyskach, ale na wewnętrznéj wartości, ukazać mu życie w rzeczywistéj i szlachetnéj postaci, złożyć w jego duszy „te światłe pojęcia i wielkie zamiłowania, które zdwajają szczęście, odbiérają gorycz boleści, podpierają w trudach, chronią od manowców”.

Jest to zadanie odpowiednie i godne kobiéty.

Ale po za wyższemi zagadnieniami życia lub obok nich istnieje kwestya chleba, która w braku odpowiedniego przygotowania staje się niekiedy kwestyą śmierci z głodu.

Tę kwestyę kobiécego: być albo nie być, wcielila autorka w postać Marty.

Powieść ta, pod tym samym tytułem, wyszła w r. 1872. Stanowi ona, rzec można, punkt kulminacyjny kwestyi kobiecéj.

Marta, to kobiéta, jakich tysiące. Wychowana tak, jak mniéj więcéj wszystkie dotąd panny u nas były wychowywane, posiada niejakie wiadomości i talenta salonowe, ałe gruntownie niczego jéj nie nauczono. — Spełniła ona zadanie, będące *alfą* i *omegą* istnienia kobiéty: została żoną i matką; w pożyciu z mężem była kochaną i szczęśliwą. Ale szczęście jéj skończyło się ze śmiercią męża. Pragnie zapracować na utrzymanie swoje i dziecka, ale usiłowania jéj rozbijają się o brak

gruntownego przygotowania. Próbuje zostać wszystkiém: nauczycielką przedmiotów ogólnych, języka francuskiego i muzyki, próbuje tłómaczyć do druku; wszędzie i na każdym kroku spotyka ją zawód lub upokarzająca jéj godność, litość ludzka. Obniżając coraz bardziéj i bardziéj skalę swych żądań, schodzi w końcu na szwaczkę w jakimś podejrzanym magazynie, gdzie, pracując od rana do nocy, zarabia tyle tylko, aby—nie zawsze mieć na suchy kawałek chleba; w téj nieustannéj pogoni za zarobkiem przechodzi męczarnie upokorzeń, otrzymuje oferty, które są dla niéj zniewagą, a kiedy w końcu, pragnąc ochronić godność swą, dochodzi do takiéj nędzy, że grozi jéj śmierć z głodu, kiedy dziecko jéj chore z wycieńczenia, a ona nie ma dla niego na lekarstwo: ta kobiéta czysta jak kryształ, która ucieka, jak z domu zarazy, z salonu dawnéj swéj przyjaciółki, którą życie zepchnęło w kałużę zepsucia, ta kobiéta kradnie w magazynie piéniądze i napiętnowana zostaje hańbiącém mianem złodziejki. /

Pod względem artystycznego obrobienia powieść ta mogła przywieść do rozpaczy krytyków z powołania, poszukujących w utworach beletrystycznych symetryi, harmonii, układu: lecz śmiało twierdzić można, że żadna książka z tych, które się ukazały w ostatniéj ćwierci tego stulecia, nie sprawiły tak silnego wrażenia, nie wywołały tak żywego odgłosu wśród ogółu, jak ta ostatnia. Imię autorki, która pierwsza ukazała w całéj nagości nędzę kobiécego istnienia, znalazło się na ustach wszystkich tych, które cierpiały z powodów takich jak Marta, lub w głębi serc czuły potrzebę stanąć w szeregach bojownic pracy.

Trzeba albowiem uprzytomnić sobie chwilę i warunki, w jakich ukazała się powieść Orzeszkowej, aby zrozumiéć to wrażenie. Trzeba przypomniéć, że była to chwila, kiedy dla kobiét, równocześnie jak dla całego ogółu, warunki bytu uległy rdzennéj zmianie. Wyjście za mąż, już to z powodu braku młodych mężczyzn, już to z powodu trudności w zdobyciu bytu materyalnego, uniemożliwiających założenie rodziny, utrudnioném zostało; ze zmianą warunków pracy, które zaskoczyły ogół nieprzygotowany do tego, niedostatek dał się uczuwać tam, gdzie do téj pory panowała zamożność, a życie upływało wesoło i spokojnie.

A teraz proszę sobie wyobrazić w szlacheckim dworze rodzinę, złożoną z kilku córek. Gra na fortepianie, wyglądanie konkurenta, nie doprowadzi ich do niczego, niedostatek grozi, to siedzenie „na barkach i karku" ojca, którego praca nie może starczyć dla wszystkich, staje się coraz niedogodniejszém: jedna lub druga z tych dziewcząt zaczyna myśléć o sposobach wydobycia się z ciasnego koła, budzi się w niéj myśl o pracy samodzielnéj, czuje ją instynktowo, rozmawia

o tém ze swemi przyjaciółkami, roznamiętnia się; konserwatywne jéj otoczenie, złożone ze starszych osób, milczy w niepewności, zachowuje się sceptycznie względem nowych przekonań, lub walczy resztkami dawnych wyobrażeń, na mocy których praca zarobkowa uważana była za coś poniżającego dla córki szlacheckiego domu. — I oto w niepewności własnych uczuć i rozterce przekonań, młoda dziewczyna dostaje do rąk „Martę". Odczytuje ją chciwie, z zapartym oddechem, ze łzami w oczach i — już powzięła przekonanie: będzie walczyć tém śmieléj ze swojém otoczeniem, z „przesądami", ze zdaniem przeciwnych, bo czuje, że ma za sobą silne poparcie—w opinii autorki. — Jeżeli urocza, wykwintna postać Wacławy czyniła jéj ponętném „kapłaństwo" nauczania, wiedzy, to konsekwencye braku uzdolnienia do fachowéj pracy, przeprowadzone z całą ścisłością logiki, przeraża ją jako widmo groźnéj przeszłości.

Do całego tłumu młodych, pełnych sił i energii dziewcząt, dodajmy te kobiéty, które równie jak Marta spełniły swoje zadanie: zostały żonami i matkami i nagle—znalazły się bez dachu nad głową, lub kawałka chleba dla dzieci. A było takich dużo i przybywało ich coraz więcéj. Dodajmy daléj ten zastęp kobiét, w których duszy pod wpływem rozbudzonych idei i pojęć, zrodziło się rzeczywiście prawdziwe zamiłowanie nauki i wiedzy, a zrozumiemy, jakiemi szerokiemi kręgi roztoczył się wpływ autorki.

Nie poprzestając na przedstawieniu smutnego losu, będącego następstwem braku uzdolnienia do pracy, córki dworku szlacheckiego, jaką jest Marta, Orzeszkowa podejmuje ten sam przedmiot, z pewną monotonnością motywów, w losach młodéj dziewczyny z niższéj, urzędniczéj sfery.

Monika, ukochana jedynaczka, szczęśliwa narzeczona, traci na raz ojca i ukochanego, zostaje tak jak Marta sama, bez kawałka chleba i dachu nad głową; pragnie pracować, lecz nie posiadając żadnego uzdolnienia, schodzi na najniższego rzędu robotnicę.

Wstrząsającym jest obraz téj młodéj dziewczyny, kiedy, nie mając gdzie zwrócić swoich kroków, ani schronienia, gdzieby spocząć mogła, znękana daremném poszukiwaniem pracy, błąka się po ulicach ludnego miasta, powtarza do siebie, łamiąc ręce z rozpaczy:

— Nic nie umiem!

Autorka dodaje od siebie:

„Ileż na świecie młodych, wdzięcznych, dobrych dziewcząt staje tak każdego dnia na środku drogi ludnéj, z załamanemi rękoma patrzy na niebo, ziemię i otaczające domostwa, w których dla nich nie ma ani kąta, ani chleba! Niech o wielkiéj ilości dziewcząt, podobnie za-

łamujących ręce, myślą jak najczęściéj rodzice, których losy obdarzyły córkami, i—silni mężowie, dbali o świętą nienaruszalność słabości niewieściéj" („Na dnie sumienia").

W słowach tych, zwróconych bezpośrednio do obrońców dawnych tradycyi i dawnego porządku, ukazujących kobiécie jako jedyny i wyłączny cel ognisko domowe, czuć szyderstwo, ironię, tłumiony gniéw bojowniczki za sprawę niezależnéj pracy ogółu kobiét.

Podobnych zwrotów jest bardzo dużo rozsianych w dziełach autorki.

„Uczycie nas — mówi we wstępie do powieści „Marta" — że treścią naszego życia ma być miłość, zaparcie się siebie, macierzyństwo, wiara. Czémże się dzieje, że kobiéty wierzą, kochają, poświęcają się, hodują dzieci, a jednak jakoś źle się dzieje? Utrzymujecie, że kobiéty chorują moralnie i fizycznie, ponieważ brak im wielkiéj miłości? Nieba! czyż to sprawiedliwie? czyż całe życie kobiét nie jest nieustanną czcią, poświęconą bóżkowi Erosowi? Podlotkami marzymy o Adonisie, aby zstąpił z chmur i zaprowadził nas do ołtarza. Potém kochamy znowu—jeżeli nie kochamy, to kochać pragniemy, usychamy, suchot dostajemy, jędzami się stajemy z pragnienia kochania."

A z tego co mamy?

„Jedne z nas, otulone skrzydłami bożka miłości, przelatują przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie; inne przecież liczniejsze, daleko liczniejsze, zakrwawionemi stopami chodzą po ziemi, walczą o chléb, o spokój, o cnotę, łzy lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umiérając z głodu. — Recepta tedy, zamykająca się w słowie: k o c h a j c i e ! nie na wszystkie służy choroby."

A zatém niech się kobiéty uczą nietylko kochać, ale i pracować.

Pracę kobiét zarobkową, jak już zaznaczyliśmy wyżéj, autorka pojmuje w znaczeniu praktyczném: nauczycielstwo i naukę rzemiosł. Wśród niewieścich kreacyi Orzeszkowej nie spotykamy się nigdzie z kobiétą uczoną, lub posiadającą dyplom uniwersytetu.

Jeżeli Wacława zostaje nauczycielką, Emilia zakłada warsztat introligatorski, to nie mniéj dzielną postacią jest Anna Sicińska, oddana gospodarskim domowym zajęciom, biegająca sama z koszykiem po zakupy do miasta, przygotowująca własnemi rękami obiad dla rodzeństwa; równie piękna jak młoda, poświęca się rodzinie i staje się wytrwałą pomocniczką brata w jego usiłowaniach wyprowadzenia na ludzi młodszego rodzeństwa („Rodzina Brochwiczów"). Natomiast uczona sawantka, któréj nie poznajemy nawet osobiście, tylko z opowiadania, pani Eufrozyna, która posiadała znajomość trzech umarłych języków,

studyowała astronomię, fizykę, geologię, chemię, fizyologię i dzieła encyklopedystów, nosiła czarną suknię, ciemne szkła na oczach, miała włosy krótko strzyżone i preparowała wątrobę z sowy, była dziwolągiem śmiesznym i cudacznym.

III.

Jak widzimy, dążnościom emancypacyjnym Orzeszkowej nie może nawet najskrajniejszy konserwatysta odmówić słuszności i umiarkowania. Skądże poszło, że od chwili wystąpienia jéj na arenę piśmiennictwa były głosy i to dość liczne, które wołały na alarm przeciwko jéj działalności autorskiéj, jako skrajnéj radykalistki, zmierzającéj do zburzenia nietykalnych podstaw, na których się opiéra społeczeństwo?

Niepokoju tego były rozliczne przyczyny.

Najpierw szmer niechęci dał się słyszéć wśród tych wszystkich spokojnych, a bezkrytycznych miłośników dawnych czasów, którzy nie zwykli zastanawiać się, co z przeszłości zachować należy na własność przyszłych pokoleń, a co odrzucić, jako nieodpowiednie do warunków i form wytworzonych rozwojem społecznym. Dla tych bezwzględnych konserwatystów, kobiéta wypowiadająca dążenia obce ogółowi do téj pory, stawała się tém samém zuchwałą nowatorką. Wprawdzie kobiety piszące trafiały się dawniéj, ale szły one zawsze za głosem tradycyi. Wprawdzie Żmichowska była podobno owiana duchem nowatorskim, ale ta pisała językiem tak poetycznym, że utwory jéj mało były dostępne szerszemu ogółowi, stąd wpływ ich dosyć ograniczony, mniéj szkodliwy. Inaczéj się rzecz miała z nową autorką, występującą w imię zasad postępu. Ta nie szuka w świecie fantazyi żywiołów dla swego natchnienia; bierze za przedmiot do powieści zdarzenia i fakty ze świata rzeczywistego, przedstawia ludzi i wypadki z codziennego życia, przemawia językiem zwyczajnym, w sposób dla każdego zrozumiały. Wszystkie kobiéty zacząwszy od dzierlatek, które ledwo pensye pokończyły i przestały nosić krótkie sukienki, wydzierają sobie jéj powieści i przejmując się głoszonemi w nich zasadami, stanowią żywioł niepokojący rodzinę i społeczeństwo.

A trzeba przyznać, że inne kwestye, które autorka poruszyła w swoich utworach, mogły bardziéj i z większą słusznością zaniepokoić umysły, przywykłe w każdéj nowości widziéć coś zatrważającego.

Młoda autorka w uwielbieniu swém dla wiedzy i prawdy, została tém samém wielbicielką nowéj filozofii, tak zwanéj pozytywnéj, któréj zasady głoszone na Zachodzie, upowszechniane były gorliwie wśród naszego społeczeństwa przez młodych adeptów i prasę postępową z „Przeglądem Tygodniowym" na czele. Postępowi, lub uczeni bohaterowie Orzeszkowéj czytają Moleschott'a, Büchnera, to jest wyobrazicieli kierunku, przeciwko którym, oprócz Darwina, zwracały się najsroższe groty obrońców dawnéj tradycyi i powagi. — Nawet ludzie zkądinąd światli, z niejakim niepokojem śledzili ten objaw w utworach wpływowéj autorki i stawali w rzędzie jéj przeciwników.

— Jakto kobiéta? Kobiéta występuje jako zwolenniczka myślicieli, szerzących ideje wręcz przeciwne tradycyom i podaniom uświęconym przez powagę kościoła?

Orzeszkowa nie staje wprawdzie jawnie i otwarcie w obronie tego kierunku, przeciwnie, zdawałoby się, że usiłuje ona wykazać możliwość pogodzenia wiary i wiedzy; dając w rękę jednemu z bohaterów dzieła wyklinanych filozofów, w tymże samym utworze wyprowadza na scenę księdza, postać zacną, prawdziwego kapłana, pełnego pobłażania, miłości ludzi i wyrozumiałości na ich usterki; przez jego usta wypowiada przekonanie, mogące być zarazem usprawiedliwieniem dla niéj.

Ksiądz Stanisław zastaje Lucyana nad Moleschottem. A kiedy doktór odzywa się żartobliwie, że całéj smoły piekielnéj mało jest na spalenie książki uczonego materyalisty, który wywodzi pochodzenie człowieka od kwasu węglowego, tlenu, wodoru i kilku kwasów ziemnych, odpowiada, że nikt nie zasługuje na potępienie, jakikolwiek jest kierunek jego umysłu, jeżeli tylko pracuje ze szczerém pragnieniem dobra i prawdy. („W klatce").

To zastawienie się zdaniem światłego kapłana nie zasłoniło autorki od niechęci ultra-klerykałów; spoglądano na nią z podejrzeniem, które trwało bardzo długo, spoglądano zaś tém gniewniéj, że w innych rzeczach tyczących się kultu, lub instytucyi kościoła, Orzeszkowa wypowiadała poglądy dosyć śmiało.

W powieści „Pan Graba" przedstawiając klasztor, który używał sławy wielkiéj świętobliwości u parafian, pyta:

„Jak żyli ludzie w murach tych zamknięci? nikt nie starał się badać. Mówiono, że modlili się ciągle i w istocie tak być musiało. Czy znali oni społeczność, od któréj dzieliła ich cisza grobowa? czy zdolni byli pojąć burze miotające ludźmi, sami bronili się zagrodą z murów? czy w sercach ich miłość dla bliźnich nie ustąpiła miejsca przed ekstatycznem uwielbieniem mieszkańców nieba?"

Rzeczywiście, kiedy kobiéta zbolała, oddana na pastwę wewnętrznéj rozterki uczuć, z powodu pożycia z człowiekiem najnikczemniejszym, udaje się po radę do o. Inocentego, którego glos ogólny uważa za świętego prawie, zamiast porady lub słów pociechy; ściąga na głowę swoją gromy za pychę i bunt przeciwko woli bożéj.

Powieść ta wyszła w 1869 roku.

Dziś odczytujemy podobne ustępy bez wrażenia, bo wydaje się nam, jak gdyby czasy i ludzie przedstawiane w téj powieści, istniały przed wiekami, ale proszę sobie wyobrazić wrażenie, jakie podobne zdania wywołać musiały w chwili, kiedy przybytki zakonne w świéżej jeszcze były pamięci, a wierni mieli sposobność przysłuchiwania się słowom takich ascetów jak o. Inocenty. Takie zdania, takie poglądy w przekonaniu pobożnych uchodziły za herezyę prawie.

W walce każdéj, a tém bardziéj prowadzonéj o zasady, nie bierze się w rachubę okoliczności, mogących wpłynąć łagodząco na wydanie wyroku potępiającego. Wiek przeciwnika, pobudki, wypływające z jego osobistych uczuć, rozdrażnienie stąd wynikające, które czyni go zapalczywym lub bezwzględnym, są uważane za nic. Opinia o Orzeszkowéj jako nowatorce i radykalistce zyskała jeden dowód więcéj, tém bardziéj że powieść, w któréj inkryminowane ustępy się znajdowały, z założenia swego godziła w zasadę, która do dnia dzisiejszego dzieli ogół na dwa obozy: jest to kwestya nierozerwalności małżeństwa.

Już w jednéj z poprzednich swoich powieści („Na prowincyi") przedstawia autorka losy młodziutkiego, wdzięcznego jak kwiatek dziewczęcia, które będąc ofiarą swego niedoświadczenia, zostaje żoną wypomadowanego lowelasa prowincyonalnego. Poznawszy swoją pomyłkę, że bożyszcze, które czciła na klęczkach, jest zwyczajnym klocem drzewa, opuszczona, zaniedbana, umiéra, umiéra ujrzawszy wielką miłość człowieka wyższego sercem i umyslem, który żyje cały poświęceniem dla niéj, a ona nie może mu odpłacić miłością za miłość, bo jest żoną innego. W chwili kiedy on patrzy na ukochaną kobietę konającą na jego rękach, mówi sobie z rozpaczą w duszy, że ona nie umarłaby i byłaby z nim szczęśliwą. „Ale kiedyś tam w kościele grały organy, i przed ołtarzem ksiądz wiązał stułą i czytał modlitwy."

W powieści „Pan Graba" kwestya nierozerwalności małżeństwa występuje na tle tragicznem i zdarzeń pełnych zgrozy. Autorka otoczyła kobietę będącą ofiarą niedobranego małżeństwa blaskiem takiéj wyższości moralnéj i umysłowéj, odmalowała tak żywo jéj cierpienie, walkę wewnętrzną, niezasłużone jéj poniżenie; tak czarnych farb użyła na odwzorowanie męża jéj, jako nikczemnika, szulera, łotra najgorszego gatunku, że sprzęgnięcie tych dwóch egzystencyj łańcuchem, który

śmierć tylko stargać może, wydaje się niesprawiedliwością, wołającą o pomstę do nieba.

Utwór ten był to nabój ciężkiego kalibru w walce nowatorek z konserwatystkami, dla których małżeństwo łączyło w sobie pojęcie nierozerwalnego związku, jako sakrament. Stronniczki zaś postępu coraz śmieléj występowały, jeżeli nie w czynie, to w utarczkach słownych i bądź co bądź umysły przyswajały sobie pojęcia, które wyłożone w formie poważnéj, nie byłyby przeniknęły do świadomości ogółu. Teraz autorka zaczęła już stanowczo uchodzić za skrajną radykalistkę, któréj, wobec głównéj winy, inne, mniejsze mogły być pominięte. Prawdopodobnie nie wziętoby jéj za złe przedstawiania w sposób tak ujemny, że aż zakrawały na karykaturę, postaci bigotek i pozornych świętoszek, co to z rękami złożonemi na piersiach, z oczami wzniesionemi w górę, z różańcem owiniętym na ręku, pozornie są zajęte tylko zbawieniem duszy, a w rzeczywistości czyhają pilnie na plotkę, roznoszenie skandalu i, szarpiąc bez litości sławę bliźniego, w gruncie posiadają przewrotną naturę, są kobietami najgorszemi, złemi żonami, niedbalemi gospodyniami domu i matkami, niewartemi własnych dzieci.

Typem takiéj świętoszki obłudnicy jest pani Kuderska w „Cnotliwych.” Ubrana czarno, słodka w mowie, mająca ciągle na ustach imię pańskie, aniołów i wszystkich świętych, dająca obfite jałmużny, gdy kto patrzy na nią, fukająca na ubogiego, gdy go spotka w cztéry oczy; zajęta nabożeństwem i zbawieniem duszy, nie dba o dom, ani rodzinę. Więc téż dom staje się istném piekłem; mąż się rozpija z rozpaczy, z dzieci, synowie wychodzą na łobuzów i nicponiów, biją się między sobą, wykradają matce wino i wędliny, gdyż nie dbając o dzieci, które mrą z głodu, sama dba o siebie, zapija i zajada w sekrecie przed niemi, mówią o niéj stale „ona”, wygadują bez litości na własnych rodziców, a córka, dla uratowania w chorobie najmłodszego dziecka, żebrze litości u dobréj pani.

Taką samą obłudnicą jest piękna niegdyś hrabina Pompalińska („Pompalińscy”). Kierowana przez swego przewodnika duchownego, na ustach ma poddanie się woli bożéj, a w sercu pychę, dla któréj gotowa wszystko i wszystkich poświęcić, nawet młodszego syna, aby tylko wywyższyć ród Pompalińskich, z którymi połączenie uważa sobie za mezalians. Z zimną obojętnością depce serce syna, okazując przytém cały egoizm i cynizm swojéj natury, ale składa pobożnie ręce, wzdycha i ma minę ofiary cierpiącéj za grzechy świata.

W rzeczywistości Orzeszkowa występuje jako nieprzyjaciółka zewnętrznych form kultu, jeżeli ich nie ożywia duch miłości i zacnych czynów.

Pani Karliczowa, kokietka, kobiéta lekkich zasad, przybywała do kościoła, mając na ręku okręcony agatowy różaniec ze złotym krzyżem. W pokoju jéj stał klęcznik bogato rzeźbiony, wisiał obraz święty znakomitego pędzla, ustrojony w kwiaty i srebrne ozdoby; na szyi nosiła zawsze święcone skaplerze, nawet jadąc na bal, kładła je pod wygorsowaną suknię i kapelan co dzień odprawiał mszę w jéj ogrodowéj kaplicy; modliła się szczerze i z ekstazą do Matki Boskiéj i świętych, „ale modląc się do nich, potrzebowała koniecznie widziéć malowane ich twarze."

Postaci bigotek, świętoszek, fałszywych nabożniś nie były nowością w naszéj literaturze, wyprowadzali je w swoich utworach dawniejsi pisarze, kilka znakomitych tego rodzaju typów przekazał Kraszewski i Korzeniowski w swoich powieściach. Ale wypowiedzenie przez kobietę zdania tak bezwzględnego o „malowanych twarzach" świętych z obrazów musiało razić zbyt żarliwych ortodoksów, a jeden z nich woła zgorszony: „Dziwne to zjawisko piszącéj kobiety, w któréj utworach niewspomniane nawet imię Boga!"

Przeciwnie, jest Ono wspomniane, tylko w znaczeniu odmiennéem od przyjętego przez czcicielów formy: jest to Bóg, którego należy czcić miłością i czynem.

„Pamiętaj dziecię moje — mówi do przybranéj wnuczki sędziwa pani Starowolska, wzór matrony pełnéj poświęcenia i zaparcia siebie, która dla wspierania nieszczęśliwych i potrzebujących, spienięża rodzinne klejnoty—że najwyższém, wszystkie inne zamykającém w sobie przykazaniem Bożém, jest: Kochaj bliźniego twego i nie czyń mu krzywdy żadnéj, ani na sercu, ani na majątku, ani na sławie." („Cnotliwi").

Wiara pozbawiona dobrych uczynków i miłości, prowadzi zdaniem autorki albo do bezmyślnego praktykowania zewnętrznych form kultu, albo téż wiedzie do oschłego, wyziębiającego serce ascetyzmu.

Pani Orchowska, zatopiona w ascetyzmie, żyjąc dla nieba, przestała żyć dla ziemi i odczuwać uczucia ludzkie. Kiedy syn przybywa do niéj, zaklinając aby śpieszyła na ratunek córce, któréj grozi stoczenie się w przepaść hańby, ona znajduje dla niéj jedno tylko słowo: grzesznica!

„Przebaczajcie—woła z oburzeniem—przebaczajcie bluźniercom, niedowiarkom, jawnogrzesznikom! nurzajcie się wraz z nimi w otchłani złości i nieprawości, aż można prawica Pana ześle na was Swoje gromy, aż pod siarczystym deszczem Jéj pomsty spłonie, spopieleje obrzydły świat wasz, jak spłonęły niegdyś Sodoma i Gomora." („Eli Makower").

Gromami biblijnemi odpowiada na wezwanie o litość i przebaczenie dla córki; dla grzesznicy nie ma przebaczenia w tém wyziębłém przez ascetyzm sercu.

A zatém, jak widzimy, oprócz kwestyi prawa wolności do pracy kobiet, przychylność autorki dla kierunku filozofii pozytywnéj, pochodząca z jéj uwielbienia dla wiedzy i nauki, upowszechnienie przekonań o słuszności rozwodu, pewne uchybienia w rzeczach tyczących się zewnętrznych form kultu, zdecydowana niechęć przeciwko oschłemu ascetyzmowi: to były przyczyny, które zjednały autorce wśród pewnego odłamu społecznego imię nowatorki o skrajném odcieniu.

IV.

Lecz te są jedyne zarzuty, jakie przeciwnicy jéj uczynić mogą. W całym zresztą szeregu postulatów, jakie autorka przeprowadziła w swoich utworach, nie ma ani jednego, pod którymby się nie podpisał każdy z rozsądnych konserwatystów. Pierwszym z tych postulatów, na udowodnienie którego autorka użyła najwymowniejszych argumentów, jest konieczność podniesienia skali ogólnego wykształcenia kobiet.

Kobiéta powinna pracować nad wyrobieniem swoich zdolności umysłowych, usposobić się do życia czynnego z całą samowiedzą zadań społecznych i obowiązków obywatelskich, albowiem tylko taka kobieta potrafi sprostać działaniu męża-obywatela, jako dzielna, wytrwała jego pomocnica, tylko taka zaszczepi te myśli i uczucia w młode pokolenie, którego jest wychowawczynią.

Autorka ogromny wpływ przypisuje wychowaniu. Jest to według niéj jeden z najważniejszych czynników, działających na człowieka, decydujący najczęściéj o całéj jego przyszłości i wartości moralnéj.

Wszyscy bohaterowie, występujący w utworach Orzeszkowéj jako ludzie szlachetnych dążeń i obywatelskich czynów, mieli matki wyższego serca lub umysłu.

Hrabia Starski, zacny filantrop, mąż nauki, człowiek, którego całe życie jest poświęcone czynieniu jak najwięcéj dobrego drugim i pracy na niwie społecznéj, nadzwyczajną czcią otacza pamięć swéj matki i sam posiwiały, wspomina ze łzami imię téj, któréj zawdzięczał swe zasady i kierunek swego ducha. („Na dnie sumienia").

Natomiast lekkomyślność, próżniactwo, zdrożności najgorszego rodzaju są to prawie zawsze skutki złego wychowania, przykładów, jakie sławiano od dziecka człowiekowi, atmosfery domowéj, którą od-

dychał. Bo człowiek, według autorki, nie jest z natury złym; jeżeli zaś takim się staje, to winno temu głównie społeczeństwo, którego wytworem są sytuacye i położenia, gnębiące jednostkę, aby ją urobić nie na istotę myślącą, ale podług modły przyjętego zwyczaju i konwenansu; a potém stają się winnymi rodzice i wychowawcy, którzy nie starali się, lub nie umieli rozbudzić szlachetniejszych instynktów, jakie drzémią na dnie prawie każdéj duszy ludzkiéj, stawić przed oczy dziecka szerokich celów społecznych dać zamiłowania pracy; zagłuszyć tém co dobre, podniosłe, szlachetne, niskie i zwierzęce porywy natury człowieka.

Wielokrotnie wyprowadza autorka na scenę w utworach swoich ofiary zgubnego wychowania. W sposób przejmujący przedstawia ten ból, to szarpanie się wewnętrzne wobec obudzonéj samowiedży celów życia z jego bezużytecznością.

Kalikst Graba, ten demon zepsucia i najczarniejszych instynktów, to, czém jest, zawdzięcza dawcom swego życia.

„Ojciec mój był magistrem prawdziwéj filozofii życia i użycia. Od lat szesnastu byłem towarzyszem rozrywek ojca, w które wtajemniczał mnie z rozkoszą"—mówi o swoim rodzicu. — Matka była kobieta lekkomyślna, elegantka i światowa; na wszystkie wybryki syna miała jedno tylko słowo: oj, ty figlarzu, figlarzu!

Brat Ryty, jedna z ofiar, które Kalikst Graba chwytał w swoje szpony, trawiony wyczerpaniem sił, szarpie się wobec widma grożącéj śmierci, myślą zmarnowanego bezcelowo życia. Chcąc go pokrzepić na duchu, siostra ukazuje mu cel pożytecznéj pracy. Na co odpowiada:

„Mówisz o pracy, a pomyśl co robił ojciec nasz? Bawił się przez całe życie. Co robi matka nasza? bawi się przez całe życie; jak chowano mnie? w ciągłéj zabawie. Co wkładano mi od dzieciństwa w serce? miłość blasku i próżności; do czego usposabiano moje siły? do próżniactwa."

Ale najwymowniejszą ilustracyą smutnych warunków domowego otoczenia to wstrząsający dramat, jaki się odegrał w losach młodego, bo niepełnoletniego Romana Kalińskiego. („Stracony").

Syn znanego domu szlacheckiego oskarżony zostaje o zabójstwo człowieka. Prawnik przybywa do celi więziennéj, aby go wybadać. Chłopak śmiały, pełen buty, zuchwały, szarpany jakąś walką wewnętrzną, jakimś bólem gwałtownym, który wybucha z niego już to nerwowemi porywami dobrego humoru, już przejmującym smutkiem, od razu budzi jego sympatyę. Doświadczone oko prawnika od razu przeniknęło całą tę naturę bujną, gorącą, w gruncie bardzo szlachetną, ale niepohamowaną, któréj nałożyć hamulca nie było komu ani czemu.

Ojciec jego nic nie robił, tylko jeździł i polował, matka nic nie robiła, tylko jeździła z wizytami szukać mężów dla dwóch swoich córek, brat szukał bogatéj żony. Wieść o grożącéj hańbie syna i brata budzi w nich gniéw przeciwko niemu, że ich skompromitował; nikt z rodziny, oprócz najmłodszéj siostry, która daje ukradkiem dla niego swoje oszczędności—nie chce go ani widziéć, ani uczynić jakichkolwiek starań w celu ocalenia go, i biédna ofiara smutnych stosunków domowych pozostaje skazańcem na całe życie, bo kara, która go czeka za zabójstwo, uczyni go tém, czém nie jest w gruncie rzeczy: występnym.

„Wielkie oburzenie człowieka i srogi gniew obywatela powstały we mnie—dodaje od siebie prawnik — ku tym bezrozumnym i występnym ludziom, którzy trawiąc cały czas swój na płochych igraszkach, zaślepieni przesądem, próżni wszelkiéj prawdziwéj wiedzy i wszelkiego wysokiego uczucia, nie potrafili zbadać i poznać natury syna swego, nie dali gruntu stopom jego, mocy sercu, światła umysłowi, hamulca i kierunku namiętnościom. Byli to bezwiedni zbrodniarze, bez woli i zamiaru zabijający człowieka, zdrajcy kraju, odbierający mu dzielnego może syna jego." Ale jeżeli winna tutaj jest rodzina, nie mniejsza odpowiedzialność ciąży na społeczności. Bo skoro jednostki bezrozumne bywają i ułomne, dlaczego wielka, zbiorowa istota, społeczność, nie naprawia zrządzonych przezeń pobłądzeń i szkód, ale owszem utrwala je i unieśmiertelnia? Dlaczego w zastępstwie rodzicielskich domów, które nie potrafiły lub nie chciały stać się dla synów swych siłą kształcącą rozumnie i prawidłowo, społeczność nie wystawia dla okaleczonych członków swych miejsc napełnionych uzdrawiającą mocą oświaty, wzmacniającym i oczyszczającym zmysłem pracy i moralności? Dlaczego zamiast narzędzi poprawy i odtworzenia, ustawy i instytucye karne posługują się dotąd jeszcze narzędziami męczarni i unicestwienia?"

W zapatrywaniach tych młodéj wówczas autorki znać odbicie idei, które płynąc z Zachodu coraz daléj i daléj, przeniknęły nawet najwyższe, miarodajne sfery i spowodowały w następstwie cały szereg zmian w duchu humanitarnym w systemie więziennym i poprawczym.

Idea odpowiedzialności społecznéj za dobro moralne, a nawet materyalne jednostki utrzymuje się dotąd, a nawet zyskuje na sile wśród niektórych odłamów społecznych i politycznych, działających już to w duchu czysto religijnym, już to skrajno-postępowym: w naszém społeczeństwie nie mając wcale gruntu ni podstawy dla przybrania cech barwy stronniczéj lub politycznéj, występuje jedynie jako idea humanitarna i tém łacniéj ogarnia umysły szlachetne i rozentuzyazmowane.

Jeżeli złe, nieumiejętne lub zdrożne wychowanie czyni ofiarę z mężczyzny, łamie mu przyszłość lub życie: odbija się ono równie fatalnie na losach kobiéty. Owe dziewczęta chowane w niewoli konwenansu, ochraniane sztucznemi zaporami od świata i spraw jego, których poznanie mogłoby z ich duszy zetrzéć puszek dziewiczości, trzymane w nieświadomości warunków życia: przy zetknięciu z rzeczywistością padają ofiarą swego niedoświadczenia, a niekiedy staczają się bezwiednie w otchłań hańby.

Żaneta Brochwiczówna jest wychowywana przez matkę według wszelkich zasad dobrego tonu i anielskiéj niewinności. Wychowaniem tłumiono w niéj wszelki objaw woli, samodzielnéj myśli lub uczucia; wodzono ją jak dziecko na pasku, chroniąc od wszystkiego, co w zrozumieniu światowém nie wypada dla młodéj, dobrze urodzonéj panny. Więc uchodziła w przekonaniu otoczenia z salonu matki za anioła niewinności ze spuszczonemi oczami. — Tymczasem gwałcona jéj natura sztucznemi więzy konwenansu i formy, zemściła się, znajdując tajemne ujście dla instynktów, którym przez wychowanie nie nadano właściwego kierunku. Zmuszona kryć w sobie wszelkie myśli i uczucia, jako objawy nie odpowiadające przepisom konwenansu, trawiona tém silniéj wewnętrznym niepokojem i ciekawością, rozpala się wyobraźnią do miłosnych historyi staréj romansowéj czeczotki, nieświadoma rzeczywistych warunków życiowych, nie znając świata ni ludzi, pozwala się obałamucić wędrownemu artyście, noszącemu miano Roman Gotard Wąsikowski, lichéj, nędznéj karykaturze natchnionego mistrza, daje mu się wykraść, zostaje niewolnicą człowieka bez żadnéj wartości moralnéj i pozwala mu się tyranizować bez oporu. Oto patrzcie! — zdaje się mówić autorka — co znaczą te anioły, które trzymają spuszczone oczy, aby nie widziéć zdrożności tego świata. Tracą zdolność widzenia i nie zdołają odróżnić tego co złe od dobrego, najczęściéj biorą jedno za drugie.

Taką samą ofiarą nieświadomości i tłumionych sztucznie instynktów — jak w tym wypadku to suchym ascetyzmem matki — jest Lili Orchowska w „Elim Makowerze.” Jak Żaneta daje się obałamucić wielkością geniuszu Romana Gotarda Wąsikowskiego, tak Lili staje się ofiarą pięknych frazesów łotra najgorszego gatunku, ucieka od męża, oddaje się człowiekowi bez zasad i wartości, a kiedy traf w sposób brutalny odkrywa jéj całą moralną nicość człowieka, dla którego poświęciła wszystko, honor, godność kobiéty, ucieka od niego i umiéra w gorączce, na pół obłąkana w szpitalu.

Obiedwie one, tak Żaneta jak Lili, są ofiary, za które odpowie-

działnemi czynić należy matki, te kobiety nieuzdolnione do swego powołania odpowiedniém rozwinięciem uczuć i myśli.

Cały szereg tych kobiét, tych nieudolnych lub szkodliwych wychowawczyń pokolenia przeciąga w utworach Orzeszkowéj, przed oczami czytelnika, w postaciach nieco skarykaturowanych, tak tłumiony gniéw i oburzenie autorki odbija na nich. Więc na czele postępuje pani prezesowa, matka klasycznie pięknéj Kornelki, lalki salonowéj, która złamała serce zacnego, szlachetnego człowieka, doprowadziwszy go poprzednio do ołtarza powabem pięknéj swéj twarzy. Pani prezesowa bardzo wdzięczna, bardzo słodka staruszka, ma na ustach nieustannie: „luby aniołku", „luba kochaneczko". Miła, luba osoba w salonie, tylko niech nikt na nią nie patrzy, a jeszcze bardziéj niech jéj nikt nie słyszy, kiedy w watowanym, zatłuszczonym szlafroku, z rozwiązanemi końcami czépka, kłóci się zajadle z córką, wymawiając jéj, że nie umié ocenić jéj wysiłków, podjętych w celu ułatwienia jéj wyjścia za mąż. Uczucie, przywiązanie, to wszystko głupstwo: stanowisko przyszłego męża, wygody, jakie żonie może zapewnić, to grunt! („Wesoła teorya, a smutna praktyka").

Za panią prezesową podąża drobnym kroczkiem roztrzpiotanéj, wiecznie młodéj elegantki, pani szambelanowa z „Pana Graby." Bawić się, doznawać wrażeń estetycznych w sklepie galanteryi lub magazynie mód, to jedyne zadanie téj pełnéj czułości, światowéj damy, która wiecznie zajęta, wiecznie pełna wzruszenia, gubi po drodze wszystko: wykrzyki zachwytu, parasolki, zarękawki i chustki do nosa. A kiedy dowiadując się o utracie syna, woła z wybuchem spazmów: co się to stało? — Ryta odpowiada jéj tak samo, jak odpowiadała na pytanie o wszystkie jéj poprzednie zguby: *Vous l'avez perdu, maman.*—W tym ptasim mózgu wrażenie po stracie syna minie, nie pozostawiając głębszego śladu, aniżeli wrażenia wywoływane przez drobnostki i fatałaszki. („Pan Graba").

Poza temi dwiema biegnie z rozmachem szanowna pani Suszycowa, jejmość o tęgiéj pięści, donośnym głosie, cudackim koku na głowie, z piersią opancerzoną w kirys ze stalowemi guzikami. Usiłowaniem téj dzielnéj niewiasty jest złapać męża dla trzech cór swoich, które wychowuje na obraz i podobieństwo własne, to jest na próżniaczki zajęte od rana do nocy przystrajaniem, lub mówiąc właściwie, oszpecaniem swoich postaci, uklejaniem niemożliwych fryzur na głowach i kłótniami wzajemnemi, które napełniając cały dom, czynią z niego piekło.

Dosyć ich mamy, choć to dopiéro początek szeregu tych gorliwych matek o dobro rodziny. Jest ich wiele w powieściach Orzeszko-

wéj i są one w pewnych zasadniczych rysach bliźniaczo do siebie podobne. Wybraliśmy z nich główne, są to: albo płoche, lekkie kobiéty, nie mające pojęcia o obowiązkach, włożonych na nie przez macierzyństwo; albo kobiéty, u których utarte formułki, zwyczaj, konwenans zastępuje myśl samodzielną; lub téż ograniczone umysłowo przekupki, bez względu na zajmowane stanowisko i położenie w świecie, ubiegające się o dobre sprzedanie na rynku małżeńskim wdzięków córek.

Sam instynkt serca, ślepe przywiązanie, nie rozjaśnione odblaskiem światłéj myśli, wyrobionego rozsądku, nie wystarcza do wychowania dziecka, przeciwnie, staje się powodem raczéj nieszczęścia lub zguby.

Taką ofiarą bezrozumnéj miłości macierzyńskiéj staje się pani Liska. Jest ona niewolnicą swego przywiązania dla syna. Znosi od niego najgorsze obejście, dręczy się jego złemi postępkami, zamartwia się, ale znajduje dla nich zawsze usprawiedliwienie. Moryś gra w szynkowni w bilard, matka dowiaduje się o tém, chce iść za nim, lecz nie śmié. „Rozgniewa się — szepcze do siebie — powié, że szpieguję go, dręczę, życie mu zatruwam. Biedne dziecko! smutne życie ma, to prawda! Lepiéj może jutro powiem... uklęknę przed nim... błagać będę". („Sylwek Cmentarnik").

Dowody poświęcenia, zaparcia się matki syn przyjmuje jako coś zupełnie naturalnego i należnego sobie. On, ofiara losu, ponieważ nie może tak używać jak bogacze świata. Tyranizuje matkę, obrzuca ją wyrzutami, nie daje jéj dobrego słowa, a ona znosi to wszystko w pokorze zaślepionéj miłości macierzyńskiéj. — Ta matka jest tak bezrozumna, tak niedołężna w swém przywiązaniu, iż nie budzi nawet współczucia dla siebie.

Wogóle smutno, bardzo smutno wygląda rodzina w powieściach Orzeszkowéj. Wbrew poprzedniczkom swoim w zawodzie autorskim, idealizującym zazwyczaj życie rodzinne, Orzeszkowa przedstawia życie to wszędzie prawie jako antytezę tego czém być powinno. — A nie wypływa to u niéj z pesymizmu, tego uczucia zniechęcenia, które każe człowiekowi widzieć wszędzie samo złe, nie dozwalając wierzyć, aby mogło być lepiéj. Przeciwnie, malując złe, autorka wskazuje jako przeciwdziałanie: udoskonalenie moralne i umysłowe przyszłych wychowawców pokolenia. Niech małżeństwo nie będzie targiem więcéj dającego, niech go nie kojarzy lekkomyślność, zmysłowość, próżność lub konwenans: niech będzie związkiem nie tylko dwóch serc ale dwóch dusz rozumiejących się wzajemnie, mających jednakowe cele, dążności, pojęcie obowiązków rodzinnych i społecznych.

Czy wielkiéj téj zasadzie można odmówić słuszności?

V.

Wykazawszy szkodliwy wpływ na rodzinę, a zatém pośrednio i na społeczeństwo matek, które nie mają wyrobionego poczucia doniosłości obowiązków rodzinnych i obywatelskich, autorka ukazuje na różnych stopniach położenia i stanowiska te kobiéty, w których za pomocą wychowania nie rozwinięto umysłu, dążnościom nie wskazano celów wyższych i szlachetniejszych, nie wpojono zamiłowania pracy. Dla zagłuszenia wewnętrznéj pustki jedne z nich rzucają się w wir zabaw, płochych, czczych, a niekiedy rujnujących rozrywek; inne szukają zaspokojenia w strojach, w bigoteryi, odurzają się chimerami własnéj wyobraźni, narkotykiem pożądań erotycznych, a nieświadome warunków rzeczywistego życia, stają się bez własnéj woli i chęci przyczyną niezliczonych nieszczęść.

Pani Klotylda Warska jest kobiétą niepospolitą; ma dobre, szlachetne porywy, ale naturę ognistą, która nieujęta w karby, unosi ją na manowce. Odczuwa ona całą pustkę i czczość życia, wzdryga się na swoje postępki, ale pod wrażeniem chwili rzuca się na oślep za tém, czém się niedawno brzydziła. Ta walka wewnętrzna nie daje jéj spokoju, łzy jéj z oczu wyciska, każe jéj tęsknić za dniami najwcześniejszéj młodości, kiedy serce jéj biło za tém, co dobre i szlachetne. Nie mając wyrobionych sił ani woli dla przeciwstawienia lepszych instynktów swéj natury prądowi, który ją unosi, gubi cudze szczęście i własne, stając się przyczyną śmierci szlachetnego człowieka, którego kochała. („W klatce").

Piękna Ewa Dembielińska, kobiéta, która wśród pokus świata umiała przejść czysta i nieskalana, odpycha od siebie mężczyznę, którego kocha, w obawie przed ubóstwem, bo przepych i komfort to warunki egzystencyi, bez których nie pojmuje życia, to jest nie pojmuje, że poza salonem wysłanym miękkiemi dywanami istnieje inne życie, i że mogą być w niém jakieś wyższe cele. Człowieka tego popycha pośrednio do popełnienia występku, obudziwszy w nim to przekonanie, że bez majątku nic nie znaczy praca i talent, sama zaś zostaje żoną hrabiego Horskiego, poważnego myśliciela, zacnego filantropa, a nie rozumiejąc jego celów ni zadań, zawodzi serce człowieka, który położył w niéj całą wiarę. („Na dnie sumienia").

Próżniactwo, brak zamiłowania do jakiejkolwiek użytecznéj pracy wytwarza znów inny typ kobiét: męczenniczek, niezrozumianych ofiar. Kobiéty te, których nie nauczono oceniać świat i życie według rzeczywistéj jego wartości, przebywają w jakiéjś urojonéj krainie, do

któréj wznoszenia dostarcza im materyału szkodliwa lektura niedorzecznych romansów. One czują się do czegoś wyższego stworzone, jakże mogą wyżyć w tym świecie pełnym brudnéj prozy? Więc na skrzydłach wyobraźni unoszą się w sfery estetyczne, nie dbając co się dzieje na ziemi.

Taką niezrozumianą ofiarą jest pani Helena Szarska („Sylwek Cmentarnik"). Rozegzaltowana, z nerwami rozstrojonemi, od rana do nocy zatapia się w czytaniu romansów.

Cała to moja przyjemność, całe to moje szczęście—spowiada się przed swoją znajomą—i cała pociecha w tém smutném życiu! Co ja bym nieszczęsna poczęła, gdybym jeszcze tych moich kochanych książek nie miała, gdybym się niemi nie upajała, gdyby mnie one w lepsze, promienniejsze światy nie unosiły. Nie uwierzysz, jakiéj rozkoszy doznaję, gdy imaginacyą przynajmniéj unoszę się w krainy miłości i zachwytów, w świat elegancyi, salonów, rycerzy, hrabiów i książąt".

Mąż, dzieci, jako przedmioty poziome, nie obchodzą téj eterycznéj istoty. Mąż zrozpaczony, nie mając żadnéj pociechy w domu, pije i przepędza całe dni w szynku, synowie, pociągnięci przykładem swych towarzyszów, uczą się kraść, córeczka, prześliczne pięcioletnie dziecko chowa się na śmietniku; pewnego dnia przyjaciel małéj, katarynkarz, przynosi ją uśpioną z szynku, gdzie włóczyła się za ojcem i gdzie ją spojono.

Duszą siostrzaną pani Heleny Szarskiéj jest pani Emilia Korczyńska („Nad Niemnem"). Mąż, aby utrzymać dla dzieci odziedziczoną ziemię, pracuje krwawo, wyrzekając się przyjemności, rozrywek nawet umysłowych, zamienia się w maszynę roboczą. Natomiast pani tworzy sobie świat własny. Za procent, który mąż jéj od posagowéj sumy wypłaca, utrzymuje atomsferę idealną w swoim buduarze, a kiedy on oblewa się potem w nadludzkich wysiłkach dla téj ziemi, do której przyrósł całém sercem, pani z cichém westchnieniem ofiary marzy o wyższych pięknościach życia. Cicha, łagodna, osłabiona, nieszczęśliwa, po całych dniach przysłuchuje się romansom, które każe sobie odczytywać Tereni, romantycznéj swojéj lektorce, zachwyca się opisami dalekich krajów, Egiptem i Eskimosami, i wzdycha do tych czasów, kiedy księżniczki kochały się w pięknych markizach, pełnych galanteryi, nie takich wołach roboczych, jakich okaz jéj mąż przedstawiał.

Pani Emma Żyrewiczowa gardzi również pospolitością, wzdycha do czegoś... czegoś... do braterstwa duszy, do miłości wielkiéj, niewysłowionéj. Uważa się także za ofiarę, grywa na fortepianie, śpiéwa sentymentalne piosenki, rumieni się za córkę, ordynarną naturę, mającą upodobanie w prostéj, grubéj pracy; natomiast rozczula się nad ku-

zynkiem, w którym odczuwa bratnią duszę, nie domyślając się, że uczucie jéj dla niego to namiętność podstarzałéj kobiéty do młodego mężczyzny. Powierza mu ostatni fundusz, będący zarazem posagiem jéj córki i niszczy szczęście téj biednéj dziewczyny, nie pozwalając jéj wyjść za człowieka uczciwego, ale rzekomo niższego od niéj położeniem społeczném i towarzyskiém („Zefirek").

Złe, jakie kobiéty ograniczone, sentymentalne a niepraktyczne wyrządzają, jest nieograniczone. Nie wierzcie w ich egzaltacye, ich sentymentalne frazesy, ich czułości i idealne aspiracye. Drapują się one w tę piękną zasłonę, utkaną z promieni słonecznych i pajęczyny, jak inne w modne okrycia od Wortha. — Tak czuło wzniosła pani Przyborska („Szara dola") usta ma pełne najpiękniejszych frazesów, ulatuje myślą w krainę duchów, zachwyca się szczęściem mieszkańców Jowisza, wykazuje bardzo tkliwe serce i — zupełną nieznajomość interesów. Ale to tkliwe serce pozwala jéj znieść, że taki biédny Żminda, którego podszedł jéj synek, wydzierając mu grosz ostatni, wychodzi o kiju żebraczym, bo czuła dama nie chce poświęcić dla ocalenia go ani kilkuset rubli, ani jednego z kosztownych przedmiotów, którego wartość ocaliłaby go od nędzy.

A ta dobra pani, ta czuła opiekunka siérot, przybrana mama biednéj dzieciny, któréj zachwycona wdziękiem, bierze ją od jéj opiekunów, ubogich stróżów. Pieści dziecko, stroi, uczy francuskiego szczebiotu, wyjeżdża z nią do Włoch, a w końcu znudzona rolą czułéj matki, odsyła ją do garderoby, następnie do dawnych jéj opiekunów. Biédne dziecko, które się przywiązało wszystkiemi siłami swéj młodéj duszyczki do „dobréj pani", nie może zrozumiéć, co się stało? Zamiéra powoli w atmosferze nędzy i brutalstwa, od którego odwykło, lecz ciągle oczekuje, ciągle się spodziéwa. Czyż uczyniło co złego, aby nie miało już nigdy ujrzeć swéj dawnéj, dobréj mamy? W końcu nie mogąc przezwyciężyć tęsknoty, biegnie pod okna jéj domu: może wróciła? może ją ujrzy przez szybę? i kona, jak wygnany pies, za oknem.

Patrzcie! oto wasze idealne anioły, z których nie uczyniliście ludzi, w których głowach nie ciąży ani odrobina niepotrzebnéj dla kobiét wiedzy; oto wasze tkliwe, czułe, pełne dobrego serca i idealnych aspiracyi kobiéty — zdaje się mówić do społeczeństwa autorka. Widzicie je w różnym wieku, w rozmaitych odmianach i na rozmaitych szczeblach drabiny społecznéj: czy czujecie się niemi bardzo zachwyceni?

VI.

Jeżeli Orzeszkowa tak dosadnemi rysami skréśliła sylwetki ujemne kobiét, że aż niekiedy przechodzą w karykaturę, należy zapytać: jaki jest typ dodatni kobiéty w jéj utworach?

Jest to typ, który, będąc wyrazem konkretnym zalet i przymiotów, jakie właściwości plemienne, rozwój społeczny i dziejowy, zarówno jak obyczaj wyrobiły w charakterze naszych kobiét, został obrobiony przez autorkę odpowiednio do pojęć, jakie pragnęła zaszczepić wśród ogółu.

Główną cechą bohatérek Orzeszkowej, to niestrudzona pracowitość w połączeniu z podniosłością umysłu lub serca.

Autorka tak nienawidzi próżniactwa, w jakiéjkolwiek przejawia się ono formie, czy to jako dyletantyzm artystyczny lub umysłowy, czy to jako czcze zabijanie czasu na pozorném zajęciu się fraszkami, — że bohatérki jéj są literalnie zapracowane. Żadnego rodzaju pracy nie uważają one za nieprzyjemny lub nieodpowiedni dla siebie. Krzątają się w domowém zajęciu, chodzą same do miasta po zakupy, pilnują śpiżarni, uczą dzieci, dają lekcye. Umysłem i sercem sięgają daleko, ale ręce ich są ciągle, nieustannie zajęte. Nie ma ani jednéj pośród nich, któraby nie pracowała mozolnie, a jeżeli w pierwszych utworach autorki niezbędnym pierwiastkiem, podnoszącym kobiétę, jest umysł wykształcony i myślący, to w późniejszych chociaż nie traci on nic ze swego znaczenia, nie staje się jednak warunkiem koniecznym.

W jednym z początkowych swoich utworów przedstawia Orzeszkowa kobiétę, u któréj troska i zachód około utrzymania bytu pochłania wyłącznie wszystkie władze duchowe, jako istotę małoduszną i upośiedzoną. Pani Snopińska, któréj całe życie wypełniało zajęcie przy gospodarstwie, „nieokraszone ani jedną szczyptą poezyi, nieogrzane ani jednym promieniem szerszéj, ogólniejszéj myśli, na któréj twarzy séry, masło i mąka wypiętnowały prozaiczną i oschłą cechę, wyglądała w swoim wąskim, ciemnym szlafroku i swoim czépku na rudych włosach tak, jakby wnet zamienić się miała w długi, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz do śpiżarni" („Na prowincyi").

Jakże odmiennie przedstawia Orzeszkowa nieco późniéj w jednéj z najlepszych swoich powieści („Nad Niemnem") aż dwa typy: pannę Martę i panią Kirłłową, tych zapracowanych kobiét, których życie nie ozłocone było żadną szczyptą poezyi, żadną szerszą myślą, a schodziło na równie prozaicznych zachodach gospodarskich.

Kobiéty Orzeszkowej bardzo mało, lub wcale nic nie zajmują się sztukami pięknemi.

Jeżeli w jednym z początkowych swoich utworów przedstawiła bohatérkę, która z artyzmem uprawia grę na fortepianie, (Wanda w „Cnotliwych"), to — proszę ten rys zauważyć — jest to jeden jedyny typ z jéj powieści. Jeżeli bohatérki Orzeszkowej mają poczucie piękna, jeżeli poezya i sztuka budzi w duszy ich odpowiednie tony, to są to uczucia, na które—że tak powiem—pozwalają sobie w chwilach odświętnych, wolnych od zajęcia: codziennym trybem ich życia jest tylko praca.

Dla tych samych powodów, z poczucia szkodliwości, jaką dla rodziny, a względnie dla ogółu powoduje zamiłowanie w strojach: bohatérki Orzeszkowej odznaczają się nadzwyczajną prostotą i skromnością w swéj powierzchowności.

„Dobre, młode dziewczę — pomyślałem — (kréśli uczucia swoje prawnik odnośnie do téj, która sama jedna z całéj rodziny okazała przywiązanie dla nieszczęśliwego brata), serce twoje zasługuje na to, aby głowa nie nosiła na sobie fury siana, zlepionego pomadą... Serce twoje zasługuje na to, abyś z dwoma warkoczami, owiniętemi nad dziewiczém czołem, z myślą wniesioną wysoko i okiem nieprzysłonioném niczém, szukała dla siebie po świecie trudnych dróg obowiązków i wzniosłych szczytów szlachetnego szczęścia. Niestety! zadziwiająca koafiura przytłoczy w głowie twojéj wszelką myśl, którąby powstać w niéj chciała" („Stracony").

Autorka nie ma dosyć sarkazmu dla przesadzonych strojów i fryzury. Wystrojone panny Suszycówny ze swoją matką wyglądają karykaturalnie śmiesznie.

Kobiétom Orzeszkowej jeżeli natura nie odmówiła wdzięku, to jednak największą siłę ich piękności stanowi piękno duszy, odbijające w spojrzeniu myśl leżącą na ich czole.

Namiętność jest im obcą zupełnie. Nie są one zdolne do żadnego z tych gwałtownych uniesień miłosnych, którą owładnięta kobiéta odważy się stargać wszelkie nałożone sobie więzy. One nawet nie przypuszczają myśli o możliwości takiego czynu. Jeżeli serce ich uderzy uczuciem wzbronioném, w walce z niém przywołują na pomoc obowiązek i wychodzą zawsze zwycięsko.

Typem kobiéty tego rodzaju jest Marya w powieści pod tym tytyłem. Młodą dzieweczką pokochała przelotnie człowieka, z którym rozstać się niebawem musiała. Potém wyszła za mąż za człowieka zacnego, dla charakteru którego czuła szacunek, starszego znacznie od siebie, nierównego jéj wykształceniem, a w dodatku wdowca. Zosta-

wała jego żoną z mocném postanowieniem spełnienia swego obowiązku. I dotrzymała słowa. Dzieci jego przyjęła za swoje, pracowała nad rozwinięciem ich fizyczném i umysłowém, była dobrym duchem rodziny i domu swego męża, jéj wpływ dobroczynny rozciągał się na licznych pracowników, którym mąż jéj, jako przemysłowiec, dawał chléb i zatrudnienie. Wśród téj dobroczynnéj działalności zjawia się ten, którego dzieweczka kochała, człowiek, którego charakter, dążności, wyobrażenia stanowią z jéj własnemi zupełną harmonię. Z tych wspólnych dążności i celów wykwita kwiat najwspanialszy miłości. On poddaje się uczuciu, z którego czerpie niewypowiedziane szczęście: ona walczy, doznaje chwilami wahań, buntów, niepewności, w końcu zwycięża siebie i odrzuca miłość, którą on jéj ofiaruje, wymawiając słowo: rozwód. Nie, nie zawiedzie człowieka, który okazuje jéj zupełną ufność i wiarę, nie opuści dzieci, którym zastępuje matkę, nie porzuci domu, gdzie tyle ludzi za jéj staraniem znajduje nietylko chléb, ale kierunek moralny („Marya").

Wanda pokochała człowieka żonatego, przykutego do kobiéty staréj, złéj jak jędza i choréj, zniewolona jego wyższością duchową. A jednak stosunek ten — gdyż wyznają sobie wzajemną miłość — tak drastyczny ze swéj natury, autorka przedstawia tak idealnie, tak, rzec można, sielankowo, iż staje się aż—budującym („Cnotliwi").

Wogóle Orzeszkowa nie ma ani jednéj żywéj farby na swojéj palecie dla odmalowania uczucia miłości. Nadaremnie szukalibyśmy tutaj jakiegokolwiek żywszego poruszenia namiętności, któreby objawiłoby się samo przez się, przemówiło własnym językiem. Jeżeli w „*Bene Nati*" Salusia chce się topić, zawiedziona w miłości, to widzimy tylko historyę uczucia, języka namiętności nie słyszeliśmy wcale. Nie słyszeliśmy, bo go nie ma w żadnym utworze Orzeszkowej. U niéj kobiéty kochają sercem, nie zmysłami. „Przy słowie kochaj, powinno stać: myśl" — poucza autorka. Ale téż jeżeli kobiéta taka pokocha człowieka godnego jéj miłości, to trwale i na zawsze; staje się wierną przyjaciółką męża, wytrwale i mężnie stoi u jego boku, dzieli jego prace, dodaje męstwa i odwagi w przeciwnościach, ciosy, które uderzają w niego, pomaga mu znosić wspólnemi siłami; posiada ona wytrwałość, siłę i energię męską z dodatkiem tkliwości kobiecéj.

Taka Krystyna Dembielińska poślubia w więzieniu swego narzeczonego, który sam się oddał w ręce sprawiedliwości, aby odpokutować popełniony niegdyś występek („Na dnie sumienia").

Jeżeli Mieczysław Orchowski ocala majątek zachwiany, to zarówno w tém jego zasługa, jak jego żony, która przejęta wspólną z mę-

żem dążnością i zasadami, umiała w trudném położeniu wytrwać na stanowisku i zachęcić męża do wytrwałości.

Natomiast nic karykaturalniejszego, nic śmieszniejszego jak te romantyczne heroiny, dla których miłość stała się alfą i omegą żywota.

Klotylda, sentymentalna dziewica już nie pierwszéj młodości, ma serce tak gorące, iż gotowe ono pałać nieustająco gwałtownym jak wulkan płomieniem. Zakochała się w subiekcie ze sklepu swego brata, znacznie młodszym od siebie, i gotowa dla niego poświęcić wszystko. Napróżno jéj przekładają, że to człowiek małéj wartości, lichy, że żeni się z nią, aby złapać jéj posag i stracić go następnie. Wszystko to napróżno. Na wszystkie perswazye i przełożenia ma tylko jedną odpowiédź, kiedy ja go kocham! („Marya").

Ciocia Rózia znów w rodzinie Brochwiczów — to śmieszna, stara dzierlatka, z farbowanym warkoczykiem nad czołem, umalowanemi brwiami, młodzieńczym rumieńcem i wieczną fluksyą w twarzy, nieustannie szczebiocząca o swoich dawnych sukcesach, miłosnych awanturach i romantycznych przygodach. Bezmyślna papuga, skrzecząca na wszystkie tony i głosy: miłość! miłość! ograna katarynka, rzępoląca czułe arye aż do ckliwości.

Co za kontrast z tą sroką skrzeczącą bezustanku miłosne androny stanowi taka Marta, stara panna, uboga krewna, żyjąca rzekomo na łasce pana Benedykta Korczyńskiego, a która w rzeczywistości jest duchem ładu i porządku w jego domu i najdzielniejszą pracownicą. Wiecznie zajęta, wiecznie zapracowana, dręczona kaszlem, który w chwilach zmęczenia lub silniejszych wzruszeń tchu ją pozbawia, zaniedbana, w pantoflach, aby jéj było lżéj biegać, nie ma spoczynku jednéj minuty. Nikt jéj nie nagli, nikt od niéj nie wymaga tego wysiłku, który odbiéra jéj zdrowie, ona sama przyjęła ten ciężar na swoje barki i jeszcze jéj się zdaje, że robi za mało, że jest bezużytecznym gratem na świecie.

Podobnym typem i w téjże saméj powieści („Nad Niemnem"), a znakomicie odtworzonym z natury, jest pani Kirłłowa. Niegdyś panna z dobrego domu, otrzymała wychowanie jak większość córek obywatelskich, polegające na dobrych manierach, francuzczyznie i grze na fortepianie. Zaskoczona nagłą zmianą losu skutkiem wielkiéj burzy, stanęła do walki o kęs chleba dla dzieci i nie znajdując pomocy w mężu, przyjemnym hulace i wytwornym pieczeniarzu, któremu życie schodziło na włóczeniu się od kominka do kominka, wzięła na wątłe swoje barki cały ciężar zabiegów w walce o byt. Z wykwintnéj, eleganckiéj damy przemieniła się w gospodynię, klucznicę i szafarkę.

Biegając, doglądając, kłócąc się ze służbą, nabyła gminnego przyzwyczajenia podnoszenia głosu i przygrubszych manier, ale w duszy jest to kobiéta dziecięco naiwna i przejrzyście czysta. Gdy jéj przyjdzie z konieczności mówić o czémś, co w jéj pojęciu obraża skromność, rumieni się jak pensyonarka po same skronie. Nietylko nie uważa się za ofiarę, ale ten stan rzeczy, że ona pracuje, zabiega, kłopocze się z dziećmi, a mąż się ciągle bawi, uważa za coś zupełnie naturalnego i ani jéj przez myśl przejdzie winić go za to.

Ten typ pani Kirłłowej jest odtworzony po mistrzowsku, jest to ze wszystkich typów, jakie autorka przedtém nam ukazała najudatniejszy, bo prawdziwy, bo wzięty z natury, bo nie naciągany do jakiegoś pojęcia powziętego z góry.

Ani Marta, ani pani Kirłłowa nie działają pod wpływem umysłu oświeconego wyższą myślą, pod natchnieniem poczucia wyższych obowiązków obywatelskich, są one raczéj wcieleniem bezwiedném téj myśli i tych obowiązków.

Za to Seweryna Zdrojowska w „Dwóch biegunach" posiada przedewszystkiém poczucie powinności obywatelskich. Bardzo młoda, bardzo bogata i skutkiem zbiegu okoliczności nieograniczona pani swéj woli i swego majątku, dostaje się z pośród puszcz litewskich do wielkiego świata warszawskiego i tu zdumioném okiem spogląda na ludzi i wytworzone przez nich stosunki, mając zupełnie pod tym względem odmienne pojęcia. Sama budzi nie mniejsze zdumienie swoją powierzchownością, nie licującą z modnym światem ani prostotą stroju, ani skromnością fryzury. Wyższość jednak jéj charakteru, oryginalność umysłu, szlachetność duszy, imponuje bez jéj wiedzy i woli zblazowanym paniczom i budzi w jednym z nich gwałtowne uczucie, pod wpływem którego doznaje on gwałtownego przeobrażenia, nie czuje się atoli zdolnym do wyrzeczenia się tych wszystkich przyjemności i nawyknień wielkoświatowych, których czuje całą niedorzeczność, ale które stały się drugą jego naturą. — On nie wyżyłby wśród tych ciemnych puszcz, gdzie schodzi jéj życie, ani wśród tych warunków i abnegacyi swojéj natury na rzecz idei: ona zaś nie chce za cenę własnego szczęścia, za cenę jego miłości wyrzec się swych ideałów i celów, do których dążenie uważa za przekazany sobie obowiązek. Więc na jego gorące oświadczenia miłości, na jego prośby i zaklęcia, gwałcąc własne serce, odpowiada: nie! i pozostaje na stanowisku.

Podobną do Seweryny postacią jest Irena w „Australczyku". Jest to typ młodéj dziewczyny, któréj działalność nie mając tak obszernego pola jak pierwszéj, zamyka się wśród ścian domowych przybranéj rodziny, ale nie mniéj przez to wśród danych warunków i okoliczności

staje się skuteczną. Irena zamiata izbę, piecze chléb, uczy małą Bronię, lecz myślą obejmuje szerokie horyzonty. Jest o tyle szczęśliwszą od Seweryny, że człowiek, któremu serce oddała, przejmuje się jéj zasadami, wyrzeka się świetnéj karyery w dalekich stronach i zaprzęga do pracy dla dobra tych, którzy jemu i jéj są bliscy, chociaż nie krewni.

Oto główne, zasadnicze typy kobiét w znaczeniu dodatniém w powieściach Orzeszkowej. Pominąwszy pionierki niezależnéj pracy z pierwszego okresu jéj twórczości, o których wspominaliśmy w poprzednich rozdziałach, typ ten utrzymuje się niezmiennie w ciągu całéj działalności pisarskiéj autorki, tylko w różnéj formie. Jest to typ kobiéty nietylko pracującéj, ale zapracowanéj. Zakres działania jéj nie jest rozległy, stanowi go: dom, kuchnia, śpiżarnia, gospodarstwo, pokój dziecinny. Sztuka, artyzm, literatura nie mają wcale przedstawicielek w utworach powieściopisarki. Kobiéty jéj nie odznaczają się ani orlim polotem ducha, ani wielkiemi namiętnościami. Są to kobiéty zwyczajne, powiedzielibyśmy nawet bardzo pospolite, gdyby nie ożywiające je uczucie obowiązków obywatelskich, jest ono w nich świadome, lub nawet bezwiedne, ale tak zrosłe z ich naturą, tak przeszło w ich krew i soki, że nawet działając mechanicznie, są one posłuszne jego wewnętrznemu głosowi. Stoją one wiernie i wytrwale przy swoim obowiązku, a w walkach z sercem, zawsze refleksya i uczucie powinności odnoszą zwycięstwo. Są to wogóle kobiéty chłodnego temperamentu, rozsądne, pracowite, myślące, trzeźwe i trzymające się oburącz ziemi.

(D. n.) *E. Jerlicz.*



SYMFONIE.

III. Morze.

Płci pięknéj.

...Widnokrąg świata się zaciemnił, morze straciło wejrzenie swe szafirowe...

Barwa opalu, przeplatana niknącemi blaskami szmaragdu, usiłuje zapanować nad białością fal spienionych...

Fale te nawołują się coraz głośniéj, podniecają się coraz żywiéj, obejmują się coraz gwałtowniéj i rzucają się roznamiętnione w taniec szalony, wściekły, pełen wrzawy dzikiéj, wycia rozpaczliwego, jęku...

O toni morska, twój jęk bezwyrazowy całą swą rozpaczą wsącza się w moją duszę, bom dzieckiem twych pragnień, twéj głębi nieskończonéj!... Cała twa dusza, rozproszona w twych falach, skupia się we mnie...

Niepokonana jakaś siła ciągnie mnie ku tobie, ku twym falom rozszalałym... Porwij mnie w swe objęcia, bo tęsknię do ciebie; unicestwij mnie w swym uścisku, bo pragnę zjednoczyć się z tobą, z tobą szaléć i w tobie zginąć i nowém odżyć w tobie życiem!...

Zgaś we mnie tę gorączkę pragnienia, co mnie dręczy i pali i nie daje się niczém ugasić! Zgaś ten żar, jaki zapalają we mnie te cudowne harmonie kształtów niewieścich, te kwiaty wiosenne pełne woni upajającéj, te oczy błyskawiczne nocy burzliwych, te głosy czarujące

muzyką miłości i wszystko to razem, jednoczące się w jakąś siłę olbrzymią kobiécego uroku, trzymającą mnie w swéj mocy i niepozwalającą mi się z pod niéj wyłamać!...

Ileż to razy urok kobiécy, osłonięty swą tajemniczością, czarował mnie, upajał swą wonią, tonami rozkoszy zapełniał mi duszę i w najcudowniejsze barwy świat cały mi przystrajał. Nienasycone pragnienie moje chciało jednak więcéj jeszcze, chciało poić się nim zblizka; lecz w chwili, gdy zrywało z niego osłonę tajemniczą, spłoszony urok ulatywał bezpowrotnie w nieznaną jakąś stronę... Kwiat miłości tracił nagle czarujące swe barwy i zapach swój upajający, wiądł i liść po liściu poczynał z niego opadać... Trzymając w objęciach swą ukochaną, tęskniłem za urokiem, który uleciał gdzieś ku innéj, nieznanéj kobiécie...

Mam w pamięci chwilę bolesną, burzliwą, spędzoną w objęciach jednéj z tych kochanek nieszczęśliwych, które odpowiadały już na nawoływania miłości. Pragnienie rozkoszy jedynie pchnęło nas ku sobie, miłość jednak jak gość nieoczekiwany zjawiła się na uczcie naszych pocałunków. Była to miłość z całym swym orszakiem nadziei bezgranicznych, z wylewem słów z głębi duszy: „Do ciebie należéć będę zawsze, na zawsze!”

Błagała mnie, bym powtarzał jéj te słowa, lecz gdym je wymawiał, gdy z warg mych przenosiły się do jéj uszu, zamykała mi usta swą ręką i rzucała się we łzach, wołając: „Kłamiesz, ty mnie porzucisz, ty mnie niedługo kochać będziesz!”

Płakala nademną i nad sobą, nad zwodniczą nadzieją, któréj czczość znana jéj była zbyt dobrze. Przypomniała sobie, że te same słowa słyszała już dawniéj od innych. Lecz gdzież są serca świéże, bez pamięci, niewiedzące, że się kłamie, gdy się mówi: „Na zawsze!”

Gdybyż można było wszystkie kobiéty, warte miłości, streścić w jednéj, całą treść kobiécego uroku na jedne przelać usta i wypić ją w jednym pocałunku i ugasić swe pragnienia na zawsze i nie pragnąć już nigdy!...

. . . .

Morze kołysze się coraz słabiéj, coraz ciszéj huczą jego fale...

Niebo rozchmurza się, rozjaśnia...

Pośród ukazującego się błękitu lekkie już tylko płyną mgły, oblane słońca połyskiem...

Cichnące fale przewijają się zaledwie po niezmierzonéj wód płaszczyźnie, igrając z kąpiącym się w nich blaskiem słonecznym...

Ujęta wreszcie w przedwieczorną ciszę, szalejąca przed chwilą otchłań wodna pogrąża się w stan jakiéjś zadumy głębokiéj, w tęskne jakieś marzenie zapada...

Myśli me, płynąc po zwierciadlanéj jéj powierzchni, dobiegają złocącego się w słońcu widnokręgu a uniósłszy się w górne przestwo-rza bezgraniczne, żeglują po coraz czystszym błękicie...

IV. Sfinks.

Filozofom.

Kolosy Dżyzeh strzegące doliny Nilu, ujęte w złocone słońcem ramy pustyni, stoją zadumane majestatycznie ponad morzem piasku, na zachodnim widnokręgu. Na południu niebieszczą się piramidy Sakkary, strzegące niegdyś Memfisu, a ku północy, po za sznurem pi-ramid od Dżyzeh do Daszur, widnieją wśród ognistego pyłu piramidy Abusyru, oraz ruiny świątyni Izydy.

Olbrzymy te, zawsze gotowe do walki z huraganami pustyni, bro-nią od ich najścia białawą wstęgę Nilu, wijącą się po zielonym ko-biercu doliny wśród cienistych lasków palm, baobabów, mimoz i ka-ktusów.

Morze piasku, okolone oślepiającą jasnością błękitu, zabarwia się w tony nieuchwytne, to różowe, to niebieskie, to złote, falujące w at-mosferze pełnéj żaru przepalającego wszystko...

Ta muzyka barw, muzyka ognia promieni słonecznych znika wre-szcie zupełnie. Rozpalona płaszczyzna, zalana słońcem, w jeden ol-brzymi pożar się zamienia...

Cisza głęboka potęguje przestrach wobec wspaniałego tego spu-stoszenia...

Zabłąkana tutaj myśl ludzka plącze się chaotycznie wśród na-tłoku bezmiernego wrażeń potężnych i ugina pod ich ciężarem. Wid-ma potworne, zagadkowe, męczą ją swą nieruchomością, gniotą swym ogromem, przerażają, oniemiają...

Olbrzymi Sfinks wlepia uparcie kamienne swe oczy w wieczność i nieskończoność, zdając się boléć nad znikomością i niepowrotnością chwil na zawsze minionych... Jakaś surowość majestatyczna wieje od niego, ściśnięte jego wargi zdają się kryć straszną jakąś tajem-nicę...

Lecz nagle ciszę tę żałobne przerywa brzmienie...

Milczący od wieków Sfinks otwiéra ściśnięte swe wagi i, spra-gniony mowy, wytryska kaskadą słów, huczących echem rozkołysa-nych fal morskich...

„Myśli ludzka, zabłąkana w tych stronach, nie ośmielaj się podnosić zasłony tajemniczéj, ukrywającéj nagość wszechrzeczy, bo mściwe bogi, czyhające na twą zgubę, śmiercią za grzéch taki cię ukarzą!...

„Potęga niszczenia, w potworne ujęta formy, panuje tu samowładnie. Nieubłagany Tyfon z całą armią bogów okrutnych rzuca się rozszalały na wsze strony, siejąc wszędzie spustoszenie. Wszechpotężny Ozyrys nawet nie może się oprzéć jego sile. Olbrzymie mieszkania bogów opiekuńczych, strzeżone przez kolosy ludzkie i zwierzęce, rozsypują się pod niszczącym jego tchnieniem...

„I ja chciałem poznać niegdyś nagą Izydę. Rozum mój, nie zadawalając się gonieniem gwiazd po niebie marzeń, zapragnął zgłębić zagadkę życia, a męstwo moje czyniło mnie głuchym na groźby bogów...

„Widywałem nieraz Naiwność nagą, siedzącą w cieniu jabłoni i igrającą swobodnie, bez gorączki wzruszenia, z Naturą. Widywałem również wówczas zbliżającą się ku niéj Mahamaję i mową swą czarodziejską, rozkazującą jéj jeść owoc doświadczenia, owoc śmierci... Za każdym razem, gdy Naiwność łatwowierna spełniała rozkaz Mahamai, piękne jéj ciało stawało się wstrętném, cuchnącém, trupiém...

„Razu pewnego poczułem w sobie niepokonane pragnienie zobaczenia nagiéj Izydy, do któréj Mahamaja nie ma przystępu... Pomimo gróźb bogów, pomimo straży licznych potworów, wdarłem się do jéj świątyni, podbiegłem do niéj, podniosłem zasłonę okrywającą jéj nagość i... spostrzegłem...”

Kaskada słów Sfinksa urywa się nagle, błękit nieba ciemnieje, blask oślepiający słońca znika; przerażona myśl ludzka drętwieje, światło jéj gaśnie, życie w niéj zastyga...

Ten, co śmiał podniéść osłonę Izydy, co poznał nagą prawdę życia — kamienieje...

V. Nad Nilem.

Prometeuszom.

Kraj piasku i ruin, kraj smutku i rezygnacyi, kraj piramid zamienia się nagle, na dnia schyłku w kraj czarujący, rozkoszny, nadziemski...

Nad piaszczystą ruiną, ciągnącą się gdzieś w nieskończoność, zapala się obraz o barwach zmiennych, to różowych, to szkarłatnych, to ognistych, to złotych, to fioletowych, jakie rzuca na błękitne sklepienie nieba zachodzące słońce.

Wszystko obléwa się płomieniem, wszystko się pali...

Jakieś dzikie misteryum szatańskie, wyłonione z mroku starożytności, zdaje się odtwarzać w tym pożarze... Zamarłe od wieków legendy z całą swą treścią przerażającą zdają się budzić do nowego życia...

Stérczące ruiny, jak upiory przeszłości, nabiérają w ogniu tym jakiéjś grozy, jak gdyby tchnienie mściwych bogów, zamieszkujących je przed pół wiekiem wieków, nie zamarło w nich jeszcze... Zdają się one boléć nad tém, że strumień czasu nie uniósł ich razem z potężnymi władcami nieba i ziemi, lecz kazał im jak szkieletom przetrwać dłużéj od zapełniającéj je treści...

Rzym zapalony przez Nerona nie jaśniał tak przerażająco wspaniale, nie gorzał taką groźną purpurą ognistą, jak to miasto ruin, miasto kopuł i minaretów z zatkniętym na nich półksiężycem...

Cisza tęsknego smutku i zmęczenia ogarnia wszystko... Dusza ludzka, przygnieciona tą ciszą, śpi snem jakiegoś odrętwienia w tym kraju słonecznym, pośród tych ruin... Żadne gorączkowe porywy nie zakłócają jéj spokoju...

Palone ogniem mózgi i serca przyjmują w milczeniu niewolniczém wszystko, nawet uśmiechy przedsenne swego tyrana, wyczekując z pewną tęsknotą chwili wiecznego spoczynku, która ich wyzwoli z pod jego władzy okrutnéj...

Postaci kobiét, w czarne ujęte osłony, potęgują grobowy ten nastrój, przesuwając się jak cienie zmarłych wzdłuż murów pochylonych, zmęczonych również swém istnieniem i spragnionych spoczynku...

Gdzieniegdzie gwar jakiś rojem pszczół zabrzęczy i znowu cisza zalega w powietrzu, cisza smutku i rezygnacyi...

Ogień przepala tu i pożera wszystko, co stworzy. Nil tylko, Nil wielki i wspaniały nie lęka się tego wszechniszczenia i rozkoszuje się nawet w palącéj kąpieli słońca...

Szeroka jego wstęga przewija się dumnie wśród tych popiołów życia i pod nowy użyźnia je zasiew... a razem z nią płynie czas... i unosi wszystko w bezpowrotną przeszłość...

. . . .

Na ciemniejącém tle nieba zapalają się migocące światełka gwiazd: czerwone, zielone, niebieskie... Która z nich oczarowała magów starożytnych, dała im przeczucie narodzin nowego świata i skierowała ich kroki w stronę miasta błogosławionego?... Czy nie ta sama, która pierwéj prowadziła Mojżesza i lud jego do ziemi obiecanéj?...

VI. Cmentarz.

Marzycielom.

Miasto umarłych, miasto pielgrzymów zaskoczonych w drodze do krainy szczęścia przez burzę śmierci, miasto ruin życia!...

Mózgi, które marzyły, — serca, które się krwawiły i kochały, — oczy, które się zachwycały i płakały, — usta, które szeptały słowa miłości i tonęły w rozkoszy namiętnych pocałunków, — łzy i uśmiechy, cierpienia i radości przeżyte — wszystko to mogiła dziś pokrywa!... Zapach zgnilizny pozostał tylko po nich; miesza się z wonią kwiatów, rzuconych pod nogi śmierci!...

Gdzie te płomienie zemsty i miłości, co walczyły z sobą, gdzie rzeź i jęki, gdzie namiętności pałające niegdyś, gdzie wdzięki upajające, gdzie tchnienia pełne nadziei i wiary?... Echa ich tylko zbłąkane uderzają duszę przechodnia, one tylko przerywają ciszę cmentarną swoją mową.

Napisy mogilne znaczą ilość drogi przebytéj każdego z tych pielgrzymów cyframi lat i miesięcy, któż jednak wié, jaką kto z nich kroczył drogą? Kto z nich był wielkim, a kto nicością; kto bogaczem, a kto nędzarzem; kto potężnym, a kto słabym; kto pięknym, a kto potworem; kto mędrcem, a kto głupcem?...

Wszyscy są tu równi, od wszystkich wionie zgnilizna śmierci.

„Cierpienia nasze kończą się w spokoju nieskończonym”. — „Śmierć wszystko leczy.” — „Grób jest schroniskiem najlepszém, śmierć — największém dobrodziejstwem.” — „Śmierć jest zbudzeniem się ze snu życiowego.” — Tak brzmią napisy rzucone tu i owdzie po płytach kamiennych, tak brzmią głosy tych, co chcieliby żyć, a skazani są na to, aby umrzéć. Nie dojdą do krainy zupełnego szczęścia, więc obiecują sobie szczęście takie w świecie innym, po śmierci.

. . . .

Jakaś postać niewieścia w czarnéj osłonie zarysowuje się na tle grobowców i drzew cmentarnych. Żałobna jéj szata świadczy, iż utraciła kogoś bardzo ukochanego, iż wielki smutek przepełnia nieszczęśliwą jéj duszę. Kilkakrotnie oddala się od mogiły ukochanéj i znowu ku niéj powraca, jakby nie mogąc się od niéj oderwać.

Lecz oto jakaś postać męska ukazuje się przy niéj.

— Spóźniłem się cokolwiek, ale to nie z mojéj winy.

— A ja myślałam, że cię już dzisiaj nie zobaczę. Czy to się tak godzi?

— Czyż przypuszczasz, że dla ciebie nie pobiegłbym choćby na koniec świata nawet? O, droga moja, odsłoń twe oczęta czarujące, niechaj w nie popatrzę, i twe usteczka rozkoszne, niech się napoję słodyczą ich pocałunku!

I uniósłszy czarną zasłonę przezroczą z twarzy ukochanéj, gorącemi okrywa ją pocałunkami.

— Jakaś ty piękna w téj żałobie, jak cudownie uwydatnia się białość twego ciała na czarném tle twego stroju, jak anielsko wyglądasz w tém ponurém otoczeniu cmentarném! Ta krepa tylko, zanadto ku ziemi spadająca, mogłaby być nieco krótszą.

— Krepa krótszą? Czyż po stracie męża można nosić krepę krótszą? Coby to ludzie na to powiedzieli?

I para zakochanych, cichsze zamieniając z sobą słowa, oddala się od miejsca spotkania, od świeżéj mogiły nieboszczyka odpowiednią długością krepy żałowanego i niknie wśród drzew i płyt kamiennych cmentarza...

I odwieczna pieśń ludzka płynie w powietrzu, echem swém uderzając o deski grobowe...

. . . .

Smutno mi na widok tych grobów, bo rozumiem cichą ich mowę, a rozumiem, bom się urodził na cmentarzu. Nad kołyską moją szalała burza przy głuchym jęku pogrzebowego płaczu. Skargi rozpaczliwe jedyną były pieśnią, jaką wówczas słyszałem, wsączyły się one w mą duszę tak całkowicie, iż nie byłem już późniéj zdolny do nowych dostroić się melodyi...

Nie widziałem cmentarza tego od lat wielu. Fale życia uniosły mnie w inne obszary świata i nie pozwalają mi zbliżyć się do mych mogił.

Daleko mi do tych pól krwią zasianych, do tych gajów sosnowych, złocących się w słonecznym blasku i echem pieśni zmartwychwstania dźwięczących. Daleko mi do tego cmentarza, więc tęsknię za nim, choć sam noszę w swéj duszy cmentarz złudzeń czarujących i smutków przeżytych, pieśni niedośpiewanych i nadziei umarłych...

Upiory tylko chwil minionych, mary cierpień i radości krążą około zgliszcz pożarów zagasłych, błądzą wśród ruin i popiołów przeszłości...

Któż zresztą nie nosi w sobie takiego cmentarza? Każdy składa na nim wszystko, co dla niego zamiéra, a gdy go zapełni, idzie złożyć go razem z sobą na wielkim cmentarzu dla wszystkich wspólnym, skąd

w postaci błędnego nawet upiora nigdy już nie powróci... Cmentarzami jesteśmy i cmentarz ostatecznym jest celem wędrówki naszego życia...

Ciemność na cmentarzu zapada coraz głębsza i coraz samowładniéj ogarnia wszystko. Ciszę cmentarną zamącają tylko kroki ziemskiego przechodnia, spieszącego na swój pogrzeb...

VII. Tabor.

Mistrzom tonów.

Wyłaniający się z morskiego szafiru Karmel, mglistą gazą osłonięty Moab, bielejący śniegiem Hermon, zwierciadlana toń Tyberyady, pogrążony w zieleni Nazaret, a przy nim piękna nizina Esdrelonu — co za przedziwna harmonia barw i kształtów, oblana morzem ciepła i światła i ujęta we wspaniałe ramy błękitu nieba!...

Zapatrzone w ów błękit olbrzymy zdają się marzyć o przeszłości, wydają się zaczarowanemi urokiem słów boskiego Mistrza, urokiem przebóstwienia się człowieczeństwa przewyższającym je swą wielkością.

Urok ten żyje tu jeszcze; cała natura tchnie tym urokiem, choć przeszłość dawno już w grobie spoczęła.

Przeszłość!?...

Cienie jéj krążą jak zaklęte około miejsc, gdzie ciało jéj zostało pogrzebane; usiłują odtworzyć to, co zamarło, dać życie temu, co żyć przestało...

. . . .

Od Wschodu do Zachodu wicher Zemsty mknie i zapala zniszczenia pochodnie.

Krwiożercze plemię Kaina usiłuje zgasić w rzezi bratobójczéj ogniem gwałtu pałające swe pragnienia, lecz krew przelana nowy podmuch Zemsty wywołuje.

Oko za oko, ząb za ząb, życie za życie oddać trzeba.

Ani modlitwy, ani groźby, ani potopy wód nie zdolne zażegnać biegu Zemsty.

Kroczy ona fatalnie we krwi ludzkiéj i po trupach ludzkich, wśród przekleństw i złorzeczeń, witana i żegnana wściekłym wrzaskiem rozbestwionych tłumów i jękami rwącéj serca rozpaczy. Tysiące rąk, tysiące piersi wyrywa sobie wzajemnie życie...

Nagle, wśród téj rzezi powszechnéj jakiś blask się zapala, blask Idei olbrzymiéj, boskiéj, rozpłomienia się, błyskawicą świat ogarnia i tchnieniem miłości i braterstwa napełnia całą przestrzeń...

Wzburzone fale tłumów, gnane wichrem Zemsty, truchleją z przerażenia...

Odwieczny hymn cierpienia przeistacza się w brzmienie wesela, w pieśń nadziei i wiary...

Wzbierająca bezustannie rzeka łez ludzkich nieznane dotychczas znajduje dla siebie ujście...

Gniewny Jehowa cofa groźbę zagłady i przejęty litością dla nędzy ludzkiéj, staje się troskliwym ojcem świata, opiekunem miłosiernym ptaków niebieskich i lilii polnych.

Widnokrąg świata błyska świtem królestwa bożego. Słowo boskiego Czarodzieja staje się ciałem, szczyt Galilei—szczytem dziejów, oraz szczytem epopei chrześciaństwa...

„Dobrze nam tu być" — woła ustami Piotra nędza ludzka.—„Dobrze nam z tobą, święty Czarodzieju! Pragnęlibyśmy zawsze z Tobą pozostawać, czerpać w tobie siłę i otuchę i pracować z Tobą nad poprawą świata i budową lepszéj przyszłości!..."

Słowa te dźwięczą jeszcze, rozbrzmiéwają echem wśród ruin przeszłości i rozchodzą się po całéj ziemi.

„Błogosławieni ubodzy, błogosławieni pokój czyniący, bo dla nich przyjdzie królestwo boże."

Nędza staje się opoką nowéj świątyni, wita płomiennėm wejrzeniem Posłannika zwiastującego jéj wschód nowego życia, czuje w nim wybawiciela swego, wcielającego w sobie jéj pragnienia i tęsknoty, czuje w nim swe bóstwo oddawna oczekiwane...

Wszystkie barwy, wszystkie tony grają hymn uwielbienia Odrodzicielowi życia; cała natura, przyodziana we wszystkie swe powaby, sławi zwycięzcę Zemsty i Zwiastuna pokoju.

„Pokój wam!" — wołasz Mistrzu; świat jednak cię nie slucha, bo żyje jeszcze fałszem i nienawiścią i dlatego równa cię z łotrami i krzyżuje. Lecz nędzarze, wśród których się urodziłeś i żyłeś i dla których pracowałeś stają się apostołami twych wielkich haseł: Prawdy, Sprawiedliwości i Braterstwa...

Jak cudną, jak uroczą jesteś Ideo Chrystusa, gdy ze szczytu Tabor oko ludzkie ci się przygląda!...

Antoni Złotnicki.



FRANCUZI I ANGLICY.

Porównanie.

(Dokończenie) [1].

Nie ma w rodzinno domowych stosunkach angielskich, jak się to staraliśmy wykazać, tego serdecznego wylania, téj solidarności uczuć, dążeń i interesów pomiędzy ich członkami, jak to ma przeciętnie miejsce we Francyi, ale życie pospołem, w licznem zazwyczaj gronie sióstr i braci i odwiedzających ich przyjaciół płci obojéj, przyczynia się do podniesienia dyapazonu moralności indywidualnéj. Klasztorno-koszarowe odosobnienie, w jakiém wychowuje się młodzież francuska płci obojéj, z góry przyzwyczaja ją do spostrzegania swych odrębności, do przeczuwania niebezpieczeństw, do napastniczego z jednéj strony, a obronnego z drugiéj stanowiska. Przywykła do wspólnych zabaw i gier, młodzież angielska, traktuje się z przyjacielską poufałością, bez żadnéj przymieszki galanteryi. Cześć i szacunek dla kobiéty jest elementarną zasadą, wyssaną przez Anglika z mlékiem i zachowywaną wytrwale przez cały ciąg życia. W szkołach publicznych nie ma ani sposobności, ani pohopu do tych brudnych wybryków, w których młodzież francuska przedwcześnie traci swe siły życiowe. Nie razi pojęć francuskich rola, jaką odgrywają u studentów uniwersyteckich ich kochanki, z któremi żyją na wiarę, z któremi się łączą, rozstają, które zamieniają jedne na drugie: ten bezrząd moralny bywa usprawie-

[1]) Patrz „Ateneum", sierpień 1896 r. str. 349.

dliwiany pobłażliwą maksymą, że młodzież wyszumiéć się musi. Ani śladu czegoś podobnego nie ma w ogniskach uniwersyteckich angielskich. Studenci mają tam zbyt wysokie poczucie osobistéj godności, aby żyć na poufałéj stopie z kobiétami upadłemi, i nie jest gentlemanem, raz na zawsze traci swą pozycyę towarzyską ten, coby się poważył publicznie z taką istotą pokazać. Istnieje w Anglii prostytucya uliczna w całéj swéj szkaradzie, to prawda, ale płynie swoim odrębnym kanałem, z życiem przyzwoitych ludzi się nie miesza, na nic nie oddziaływa. Nie ma także w Anglii owego pół-światka, słynnego we Francyi, składającego się z osób wykolejonych, upadłych, ale zachowujących wyrafinowane formy towarzyskie, żyjących zbytkowo, narzucających swój widok uczciwym kobiétom. W olbrzymiém pięciomilionowém mrowisku londyńskiém tego rodzaju kobiéty znikają niepostrzeżenie, giną w odmęcie, i zna je tylko osobista klientela. Nie ma dzienników, któreby otrąbywały codzienną reklamę ich zbytku, ich przyjęć, ich skandalów. Francuzi widzą w tém hypokryzyę i oświadczają, że Anglicy nie są od nich lepsi. Być to może, ale trzeba przyznać, że niegorszenie innych, pranie swéj brudnéj bielizny w zakątku, świadczy już o rozpoznaniu, o uczynieniu różnicy pomiędzy tém co jest dobre, a tém co niém nie jest, o istnieniu ideału moralnego.

Na tym punkcie istotnie pojęcia obu społeczeństw zachodnich się rozchodzą. Powierzchowni spostrzegacze, gadatliwa, płytka rzesza Gaudissart'ów kładzie te różnice postępowania na karb temperamentu ognistego, południowego Francuzów a lodowatego Anglo-sasów; jest to ubliżające istocie ludzkiéj sprowadzenie ich do instynktami powodującéj się trzody bydląt. Różnica jest w samym rdzeniu ideału moralnego: Anglicy wprowadzają doń czystość obyczajów, kiedy u Francuzów jest ona jeżeli nie rzeczą podrzędną, to przynajmniéj drugorzędną. Nie twierdzimy, ażeby życie rozpustne było niezbędnym warunkiem powodzenia i reputacyi we Francyi, ale nie stoi mu na zawadzie. W Anglii nie zgasła jeszcze całkowicie skra purytanizmu, a wychowanie, na biblijnéj tradycyi się kształtujące, podsyca ją ciągle. Dlatego téż od swych ludzi publicznych wymagają przestrzegania moralności prywatnéj i czystości. Francuzi pojąć nie mogą tego ostracyzmu angielskiego, który spycha z wyżyn bohatérskich Parnella za to, że był kochankiem kobiéty zamężnéj, albo który wyklucza z liczby kandydatów ministeryalnych raz na zawsze genialnego męża stanu, jak sir Karola Dilke, za to, że w procesie rozwodowym ukazała się lekkomyślność jego zachowania i jego rozwiązłość.

Gdy jest mowa o moralności społecznéj, nie mamy do czynienia z żadną stałą, konkretną ilością, ale z czynnikami różnorodnemi

zmiennemi a ogólnego prądu, przemagającéj tendencyi nie mamy prawa zagrzebywać pośród zbiegu pojedyńczych faktów. Byłoby fałszem twierdzić, że Anglicy są wysokiéj, idealnéj czystości obyczajów, ale jest prawdą, że przywiązują do nich wielką wagę i że pomiędzy teoryą a praktyką jest w nich mniejszy odstęp, aniżeli u Francuzów. Są i u nich złe małżeństwa, niewierni mężowie, występne żony, cudzołóstwo skalało świętość rodzinnych ognisk, jak to pokazuje kronika rozwodowa, ale wogóle warstwy towarzyskie średnie żyją uczciwie i przykładnie. W literaturze powieściowéj, szczególniéj w téj jéj gałęzi, któréj orędowniczkami są ośmieszone już *new women* czytać się zdarza o nowéj formie związków rodzinnych, ale nie należy tego rodzaju teoryi brać zbyt literalnie. Anglicy są jeszcze zdania, że za podstawę bytu społecznego nie znaleziono dotąd nic lepszego, jak małżeństwo. Tak zwane życie na wiarę, związek dwóch istot nie uświęcony ani religią, ani prawem, nie posiadający żadnéj rękojmi trwałości i spuszczający z uwagi całkowicie los dzieci, nie jest w Anglii rozpowszechniony. Cytowany tak często przykład George Eliot'a, która żyła bez ślubu z Jerzym Cornwallis Lewis aż do jego śmierci, jest jaskrawym wyjątkiem i dość przypomniéć, że nawet ona nie wahała się zawrzéć małżeństwa z p. Cross, ażeby zrozumiéć, że ten wyjątek potwierdza tylko ogólną regułę.

Była już mowa wyżéj, że inne pojęcie leży na dnie małżeństwa u Anglików a u Francuzów. Bez oglądania się na majątek, na konwenanse, Anglik żeni się z miłości i dla zaspokojenia swoich własnych potrzeb. Zrozumiéć nie może narzucania małżeństwa dzieciom przez rodziców, ich interwencyi, ich oporu, a *sommatione respectueses* są całkiem nieznane po tamtéj stronie kanału. Żenią się dla siebie, zakładając swój dom własny, utrzymując go z własnéj pracy, nie pozwala nikomu mieszać się do téj sprawy. Synowa rzadko tylko traktuje rodziców swego męża jako swych krewnych: zostają na stopie przyzwoitéj odległości. Nie ma potrzeby rozstrzygać, jaki sposób zawierania małżeństw jest lepszy. Zataić się nie daje, że młodzież angielska czyni często wybory opłakane. Kierując się tylko własnym popędem, nie troszcząc się o przyszłość, wpadają nieraz w sidła awanturnic. Nawet gdy poślubione dziewczyny są uczciwe, należą one często do warstw towarzyskich niższych i nie posiadają wykształcenia i wychowania odpowiedniego stanowisku, jakie mąż ich z czasem sobie wyrabia. Nic częstszego, jak spotkać się z żoną jakiego wybitnego członka społeczeństwa angielskiego, która jest zerem: jéj nicość, przysłonięta dziewiczą krasą w czasie, gdy się małżeństwo skojarzyło, nie znikła razem z jéj pięknością, ale, niestety, ją przetrwała. We Francyi mniéj

częste są te przeciwieństwa, gdyż małżeństwa są układane przez rodziców z uwzględnieniem jednolitości towarzyskiéj sfery, a nawet gdyby téj harmonii w początku nie było, wywiązuje się ona następnie przez poufałe życie małżonków.

Gdy się mówi o moralności indywidualnéj i o życiu domowém, nie można ograniczać się do mężczyzny, któremu, nie zawsze słusznie, przypisywaną bywa rola napastnicza, demoralizująca, a trzeba zwrócić uwagę jednocześnie na kobiétę. Ona bowiem jest kamieniem węgielnym, na którym spoczywa ustrój rodzinny i od niéj zależy nastrój duchowy społeczności. Oddaliśmy już wyżéj hołd kobiécie francuskiéj, jéj działalności, ekonomii, gospodarności z jednéj strony, a z drugiéj— macierzyńskiemu poświęceniu. Stoi ona niezaprzeczenie wyżéj pod tymi względami od swéj siostry w Anglii. Praktyczny zmysł Francuzki zastępuje w rodzinném ognisku nakład piéniężny większy, którym stoi domowość angielska. Jest to szczególniéj widoczne w warstwach robotniczych społeczeństwa. Robotnik angielski zarabia więcéj od francuskiego, ale ponieważ żona jego jest gospodynią nieumiejętną, ponieważ nie ma wyobrażenia o kuchni, zatém żywność jego jest pośledniejsza aniżeli w tychże samych pokładach we Francyi. W sferze naukowéj za to, pod względem wykształcenia i wiadomości teoretycznych, brania udziału w życiu narodowém, w rozwoju człowieczeństwa, kobiéta angielska posiada niewątpliwie wyższość. Ale te niższe pod jednym względem, a wyższe pod drugim warunki nie rozstrzygają jeszcze pytania, co do moralności i czystości obyczajów. Istotnie rozstrzygnąć go niepodobna. Różnice są uderzające, ale nie upoważniają do żadnego wniosku syntetycznego. Podniéść wystarczy niektóre strony bliżéj lub daléj do niéj się odnoszące.

Nie należy naprzód spuszczać z uwagi, że przez wychowanie fizyczne kobiéta w Anglii kształci i rozwija swój organizm fizyczny, tak samo jak mężczyzna. Codzienna zimna kąpiel, gry na świeżém powietrzu, wiosłowanie, jazda konna, welocypedy, długie przechadzki, wyrabiają w niéj siłę muskularną i przeciwdziałają wszechwładzy nerwów. Nie ma wątpliwości, że oddziałało to na zupełnie inny wygląd zewnętrzny obu narodów. Smukły, hoży, czerstwy, energiczny ale spokojny w swych ruchach Anglik, nie jest podobny do małego, czarnego, skokliwego Francuza; ale większe jeszcze różnice uderzają w kobiétach. Angielka jest wysoka, szczupła, o cerze liliowéj białości, o włosach złocistych, o owalu twarzy ściągłym; Francuzka jest niska, tłusta, o wydatnych biodrach, szerokiéj, płaskiéj twarzy, włosach krótszych, ciemnych. Stopa jéj i ręka jest mniejszą dzięki bezczynności. Jest rzeczą indywidualnego smaku dawać pierwszeństwo temu lub owe-

mu typowi: Angielka jest bardziéj grecką boginią zstępującą z Olimpu, Francuzka bardziéj serajową huryską. Obie bywają piękne; skończonych, idealnych piękności bywa więcéj w Anglii. Byłoby impertynenckiém pytanie: czy owe białe, harmonijne, urocze, angielskie kobiéty są zimnemi, martwemi Galateami, których Pygmalion nie łatwo ożywić potrafi. Zmysł kochania nie zdaje się być w nich wytrzebiony, albo poprostu upośledzony: jest natomiast skanalizowany i po zakréślone sobie brzegi zazwyczaj nie występuje.

Celem kobiéty w dzisiejszym ustroju społecznym, jak nieraz wytknęli zgryźliwi moraliści, jest znaléść sobie męża. Francuzki tak samo jak Angielki ubiegają się o nich, używając do tego, mniéj lub więcéj bezwiednie, wszelkich możliwych środków. Rola dziewczyny francuskiéj jest bierna, bo dla niéj rodzice szukają męża i wyjątkowo tylko sama ona udział w téj kampanii bierze. Angielka jest czynniejszą, bo na niéj saméj odpowiedzialność ciąży za powodzenie przedsięwzięcia. Kokieterya jéj atoli nie posiada w sobie nic przewrotnego, a flirt nie zapuścił głębokich korzeni i nie spaczył jéj moralnego organizmu, skoro przestaje być zaczepnym i przechodzi na stopę pokojową, gdy znalazła sobie narzeczonego. Dla Angielki najszczęśliwszą epoką życia jest ta, która idzie od zaręczyn do ślubu. Niczego podobnego być nie może we Francyi, gdy panienka zaledwie zna swego przyszłego męża; nie jest jéj dozwolone być z nim na poufałéj stopie, a on ogranicza się do przysyłania jéj bukietów, nie otrzymując wzamian nic oprócz zdawkowych frazesów. W Anglii dziewczyna zdobyła sobie narzeczonego, równego sobie zazwyczaj wiekiem, towarzysza jéj braci, albo wspólnika gier; znają się oboje, mają wspólne zamiłowania i pojęcia: w stosunku ich nie ma żadnéj sztywnéj ceremonialności, nie ma nawet romansowości, ale przemaga odcień dobrego koleżeństwa. Dozwolone jest im wymieniać całusy wobec grona rodzinnego i nikogo to nie razi. Ci przyszli towarzysze całego życia zaczynają jego praktykę od wspólnych wycieczek, odwiedzin u członków rodziny i przyjaciół; uczęszczają razem do teatrów, na zabawy, bez dozoru osób trzecich. To bezpieczeństwo dziewczyny, która w swym narzeczonym widzi protektora i przyjaciela, ta swoboda ruchów i słowa, te oznaki powszechnéj sympatyi, które zbiéra i które się objawiają w podarkach ślubnych bez liku, to przygotowywanie sobie wspólne domowéj siedziby, posiada w sobie tyle dodatnich czynników, że nie dziwota, iż jéj nie śpieszno położyć kres téj zaręczynowéj epoce. Swoboda jéj kończy się z dniem ślubu i kończą ciągłe rozrywki i zabawa, a małżeństwo przychodzi jak prozaiczna rzeczywistość, z willą gdzieś na przedmieściu, z życiem skromném, z wydawaniem na świat licznéj ilości

dzieci. Dla Fracuzki, wychowanéj w klasztorze albo pod czujnym nadzorem rodzicielskim, spragnionéj jak każda istota ludzka swobody ruchów i działania, małżeństwo jest synonimem niezależności: nie dziwota tedy, że jéj używa w pełni i że, mało doświadczona, nadużywa jéj niekiedy. Czy nie nadużywa jéj także Angielka? Jeżeli tak samo jak tamtéj zdarzy się jéj zdradzić wiarę małżeńską, to dzieje się to w innych zazwyczaj okolicznościach. Wśród rozrywek i podniety zabaw, wystawiona na każdym kroku na pokusy, młoda mężatka we Francyi, jak motyl leci do światła i skrzydła swe w niém opala; Angielka skazana na domowe zacisze i odosobnienie, traktowana przez męża po przyjacielsku, znudzona nieraz bezbarwnością szarego życia, z którego wszelki żywioł romantyczny zdaje się wygnanym, ulega wpływowi tego lub tych, co potrafili dać jéj poznać, iż znaleźli i uczcili w niéj wybraną istotę. Zmysłowość u jednych, romantyczność u drugich: taka zdaje się być geneza cudzołóstwa u kobiét we Francyi i Anglii.

Dla uzupełnienia obrazu stosunków małżeńskich należy jeszcze podnieść jeden rys charakterystyczny angielski, mianowicie procesa o zerwanie projektowanego małżeństwa. Naśmiewają się z nich na stałym lądzie i nie można zaprzeczyć, że posiadają w sobie stronę komiczną. Rzadko się zdarza, ażeby mężczyzna wytaczał proces swéj narzeczonéj o złamanie mu wiary i żądał za uczyniony sobie zawód pieniężnego wynagrodzenia: jest to natomiast częstém ze strony kobiét. Małżeństwo uważane jest przez nie jako operacya korzystna pod względem materyalnym: gdy je chybia, uważają za rzecz naturalną, ażeby powetowano im szkody. W wyższych sferach towarzyskich procesy takie są często wytaczane synom arystokratycznych rodzin przez aktorki, baletnice, pół-światówki, dziewczyny posługujące w szynkach i t. d. Młodzi i lekkomyślni ci panicze, jako ostatni argument do uwiedzenia, używają obietnicy małżeństwa. Jeżeli byli dość niebaczni, ażeby obietnice te uczynić piśmiennie, czeka ich niechybnie, po zerwaniu miłosnego stosunku, proces skandaliczny. Im lżejszą i bardziéj nadwyrężoną była reputacya tych cór Afrodyty, tém raźniéj rzucają się do procesu, tém większych sum się domagają. Nie ma roku, ażeby kilka takich rozgłośnych procesów nie zabawiało publiczności. Rodziny magnatów wolą nieraz płacić grzywny, obliczone przez trybunały stosunkowo do majątkowéj ich pozycyi na wysokie sumy, aniżeli widzieć swe rodzinne gniazdo skalane tego rodzaju związkiem.

Nie ma wątpienia, że obawa procesu skandalicznego i ciężkiéj kary pieniężnéj powstrzymuje w niejednym razie złotą młodzież angielską od rozpusty i owych nieprawych związków, które we Francyi

w téj saméj sferze towarzyskiéj są rzeczą daleko powszedniejszą. Jeżeli związki takie istnieją, starannie są ukrywane. Obyczajność nie pozwala o nich mówić nawet z najbliższymi przyjaciołmi. Kiedy w Paryżu bogata młodzież pokazuje się publicznie w teatrze, lasku bulońskim i t. d. w towarzystwie kobiet upadłych, w Anglii nic podobnego nie zdarza się, i gęsta zasłona pokrywa tam tę ujemną stronę życia prywatnego.

Uciekanie się pod skrzydła prawa, do opieki sądu i żądanie wyznaczenia przezeń kompensaty pieniężnéj za poniesioną krzywdę, jest głęboko zakorzenione w obyczajach angielskich nie tylko w sprawach małżeńskich, ale we wszystkich innych, w tak zwanych honorowych. Na dnie tego leży odmienne pojęcie honoru. My na stałym lądzie uciekamy się do pojedynku, dzikiego zabytku średniowiecznéj rycerskości i krwią przeciwnika zmazać chcemy doznaną zniewagę. Teoretycznie, na zimno, nikt pojedynku jako takiego już nie broni, ale brakuje nam odwagi cywilnéj zerwać z tą fikcyą. Anglicy posiadają tę odwagę. Na kułak odpowiedzieć umieją kułakiem i o brak męzkości nikt ich zapewne nie posądzi. Ale nie widzą jéj w pojedynku. Nic śmieszniejszego w ich oczach, jak owe francuskie pojedynki, powstające z lada jakiéj kłótni, stające się przedmiotem długich negocyacyi, podawanych przez dzienniki we wszystkich szczegółach, kończące się zadraśnięciem szpadą a częściéj śniadaniem wspólném. Anglicy widzą w tém reklamę, komedyę a w razie tragicznego końca pojedynku — morderstwo. Nie na los ślepy składają oni obowiązek bronienia swego honoru i godności osobistéj ale podejmują się tego sami. Chłodniejszego, mniéj zapalczywego temperamentu, nie tak łatwo jak Francuzi posuwają się do ostateczności. Anglicy umieją w danym razie schłostać gbura lub zuchwalca i sami wymierzać sobie sprawiedliwość. Na obelgi, na potwarz, na obrazy krzywdzące reputacyę i dobre imię odpowiadają pozwem sądowym. Opinia publiczna nie widzi w tém nic zdrożnego, nic upakarzającego. Pieniężne zadośćuczynienie nie ubliża temu, który je otrzymuje a czyni ostrożniejszym tego, co na nie został skazany. Nie ma wątpienia, że społeczność angielska wyprzedziła pod tym względem francuską.

Francuskiemu pojęciu honoru Anglicy przeciwstawiają poczucie godności osobistéj. Posiadają je w wysokim stopniu. Są dumni ze swéj narodowości i w dobréj wierze uważa się *Civis britanicus* tak jak ongi *Civis romanus*, że z innéj ulepiony gliny. Jak dowcipnie powiedziano: Anglik sądzi, że Bóg stworzył jego ojczyznę prawą ręką a resztę świata—lewą. Czuje on rodzaj politowania dla cudzoziemca. U ludzi pospolitych, rubasznych, ujawnia się to poczucie wyższości bez osłonek,

a jeżeli u wykształconych i dobrze wychowanych znika pod uprzejmemi formami towarzyskiemi, to istnieje nie mniéj silne, niewzruszone. Każdy Anglik zdaje się nosić w sobie uosobioną potęgę Wielkiéj Brytanii, i jest to innego rodzaju uczucie aniżeli naiwna chełpliwość Francuza albo pycha dorobkowiczów niemieckich. Ta skrystalizowana esencya dumy narodowéj pokazuje się u Anglików w chłodnym spokoju, pewności siebie, w wykluczeniu wszelkiéj obawy o śmieszność, o sąd wyrażony o nich przez cudzoziemców, przez osoby trzecie. Poczucie godności osobistéj nie pozwala mu spoufalać się z postronnymi znajomymi, strzeże go od wywnętrzania się, od gadatliwości. Jest on zazwyczaj pełen rezerwy, i cudzoziemcy upatrują w tém sztywność, jaskrawo odbijającą od przyjacielskości i szybkiego spoufalania się Francuzów. W oczach Anglików jest to natomiast okazem złego wychowania, pospolitości. Osławionym jest zwyczaj angielski nie zawiązywania rozmowy jak z ludźmi, którzy urzędowo, ceremonialnie byli sobie przedstawieni. Istotnie posuwają oni tę formalistykę do przesady. Ludzie, którzy przez całe lata, dzień w dzień znajdują się w tym samym wagonie drogi żelaznéj lub omnibusie, udając się ze swych domów do swych biur w City, którzy dobrze wiedzą kim są i czém się trudnią, nie wymieniają z sobą jednego słowa, jednego ukłonu, dopóki ich wspólny znajomy nie zapozna. U mężczyzn znika jednak w znacznym stopniu to dziwactwo, ale u kobiét przestrzegane jest jako tarcza godności osobistéj i wywołuje nieraz komiczne zajścia. Trzeba jednak dodać, że ten rygor obserwowany względem rodaków, łagodnieje względem cudzoziemców. Anglicy są dla nich uprzejmiejsi, prawdopodobnie w przekonaniu, że *cela ne tire pas à conséquence.*

Nie da się zaprzeczyć, że ta rezerwa i oddalenie w jakiém jedne osobistości pozostawają względem drugich, wpływa na cały ustrój towarzyskiego życia. Jest ono u warstw średnich angielskich mniéj przyjemne aniżeli u francuskich. Dawni i zażyli znajomi zdają się zawsze być odgrodzeni murem, i trzeba przy każdém spotkaniu łamać lody. Rozmowa Anglikom idzie daleko trudniéj, aniżeli Francuzom i zabierają głos wtedy tylko, gdy mają coś do powiedzenia. Rzadkiemi są fajerwerkowe wyskoki dobrego humoru i dowcipu właściwego, wrodzonego nieledwie jowialnym Francuzom. Trzeba naprzód przebrnąć przez ogólniki o stanie powietrza, o stosunkach rodziny królewskiéj, w których bierze ta warstwa towarzyska tém żywszy interes, im mniéj je zna, zanim się dobierze do przedmiotów bezpośrednio ich obchodzących, gdzie indywidualne zdania mogą się wypowiedzieć. Anglicy są świadomi tego braku giętkości w rozmowie i świadomość ta paraliżuje nieraz ich przyrodzone siły. Zbytecznem było by wchodzić

tu w drobiazgi tych form towarzyskich które wytwarzają ogólną układność, grzeczność, przyzwoitość, ale nie można powstrzymać się od zdziwienia stwierdzając jak zasadnicze i jak wielostronne zachodzą pomiędzy niemi różnice u obu społeczeństw.

Kluczem do zrozumienia odrębności fizyognomii i nie tylko fizyognomii ale wewnętrznego charakteru życia towarzyskiego Francyi i Anglii, jest ten zasadniczy aksyomat, iż ci są demokratycznėm społeczeństwem a tamci arystokratycznėm. We Francyi istnieją wprawdzie warstwy społeczne tak zwane wyższe, jest pewna ilość rodzin o arystokratycznych tradycyach i mnóstwo ludzi, którzy pod rozmaitemi fałszywemi pretekstami wdzierają się do szlacheckich rodów i przybierają tytuły, do których nie są uprawnieni, ale pomimo tego nie ma ani politycznie pewnéj uprzywilejowanéj klasy, ani ekonomicznie i gospodarczo klasy, którabyześrodkowała w swych rękach bogactwo narodowe. Stulecie rewolucyjne zniwelowało w łonie narodu wyłączności i uprzywilejowane stanowiska. Robotnik w bluzie i chłop na drobnéj skibie nie tylko wiedzą, że posiadają takie same prawa co wielki pan o długiéj liczbie antenatów albo milioner wszechwładny, ale posiadają wyrobione w sobie, przesiąkłe do szpiku kości przeświadczenie, że są im równi, że istniejące pomiędzy nimi różnice są po prostu dziełem trafu albo niesprawiedliwości. Utrwalające się i zakorzeniające instytucye republikańskie przyczyniają się wielce do ugruntowania demokratycznych zasad. Nie ma wątpienia, że z każdym nowym dziesiątkiem lat pogłębia się otchłań dzieląca Francyę współczesną od dawnéj, przedrewolucyjnéj. Napróżno w błyszczących salonach Paryża rozlegają się szumne tytuły i krzątają się gorączkowo przedstawiciele klas dawniéj uprzywilejowanych o utrzymanie wyłączności klasowéj; nie ma już ducha w tym organizmie. Najpowierzchowniejszy spostrzegacz potrafi zdać sobie sprawę, że to pałac z kart i że nie potrzeba uraganu ażeby go przewrócić. Towarzystwo francuskie nie uznaje żadnych różnic przyrodzonych i stara się o przypuszczenie najszerszych kół ludowych do uczestnictwa w oświacie i dobrobycie. Kultura artystyczna i smak wyrafinowany z jednéj strony, a nagromadzone bogactwa i potężny zasób społeczny—z drugiéj sprawiają, że się nie spostrzega na pierwszy rzut oka owéj pospolitości, rubaszności, gminności, jaka jest nieodłączną od demokratycznego ustroju społeczeństwa, w jego obecnéj przynajmniéj, przechodowéj fazie. Francuzi nie posiadają téj kategoryi osób, która odpowiada angiełskiemu pojęciu *gentleman*'a, t. j. człowieka o zasadach, uczuciach, zwyczajach i formach uszlachetnionych, podniosłych, czystych, harmonijnych, i posiadać ich nie mogą. Do kotła, w którym się smaży i wytwarza społeczeństwo przyszłości, wrzuca-

ne są w tak przeważnéj ilości we Francyi czynniki gminne, ludowe, iż nie można się spodziewać, ażeby pierwszy lepszy Francuz wzniósł się na owe wyższe szczeble cywilizacyjne, które mu widnieją w oddali.

Inaczéj rzeczy stoją w Anglii. Społeczeństwo całe przesiąkłe jest duchem hierarchii. Ustopniowanie klas, rozgraniczenie praw i przywilejów zaciéra się w prawodawstwie i na gruzach historycznéj, tradycyonalnéj Anglii w oczach naszych powstaje inna, nowa. Ale jeżeli państwowy organizm przetwarza się szybko, to ustrój społeczny do tak szybkich reform się nie nadaje. Potrzeba będzie wieków, ażeby szczepione od pierwszéj ćwierci naszego stulecia zasady demokratyczne wydały swe owoce i zatarły w sercach i mózgach angielskich tylowiekowe tradycye. Anglik nie czuje się upokorzonym przez istnienie ponad nim sfery towarzyskiéj wyższéj, nie sarka na swą niższość. Wié, że od niego samego zależy stanowisko swoje polepszyć, przebiedz szczebel po szczeblu drabinę społeczną i okazuje szacunek tym co stoją po nad nim, wymagając szacunku od tych co się znajdują pod nim. Owo energiczne, bezustanne pięcie się w górę jednostek, rodzin, warstw, jest widoczne na każdym kroku. Robotnik nię ubiéra się jak we Francyi w skromną, czystą jego własną bluzę, symbolizującą jego ręczną pracę, ale kupuje stare, przechodzone ubrania gentlemanów: przypuszcza, że mu to da ich wygląd. Służąca, robotnica nie wyjdzie na ulicę bez kapelusza i rękawiczek: modeluje się na pani. Drobne mieszczaństwo, klasy rzemieślnicze dokładają wszelkich starań aby w swych sprzętach, powierzchowności i zachowaniu wznieśli się do wysokości tych, których nazywają *gentle folk*. Klasy średnie, wyzwolone, stykające i ocierające się o arystokracyę obdarza szacunkiem, otacza rodzajem czci, bo wié, że przez nagromadzenie fortuny, przez odznaczenie się w jakiéjkolwiek dziedzinie, arystokracya ta otworzy dlań swe szeregi i przyjmie go do swego koła jako równego. Postronny widz widzi w téj czołobitności względem klas wyższych czysty snobizm i sarkazmów swych mu nie skąpi. Nie myślimy tego snobizmu zaprzeczać, ale wydaje się on nam nieuniknionym, nieodzownym w społeczeństwie uorganizowaném hierarchicznie, nie mającém pojęcia o abstrakcyjnéj doktrynie równości. Gdy się słyszy w rodzinnych kołach warstw średnich angielskich, światłych, postępowych, bogatych pełne namaszczenia wzmianki o przelotnym stosunku z jakim lordem lub lady, pod wszystkimi innymi względami oprócz racyi towarzyskiéj, od nich samych niższymi, gdy się spotyka raz po raz ze wzmianką o oddalonéj, trudnéj nawet do zrozumienia koligacyi z tym lub owym podrzędnym członkiem arystokracyi, to się nie myśli podawać w wątpliwość zacho-

wawczego temperamentu towarzystwa angielskiego, to mu się przepowiada jeszcze długi okres rozwojowy na téjże saméj podstawie.

Z téj zasadniczéj różnicy wypływa odmienna fizyognomia towarzyskiego życia w obu krajach. We Francyi, przy napływie coraz nowych osobistości wybijających się na jaśnię, przy kalejdoskopowéj ruchliwości temperamentu, przy wirowaniu prądów, idei, zamiłowań ciągle nowych, nie ma żadnych żelaznych reguł, żadnego kodeksu obyczajów, żadnego ceremoniału tradycyjnego. Każdy przybysz czuje się od razu jak u siebie i jest tylko jednym atomem więcéj wśród nieskończonéj ich liczby: asymilacya jest łatwą. Inaczéj w Anglii: nie ma tam miejsca dla najwyższéj nawet samorodnéj wielkości. Trzeba być jedném ogniwem w łańcuchu, jednym szczeblem na hierarchicznéj drabinie. Nikt nie może poważać się zburzyć istniejącego porządku. Ceremoniał jest sztywny, obowiązujący: kto mu się poddać nie chce albo nie umié, sam się na ostracyzm skazuje. Cudzoziemiec dziwić się będzie, jak się temu przed laty, przed wielu dziwił piszący, gdy spostrzegł, że przy świetnym stole jednego z pierwszych adwokatów Londynu, gospodarz domu najwyższe honory oddawał dwudziestoletniéj gąsce, ale żonie wice-hrabiego a podrzędne miejsce zajmowała przy nim poważna matrona słynna z literackiego talentu i rozległéj filantropijnéj działalności: Anglicy widzą w tém rzecz całkiem normalną, warunkującą się na hierarchii społecznéj, któréj niedostatki wybaczają się ze względu na jéj niezaprzeczalne usługi.

Naturalne tu znajdujemy przejście do wykazania różnic pomiędzy obu narodowościami w dziedzinie patryotyzmu i polityki. Patryotyzm, to jest miłość ziemi rodzinnéj z wszystkiemi jéj przynależnościami, gotowość do poświęcenia się zupełnego dla niéj, inaczéj manifestuje się u Francuzów aniżeli u Anglików. Uczuciowe przywiązanie niewątpliwie przeważa u pierwszych. Są oni przeświadczeni, że Francya jest najpiękniejszym, najlepszym krajem pod słońcem, ubłogosławiona od nieba. Wieśniak francuski, uwłaszczony od stu lat z górą, przylgnął do swéj gleby i na myśl mu nie przychodzi z niéj się wyprzedawać. Nie tylko patryotyczne przywiązanie do swéj wielkiéj ojczyzny ale do swéj prowincyi, do swéj parafii jest wysoce rozwinięte. Klasy średnie, oświecone, do tego czysto materyalnego przywiązania dodają jeszcze inny czynnik — poczucie wielkości cywilizacyjnéj Francyi, jéj usług oddanych światu, jéj przewodnictwa w sferze wiedzy, literatury, sztuki. Wzrosłe i wychowane w téj miłości i czci dla swéj ojczyzny pokolenia, czują się tak dobrze, na swéj własnéj ziemi, pod swą własną strzechą, że nie chcą jéj opuszczać, że się stali domatorami systematycznymi. Horyzont duchowy Francuzów zamknięty był długo i jest

nim jeszcze w znacznéj części w granicach ich kraju. To co jest, co się dzieje po za jego kresami nie miało dlań interesu. Jeżeli Francya, ongi pierwsze kolonialne mocarstwo, postradało kolonie z uszczerbkiem swego stanowiska w gronie państw wszechświatowych, to przyczyny tego szukać należy w tym wstręcie do opuszczania swego kraju i osiedlania się w zamorskich krajach, chociaż one były francuskiemi. Obecnie, za trzeciéj rzeczypospolitéj, Francya utworzyła w Azyi i Afryce nowe państwa kolonialne z olbrzymim wysiłkiem i nakładem, któremu historya przyklasnąć będzie musiała jako jednemu z doniosłych i dodatnich wypadków w rozwoju ludzkości. Ale przyszłość tego nowo zdobytego świata dla Francyi, jako narodu, zawisła jest od tego, czy jéj obywatele zgodzą się na osiedlanie w koloniach, czy zechcą opuścić swe wygodne gniazdka domowe dla ulepienia nowych w Anamii w Congo, w Madagaskarze. Jest to wątpliwe. Miłość Francuzów do swego kraju jest ślepą, przesadzoną, i dla dnia dzisiejszego poświęca jutrzejszy. Pokazuje się to nie tylko we wstręcie do zamieszkiwania w koloniach ale w ograniczaniu rodzajności. Dla utrzymania dzieciom téj saméj pozycyi, tego samego mienia, które oni mają, ograniczają umyślnie ilość swych dzieci. Jako następstwo téj uszczuplonéj rodzajności, Francya zostanie coraz bardziéj przekréskowaną przez współzawodniczące z nią państwa.

Nie ma śladu téj ciasnéj, przesadzonéj miłości ojczyzny u Anglików. Tak samo jak czynszownik nie posiadający skiby własnéj ziemi, przenosi się z łatwością z jednego okręgu i jednego hrabstwa do drugiego, tak samo całe ludowe i średnie pokłady społeczne zmieniają miejsce pobytu. Nie ma ścisłych węzłów pomiędzy ziemią a ludnością. Anglicy w porównaniu do innych narodów, a szczególniéj do Francuzów są włóczęgami, prowadzą życie koczownicze. Za lada powodem, często bez żadnego, przenoszą się z jednéj miejscowości do drugiéj. Zamożność większa i łatwość utworzenia wszędzie wygodnéj placówki umożebnia ten sposób życia, który wszedł już w organizm indywidualny Anglików. Są oni kosmopolitami; opuszczają bez żalu brzegi ojczyste [1]), ażeby się przenieść do jednéj z tych kolonii, któremi usiali całą kulę ziemską i często nie zagrzeją miejsca w jednéj i przenoszą się do drugiéj, na antypodach. Potrzeba dla młodszych synów rodzin bogatych i dla całéj masy narodowéj, zaprzęgniętéj do konkurencyi życiowéj, zdobycia sobie pozycyi materyalnéj, popycha ich do osiedlania się w koloniach. Sentymentalna czułość nie staje na zawa-

---

[1]) Wyraz „ojczyzna“ we francuskiém pojęciu „patrie“ albo niem. „Vaterland“ nie istnieje nawet w języku angielskim. Zastępuje go wyraz country i kraj. Nie jest to toż samo.

dzie temu emigracyjnemu prądowi. Na każdéj piędzi ziemi do Wielkiéj Brytanii należącéj, Anglik wié, że jest u siebie, że go osłania sztandar narodowy, *Union Jack*. Rezultatem téj gotowości do przesiedlania się, do rozpinania swego namiotu pod dalekiém niebem jest to, że obecnie, u schyłku XIX stulecia, trzecia część kuli ziemskiéj stała się własnością Anglików a prawdopodobnie ostatnie słowo tego wyłaniania się na zewnątrz nie zostało jeszcze wypowiedziane.

Ale Anglik nie tylko osiedla się w koloniach brytańskich. Z równą łatwością przenosi się do obcych krajów. Nie ma stolicy europejskiéj, nie ma pięknéj miejscowości po téj lub tamtéj stronie Atlantyku, gdzieby się nie utworzyła osada angielska. W przeciwieństwie do Francuza - domatora, Anglik stał się podług znanego wyrażenia istotnym typowym *globe-trotter*. Dziwnym naturalnych uczuć przewrotem, Anglik, który ojczyźnie swéj nie okazuje żadnego nadzwyczajnego przywiązania, przywyka nieraz do miejscowości obcych, w których się osiedlił i daje jéj dowody synowskich uczuć: piśmiennictwo angielskie przechowuje wspomnienia tego hołdu złożonego postronnym krajom.

Ciasnota francuskiego patryotyzmu wyrodziła osławioną zarozumiałość narodową: przeciwstawą jéj u Anglików jest duma, wyniosłość i pycha. Francuzi byli aż do ostatniéj ćwierci wieku naszego, zepsutém dzieckiem, pieszczochem świata. Odegrali w nim istotnie wielką rolę, ale przypisali sobie większą jeszcze. Ciągle im się zdawało, że *gesta Dei per Francos* spełniane być muszą, że posiadają przyrodzoną wyższość nad innymi narodami, że ani pod względem wojennéj waleczności ani w dziełach pokoju nikt się z nimi porównać nie może. Ich literatura i sztuka nie tylko górowały nad innemi, ale miały być jedynemi. Ten dym kadzideł, które sobie sami palili, zawrócił im głowę i doprowadził prostą drogą do katastrofy 1870 r. Cios obucha był bolesny ale użyteczny. Zarozumiałość francuska ustąpiła miejsce słuszniejszemu własnych sił ocenieniu. Od téj pamiętnéj chwili przestali pomiatać innemi narodami, zaczęli studyować ich instytucye, języki, piśmiennictwa, przestali się uważać za zbawców i kierowników ludzkości. Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby rdzennie wyleczeni zostali z dawniejszéj swéj przywary, a nadzwyczaj szybkie odrodzenie ich kraju, pod nową formą wykazawszy żywotność i potęgę ich narodowego organizmu, przyczyniło się do pokrzepienia ich na duchu, do dodania im otuchy: jest atoli postęp niezaprzeczony.

O wyniosłéj pysze angielskiéj uczyniona już była wzmianka wyżéj. Spoglądając na rozległość należących doń krajów, na setki milionów mieszkańców swego imperium, czując się przewodnim narodem rasy anglo-saskiéj, która będzie za sto lat najliczniejszą i najpotężniej-

szą na świecie, świadoméj swego bogactwa, swéj przemysłowo-handlowéj hegemonii, Anglik ze wzgardą spogląda na inne narody, traktuje je jak chudopachołków, jak karłów. Wobec braku oporu, jaki się okazał u współzawodników, z wysokości swego zajętego stanowiska pomiata nimi i nie zadaje sobie pracy lekceważenia tego ukrywać. Pierwsze miejsce należy mu się zawsze i wszędzie w jego przekonaniu i spycha po grubiańsku tych, co się poważają o nie kusić. Narzekają i oburzają się ci, co przez Anglików są wyparci, na ich egoizm. Jest to egoizm bezwątpienia, ale specyalną jego cechą jest przeświadczenie głęboko zakorzenione, że hegemonia ta należy się Anglii i że przez ich ręce dobroczynna manna spada na całą ludzkość. Ta pycha sprawia, że Anglicy są tak ogólnie nielubiani, niecierpiani nawet. Nikt z nas nie znosi chętnie pogardliwego traktowania.

Przez wymiar sprawiedliwości, w duchu moralnego prawa niecierpiącego wyjątków, winy popełnione przez nas spadają na nas samych i mszczą się stokrotnie. Dzieje się to nie u jednostek tylko, ale i u zbiorowych organizmów. Zarozumiałość i bezczelność Francuzów przyprawiła ich o stratę supremacyi europejskiéj. Pycha angielska jest także w trakcie otrzymania takiéj saméj nauki. Nie przypuszczała, ażeby inne narody mogły stworzyć kolonie zyskowne: dziś już wié, że to miało miejsce. Obok swéj marynarki, która miała monopolizować morza, stanęły potężne floty, z któremi się liczyć musi. Świat cały, który miał być hołdownikiem jéj przemysłu i rynkiem handlowym dla jéj towarów, nietylko z téj służebności się wyzwolił, ale Anglia widzi się zagrożoną, pobitą, wypartą ze swych wewnętrznych rynków przez wyroby obce, przedewszystkiém niemieckie. Otwiérają się oczy Anglikom i spostrzegają, że ci cudzoziemcy, których im się tak długo podobało traktować jako rasy poślednie, nie są zupełnie pozbawieni wartości. Prawdopodobnie nauka w las nie pójdzie!

Ale przywiązanie do ojczyzny, do organizmu duchowego i konkretnego, który ona uosabia, okazuje się i okazywać winno nie w uczuciowości, choćby wysoce podnieconéj, lecz w czynach, w gotowości do ofiar i poświęcenia swych osobistych interesów na ołtarzu powszechnego dobra. Trzeba przyznać, że oba zachodnie społeczeństwa posiadają ten patryotyzm czynny, ale manifestują go w odmienny sposób. W świeżéj jeszcze ma świat pamięci gorączkowy zapał, z jakim się wzięła Francya po wojnie niemieckiéj do odbudowania ojczyzny. Nie było wysiłku, któregoby się nie podjęła, i nie szemrano ani na miliardy wydane dla postawienia kraju na pierwszorzędnéj stopie wojennéj, ani na brzemię podatków, które od téj pory gniecie naród francuski, silniéj aniżeli jakikolwiek inny. Co więcéj, Francya zgodziła się

chętnie na zaprowadzenie u siebie powszechnéj, obowiązkowéj służby wojskowéj, największéj ofiary, jaką może obywatel ponieść dla kraju, gdyż daje mu trzy lata swego osobistego życia. Nie zamykając oczów na szlachetne strony téj akcyi publicznéj, nie można wszelako spuszczać z uwagi, że objawiła się ona pod bodźcem entuzyazmu, że pochlebiała miłości własnéj narodu, i że materyalne jego bogactwo z jednéj strony, a wrodzone wojenne skłonności z drugiéj, przyczyniły się, że tak powiemy, do skanalizowania tego jednorazowego poświęcenia w stałe instytucye. Anglicy nie mogą wymódz na sobie aż takiéj ofiary, jak obowiązkowa służba wojenna: jest to sprzeczne z tym wysoce w nich rozwiniętym zmysłem indywidualizmu. Nie można jednak zapominać ani o jedności opinii narodowéj, przytłumiającéj głos stronnictw, gdy idzie o interesa i o wielkość Anglii w przeciwieństwie do obcych krajów, ani o tych codziennych, stałych ofiarach, jakie wszystkie warstwy narodowe, a szczególniéj zamożniejsze, czynią dla utrzymania instytucyi użyteczności powszechnéj. Mniéj to uderza w oczy, mniéj sprawia efektu zawotowanie przez izby kilkudziesięciu milionów podatku, rozłożonego na całe społeczeństwo, aniżeli zapisanie w swoim osobistym budżecie rodzinnym pewnéj sumki na publiczne subskrypcye, filantropijne instytucye etc., którą to sumę płacą bez żadnéj kontroli, żadnego przymusu, lecz jedynie w poczuciu patrotycznego obowiązku względem swego kraju.

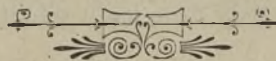
Łatwy, nader łatwy, zużyty temat przedstawiałoby wykazanie różnic między Francyą a Anglią w dziedzinie politycznéj. Najpowierzchowniejsza znajomość historyi i konstytucyjnego rozwoju obu narodów wystarcza do postawienia pomiędzy niemi słupów granicznych. Ale jeżeli są to dwa odmienne światy podług ogólnego uznania, to porównawczy badacze zapominać się zdają o chronologicznych datach przełomowych w historyi każdego z tych narodów. Rewolucya angielska dokonała się w połowie XVII-go wieku, francuska o cały wiek późniéj—w końcu XVIII-go. Oddawna Anglia przetrawiła już swoją, zapomniała o ściętéj głowie Karola I-go, o wojennéj dyktaturze Cromwella, a monarchia konstytucyjna, ten szyld pokrywający wyemancypowanego narodu swobody, miała czas zapuścić głębokie korzenie w organizm państwowy. We Francyi rewolucya trwała także prawie całe stulecie i można powiedzieć, że społeczeństwo francuskie dopiero od lat kilkunastu weszło w peryod ewolucyjny normalny. Jest tedy niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzaną Francyi, gdy się przeciwstawia tryumfująco instytucye angielskie, funkcyonujące gładko w wyżłobionem korycie, jéj instytucyom zaledwie z jajka wyklutym, zaimprowizowanym. Gdy się te daty dwie ma w pamięci, rozwiéwa się w puch

ta oklepanka, która przeciwstawiać lubi zmienną ruchliwą fizyognomię politycznéj Francyi—poważnéj, niezmiennéj budowie Anglii. Zmienność francuska i jéj szamotanie się konwulsyjne było symptomatem odbywającéj się u nich rewolucyi, a o tendencyach zachowawczych społeczności francuskiéj, o jéj zamiłowaniu tradycyi i rutyny nawet nie wątpi nikt, kto się w naturę jéj wewnętrzną zagłębił. Jest równie fałszywém zdanie o nieruchomości kamiennéj gmachu konstytucyjnego Anglii. Przeciwnie. Prąd ku równości demokratycznéj podkopał już fundamenta tego gmachu. Anglia ani na chwilę w ciągu ostatniego pół wieku nie zatrzymała się w dziele reorganizacyi i reform o charakterze radykalnym. Nie spostrzeżono tego z razu dzięki metodzie działania i mechanizmowi parlamentarnemu, który wymaścił wrzeciądze, ale porównywając Anglię u schyłku naszego stulecia z tą, jaką była w przededniu bilu reformy 1832 roku, można słusznie zapytać, czy to jest ten sam organizm. Francya i Anglia w odmiennym porządku wprowadzały u siebie dwie zasady pierwotne organizmów postępowych — równość i wolność. Przewaga pierwszéj skrystalizowała się we Francyi w centralizacyi państwowéj, przewaga drugiéj pozwoliła Anglii rozwinąć szeroki samorząd. Nie ma wątpienia, że gdy Francya zabezpieczy sobie raz na zawsze swobody, o których posiadanie tak zapalczywie walczyła, będzie usiłowała wyzwolić osobników z kurateli scentralizowanego państwa. W Anglii natomiast rozpoczął się już ruch dośrodkowy i wytwarza się sfera działalności wszechpaństwowéj, wręcz przeciwna odwiecznym, historycznym narodu tego tradycyom.

Zatrzymujemy tutaj tę paralelę bynajmniéj nie dlatego, żeby materyał wyczerpany został, ale w przekonaniu, że dotknięte zostały w pobieżnym przebiegu główne strony charakteru indywidualnego, rodzinnego, towarzyskiego i publicznego życia Francuzów i Anglików. Daleką jest od nas myśl wyciągnięcia z tego zestawienia morału i przyznawania jednym lub drugim palmy pierwszeństwa. Wobec różnic na tylu punktach stwierdzonych, wobec szali przechylającéj się bądź na jedną, bądź na drugą stronę, byłoby to niewykonalném, nawet gdyby się zapomniało, że się ma tu do czynienia z organizmami żyjącemi, a zatém ulegającemi ustawicznéj zmianie.

Ale jeden wniosek da się w każdym razie uczynić. Skoro pomiędzy dwoma najbardziéj ucywilizowanemi społeczeństwami istnieją w chwili obecnéj takie głębokie, takie rdzenne różnice, to owe marzenia ideologów o zjednoczeniu ludzkości, albo przynajmniéj Europy w jednolity związek pokazują się być—gruszkami na wierzbie.

N. T.



W sprawie zakładów obłąkanych.

W Anglii i w Niemczech ukazały się równocześnie dwie broszury, tendencyą i duchem zupełnie ze sobą zgodne. Celem, do którego dążą, jest skłonienie państwa do żywszego zajęcia się sprawą domów obłąkanych, — duch, który czyni je podobnemi do siebie, jak dwie bliźnie siostry, jest szczere a bezinteresowne zajęcie się dolą tych nieszczęśliwych, z pomiędzy upośledzonych najnędzniejszych, bo opuszczonych nietylko przez matkę naturę, lecz także przez ludzi. W obecnych stosunkach społecznych, we wszystkich—o ile wiem—państwach cywilizowanego świata, człowiek obłąkany jest pozbawiony przez państwo wszelkich praw. Z chwilą, gdy zostanie uznany za waryata, jest prawnie zmarłym. Państwo albo pozostawia go na łasce i niełasce osób prywatnych, albo — jeśli czyn ten jest niemożliwy — grzebie go żywcem w grobie zwanym domem obłąkanych. Powiadam: w grobie, bo przeciętna organizacya tych zakładów wyklucza prawie zupełnie jakąkolwiek kontrolę traktowania internowanych, a lekarze i służba dzierży nad nimi nieubłagane prawo miecza, z którego nazbyt często czyni użytek, jak o tém świadczą częste i liczne pogłoski lub rozprawy sądowe.

Obie wspomniane broszury zajmują się przedewszystkiém urządzeniem zakładów dla obłąkanych, a reformy, jakie, zdaniem ich, powinny wejść w życie, dotyczą prawie wyłącznie traktowania osób już pomieszczonych w zakładach.

Sprawa zaś osądzenia stanu umysłowego jednostki, na którą pada podejrzenie zboczenia psychicznego, jest traktowana zbyt pobieżnie. Sprawa ta jednakowoż jest—mojém zdaniem—w rozwijaniu i rozpatrywaniu powyższéj kwestyi, natury tak samo zasadniczéj, jak część jéj dotycząca zakładów, ale znajduje się bezwarunkowo na pierwszym planie. Autorowie obudwu broszur starają się jedynie udowodnić — co im się téż w zupełności udało, że państwo, jeśli w zachowaniu się swém wobec hygieny socyalnéj chce być konsekwentne, musi równie zająć się chorymi umysłowo, jak się zajmuje upośledzonymi w innym kierunku, inwalidami, kalékami, trędowatymi, nędzarzami zdemoralizowanymi brakiem najpierwszych potrzeb życia, głucho-niemymi, ślepymi, sparaliżowanymi i t. d.

Żadne głuchonieme lub ślepe indywiduum nie zostanie pierwéj przyjęte do zakładu zanim nie zostanie najdokładniéj, najwszechstronniéj zbadaném. Wobec gałęzi nauki, dotyczących tych działów chorób, dyagnoza przychodzi stosunkowo szybko i lekko. O chorobach umysłowych nie można tego twierdzić. Brak jest nietylko lekarzów-fachowców w psychiatryi, ale nie istnieje dotychczas ani jedna norma, ani jedna definicya, dająca całkiem jasny pogląd na różnicę zachodzącą między człowiekiem umysłowo zdrowym a chorym. Teorya powstała ostatniemi czasy, przedewszystkiém Lombrosa i jego szkoły, zagmatwały kwestyę do reszty. I jesteśmy rzeczywiście w tém stadyum rozwoju psychiatryi, że w razie popadnięcia w podejrzenie znajdowania się w stanie umysłowo-chorobliwym, — może łatwo zajść ewentualność internowania na t. zw. obserwacyę przez całe miesiące i lata. Od widzimisię lekarza zależy obecnie życie i zdrowie człowieka podejrzanego o obłąkanie. A co jest najcharakterystyczniejsze dla istniejącéj hygieny umysłowéj: psychiatra jest za swe czynności nieodpowiedzialny.

Ta ostatnia okoliczność bywa powodem strasznych pewnego rodzaju nadużyć, które grozą swą przypominają wieki średnie. Jak ówczas klasztory były owym środkiem, którego się chwytano nieraz, gdy chodziło o pozbycie się słabszego przeciwnika, — tak samo dzieje się w naszych czasach, jak poświadczają częste skandale familijne, kończące się zwykle przed kratkami sądowemi. Przedtém zamykano w klasztorze pod zarzutem żywota pędzonego w grzechu i bezecności; procedura była w tym względzie łatwa, bo zwykle nietrudno było o dygnitarza, który zarzuty czy to familii łakoméj na majątek internowanego, czy téż wrogów, chcących się bez noża pozbyć rywala,—potwierdził i tém samém wyrok bez żadnéj dla siebie odpowiedzialności podpisał.

Ten brak odpowiedzialności pochodził z braku ścisłéj definicyi cnoty i grzechu. Ponieważ *quot erant capita — tot sensus erant puncto* określenia moralności i niemoralności, więc też konsekwencya nie mogła być inna, jak tylko zdjęcie odpowiedzialności przedewszystkiém z tych, którzy stanowiskiem swém dawali rękojmię niezachwianéj wiary w kościół. Rozjemcą i czynnikiem godzącym przeciwności była zatém religia, jako urząd. Piastujący urząd kościelny był niejako patentowanym na nieomylnego w kwestyach cnoty.

Jak się ma sprawa z psychiatryą?

Wobec zupełnego braku definicyi zdrowia i choroby mózgu czyli normalnych i anormalnych objawów umysłu, żaden człowiek—jak już wyżéj wspomniałem — nie może nigdy wiedziéć, czy jest umysłowo zdrowym czy nie. Z tego wynika, że podejrzenie choroby może być na niego w każdéj chwili rzucone i w dalszym ciągu zażądane „wzięcie pod obserwacyę lekarską", czyli — poprostu — zamknięcie w domu waryatów.

Decydujące słowo ma w tym razie patentowany dygnitarz medycyny.

Podobnie jak kościół nie podawał, ani nie podaje definicyi cnoty, — podobnie medycyna nie objawiła dotychczas, gdzie się znajduje granica zdrowia i choroby umysłowéj. To téż w ostatecznym rezultacie, każdy człowiek o przeciętnym trzeźwym rozumie, jakkolwiek nie jest fachowym medykiem, o stanie umysłowym potrafi wydać sąd takiéjże wartości, co sąd każdego przeciętnego lekarza.

Ale tu właśnie wkracza państwo ze swą ustawą. Jakkolwiek więc sąd medyczny przeciętnie nie wart więcéj, aniżeli sąd laika, mimo to sąd lekarza jest ostatnią instancyą, od któréj nie ma rekursu. Sędzia zaś jest od wszelkiéj odpowiedzialności wolny.

Że znajdują się lekarze wyzyskujący to uprzywilejowane stanowisko, związane z dyplomem doktorskim — o tém świadczą liczne fakta, zbyt znane, by je bliżéj w téj chwili omawiać. Ten stan rzeczy jest podobnie anormalny, jak przywileje średniowiecznego kleru, będące powodem tylu i tak strasznych nadużyć. Ostatecznie władza kościelna w rzeczach świeckich przeżyła się lub się przeżywa, gdzie jéj jeszcze stosunki sprzyjają, — o władzy lekarskiéj jednak można śmiało powiedziéć, bez najmniejszéj obawy popadnięcia w przesadę, że nietylko sił nie traci, ale ich owszem z każdym dniem nabiéra.

Każdy profesor na fakultecie medycznym, mający swą klinikę, każdy prymaryusz szpitala jest—dosłownie—absolutnym panem życia i śmierci swych pacyentów. Jednak chorzy, znajdujący się na klinikach interny, chirurgii i t. d., mają cierpienie ściśle określone; dyagno-

za zaś daje—jakkolwiek nie zupełną — w każdym razie jednak jaką taką rękojmię racyonalnego leczenia i wyleczenia. Psychiatrya w chwili obecnéj téj rękojmii wcale nie daje, bo nie daje — nie mówimy już pewnéj — ale nawet przybliżonéj dyagnozy t. z. wynikającéj z dokładnéj znajomości przyczyn organicznych.

Powód tego wyjawi bodaj krótki rzut oka na rozwój téj nauki, nie sięgającéj wstecz nawet połowy wieku.

Budowę mózgu, uznanego od dawna za siedzibę władz umysłowych, rozpoczęli badać systematycznie anatomowie, datujący swą działalność od roku 50-go, a z pomiędzy których profesorowie Hyrtel (Wiedeń) i Teichman (Kraków) na szczególną zasługują wzmiankę. Badanie mózgu, jako specyalność, obrał sobie profesor fizyologii na uniwersytecie wiedeńskim zmarły już Ernest Meynert [1]), i od niego dopiéro datuje się właściwa, pozytywna, psychiatrya fizyologiczna, ściśle złączona z psychofizyologią.

Są zatém dwa widoczne powody skłaniające do najsilniejszego sceptycyzmu, odnośnie do pomyślnych rezultatów tegoczesnéj psychiatryi. Pierwszym powodem jest nadzwyczajne skomplikowanie tego działu nauk medycznych; wymaga ona bowiem, pominąwszy znajomość najdokładniejszą anatomii i fizyologii organizmu ludzkiego, co już samo stanowi materyał, na którego owładnięcie życie ludzkie ledwie wystarczyć może, ale nadto najdokładniejszéj znajomości wzajemnego oddziaływania organizmu i mózgu, a specyalnie wgląd we wszystkie funkcye tego organu, którego każda komórka jest skarbnicą wiedzy, którego najdrobniejsze wzruszenie wywołuje rozterkę całego organizmu, a który mimo wszelkie usiłowania stanowi dotychczas księgę zamkniętą na zamek, do którego klucza dotychczas nie zdołano dorobić.

A dopóki w księdze téj nie będziemy mogli swobodnie czytać, dopóty sądy choćby nauczeńszych lekarzy-fachowców będą miały wartość bardzo a bardzo problematyczną.

Ponieważ jednak chodzi o paliatyw, o doraźny środek przeciw istniejącym nadużyciom, dlatego zamiast rozpaczać nad niedołęstwem wiedzy ludzkiéj, należy raczéj rozpatrzyć możliwość częściowego przynajmniéj usunięcia złego, jeśli zupełne wyplenienie jest niemożliwe.

---

[1]) Wymieniam przedewszystkiém Meynerta, jako najwybitniejszego, co do rezultatów swych badań mózgu. Głośnymi na tém polu są nadto Fritsch, Hitzig, Munk i Flechsig, — ten ostatni znany szerszéj publiczności z ostatniego kongresu psychologicznego w Monachium, na którym przedstawił swą oryginalną hypotezę, dotyczącą „centrów assocyacyi w mózgu ludzkim“, mogącéj w razie swego sprawdzenia, nabrać ogromnéj doniosłości w rozwoju psycho-fizyologii.

Przedewszystkiém więc, jakkolwiek psychiatrya sama przez się stoi jeszcze bardzo nisko, nawet wobec innych równie młodych działów medycyny, mimo to wymaga wyłącznego zajęcia się sobą przez tych lekarzy, którzy leczeniu chorób umysłowych mają zamiar się poświęcić. W tym wypadku ma zastosowanie hasło wydawane stopniowo we wszystkich dziedzinach wiedzy, a mianowicie: specyalizowanie. Ogromny a z każdym dniem rosnący nawał nowych odkryć i faktów zmusza do jednostronnego oddania się pewnemu działowi naukowemu. Jakkolwiek zatém psychiatrya sama przez się nie zdolna jest budzić wielkiego zaufania, jednakowoż mając w danym krytycznym wypadku do czynienia ze specyalistą-psychiatrą lub z całą komisyą psychiatrów, można liczyć przynajmniéj na dyagnozę, która jeśli może niezupełnie będzie trafną, nie będzie téż do tego stopnia szkodliwą, jak się to dzieje w wypadkach, gdzie nie-specyalista wydaje sąd o stanie umysłowym pewnego indywiduum.

Zatém obowiązkowe studya psychiatryczne dla specyalistów, którym jedynie tylko ma być dozwolone orzekanie o stanie umysłowym pacyenta, a w wypadkach bardziéj zawikłanych, t. j. wymagających prawdopodobnie internowania badanéj osoby, — orzeczenie komisyi, złożonéj z pewnéj liczby specyalistów określonéj ściśle przez prawo, byłoby paliatywem, który prawdopodobnie zdołałby usunąć, chwilowo przynajmniéj, najbardziéj krzyczące nadużycia, popełniane w dziedzinie teraźniejszego systematycznego (!) — *sit venia verbo*—leczenia obłąkanych.

A teraz przystępuję do części drugiéj zadania, t. j. do sprawy racyonalnego urządzenia zakładów obłąkanych.

Jak już wspomniałem, kwestya ta jest wyczerpująco traktowana w broszurze Mr. Charles Heneage'a, wręczonéj 14 czerwca r. b. lordowi kanclerzowi i innym ministrom, celem zachęcenia rządu angielskiego do interwencyi w sprawie nowych reform zakładów obłąkanych. Również z planem reform, dotyczących tegoż przedmiotu, występuje dr. A. Erlenmeyer w swéj broszurze p. t. „*Unser Irrenwesen: Studien und Vorschläge zu seiner Organisation*". Wiesbaden, 1896.

Dzieło Erlenmeyera jest bardziéj wyczerpujące od broszurki Mr. Heneage'a i prześciga je tak pod względem gruntownego i przejrzystego przedstawienia materyału, użytego na poparcie przedłożonego planu reform, jak pod względem szczegółowego traktowania sprawy. Jakkolwiek w tym kierunku różnią się obie broszury znacznie, zgadzają się jednak bezwzględnie na jedno: że reformy są konieczne i to reformy podjęte i przeprowadzone z góry, t. j. przez rząd.

Działalność publicystyczna Mr. Haneage'a w sprawie nowych reform domów obłąkanych datuje się już od lat kilku. Zanim wręczył swą broszurę rządowi, głosił już zebrane w niéj krótko i węzłowato zasady w szpaltach licznych poważnych pism angielskich. Osiągły one dotychczas przynajmniéj ten skutek, że poruszana przez niego kwestya traktowania nałogowych pijaków (*Habitual drunkwards*) omawiana już była w roku bieżącym w parlamencie angielskim i uznana za dojrzałą do stanowczego rozwiązania.

W swéj broszurze podaje on trzy grupy reform, których konieczne i szybkie przeprowadzenie jest—jego zdaniem—sprawą najaktualniejszą, najbardziéj piekącą, która nie powinna schodzić z porządku dziennego publicystyki, dopóki nie zostanie doprowadzona do skutku.

Żąda on p o p i e r w s z e „założenia centralnego urzędu z poręką państwa, rozciągającego swą władzę na wszelkie sprawy dotyczące obłąkanych w całéj Anglii."

Sprawa założenia centralnego urzędu dla psychiatryi w całéj swéj rozciągłości, poruszona już była w r. 1889 przez Mr. Brudenell'a Carter'a w londyńskiéj radzie lekarskiéj (*London County Council*) i jakkolwiek zainteresowała szersze koła publiczności, kroków żadnych celem wprowadzenia jéj w życie nie poczyniono. Poszczególne punkty, związane z tą reformą, są: zakładanie klinik psychiatrycznych, domów obłąkanych pod kierownictwem wytrawnych specyalistów, przytułków dla nałogowych pijaków i t. d. Zadaniem owego urzędu centralnego wobec tych instytucyi byłaby: o b o w i ą z k o w a ś c i s ł a k o n t r o l a i p r o w a d z e n i e p s y c h i a t r y c z n y c h w y k a z ó w s t a t y s t y c z n y c h. Ten ostatni punkt zasługuje w szczególności na głęboką uwagę. Przekonanie o doniosłości usług oddanych przez statystykę każdéj gałęzi wiedzy i przemysłu ludzkiego, zapuściło w obecném społeczeństwie głębokie korzenie, — a nauka ta pomocnicza, jakkolwiek znajduje się jeszcze w pieluchach, gra w życiu społeczném rolę pierwszorzędną i z dniem każdym stanowisko to wzmacnia. Czém dla hydro i aero-mechanika jest barometr, dla handlu wykazy tranzakcyi, dla giełdy wykazy kursu papierów — tém dla socyologii w ogólności a w szczególności dla psychiatryi odpowiednie wykazy statystyczne. Cel, do którego statystyka dąży, równa się zadaniu rurki manometrycznéj, umieszczonéj na kotle parowym. Podobnie jak tu manometr przez dokładne wykazywanie ciśnienia pary umożliwia zapobieganie wszelkim wypadkom, czy to wyziębienia kotła przez zbytni ubytek, czy też jego eksplozyi przez zbytnie nagromadzenie pary—takie same działanie ma—zdaniem optymistów—spełnić w przyszłości statystyka: przez

wykazy swe umożliwi najdokładniejsze regulowanie postępu społecznego pod każdym względem. Środki zaś, których się władza będzie chwytać dla osiągnięcia powyższego celu, będą częścią natury zapobiegawczéj (*Praeventio*) częścią represywnéj (*Repressio*) t. j. walką przeciwko już wybuchłéj klęsce.

Zastosowanie statystyki w zakładach psychiatrycznych polegałoby na prowadzeniu ścisłego wykazu chorób umysłowych w dotyczącym zakładzie badanych. Rezultat tych badań zostałby następnie podany do wiadomości centralnego urzędu psychiatrycznego, będącego zarazem centralnym urzędem statystycznym dla psychiatryi — a ponieważ czynność ta byłaby obowiązkową dla wszystkich domów obłąkanych, rozmieszczonych po rozmaitych okolicach państwa, powstałaby w ten sposób dokładna ogólna tabela statystyczna objawów psychiatrycznych całego terytoryum królestwa angielskiego. Mr. Heneage podnosi znaczenie tego urządzenia. Państwu daną byłaby przez to możność szybkiego niesienia środków zaradczych a przez dokładne poznanie warunków hygienicznych każdéj miejsowości—podniesienia, względnie poprawienia stosunków sanitarnych państwa.

Myśl téj reformy była również w Niemczech poruszana. Wymownie bronił jéj prof. Pelmann (*Zeitschrift für Psychiatrie*, *Bd.* 53), zalecając usilnie wprowadzenie jéj przez rządy rzeszy niemieckiéj i monarchii austryacko-węgierskiéj. Usiłowania te nie osiągły dotychczas pożądanego skutku, mimo, że nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż reforma tego rodzaju przyczyniła by się niezmiernie do rozwoju psychiatryi i racyonalnego traktowania obłąkanych.

D r u g i é m ż ą d a n i e m Mr. Heneage'a jest „założenie przez rząd psychiatrycznych „instytucyi" (klinik) w stolicy i kilku większych miastach prowincyonalnych dla kształcenia fachowych psychiatrów. Instytucye te mają się znajdować pod bezpośrednią kontrolą rządu".

Gdyby ten znakomity wniosek wszedł w życie — wystarczyłby krótki przeciąg kilku lat a państwo znalazłoby się w posiadaniu sporéj liczby młodych, dzielnych sił lekarskich, wykształconych fachowo w psychiatryi. Brak tych fachowych sił mocno daje się odczuwać społeczeństwu—przedewszystkiém gdy chodzi o sądowe orzeczenie lekarskie, dotyczące umysłowego stanu delikwenta. Prawdziwy rzeczoznawca miałby tu sposobność do usunięcia wielu zastarzałych poglądów biurokracyi i niesienia ulgi skazańcom, nękanym niewinnie w więzieniach za winy, które ze stanowiska medycznego, w wielu wypadkach należałoby uważać za niepopełnione, ponieważ były wykonane nietylko bez dostatecznego rozmysłu, lecz bardzo często bezprzytomnie. Nadzieja, że w przeciągu krótkiego czasu zaroiło by się państwo od

dzielnych psychiatrów, ma o tyle silne podstawy, że popierwsze konkurencya na tém polu jest stosunkowo jeszcze bardzo słabo rozwinięta, a wzgląd ten skłoniłby bardzo wielu młodych lekarzy do rozwiązania w ten sposób swéj kwestyi chleba,—nadto zaś wzmagające się ostatniemi czasy zainteresowanie zagadnieniami psychiatrycznemi—rozbudzone przedewszystkiém przez Lombrosa—zyskałoby téj gałęzi praktyki lekarskiéj sporą liczbę adeptów. Uwzględnienie w powyższém wnioskowaniu tych dwóch czynników: ekonomicznego i naukowego — zdaje się że jest wystarczającém do wysnucia zeń rezultatu dodatniego.

T r z e c i a w r e s z c i e r e f o r m a Mr. Heneage dotyczy „zaprowadzenia we wszystkich zakładach obłąkanych zupełnéj swobody w leczeniu chorych", jak się to już dzieje w Austryi i Niemczech. Dla nałogowych pijaków i nieuleczalnych waryatów żąda Mr. Heneage uchwały parlamentu w formie „ustawy nakazującéj odosobnienie nałogowców od reszty obłąkanych, a dla obudwu wymienionych typów zaprowadzenia systemu kurateli majątkowéj."

Tak pierwsza jak druga część tego ostatniego wniosku nie znalazła nigdzie zasadniczych przeciwników. Swobodne traktowanie chorego przez lekarza jest samo przez się zrozumiałe i jeśliby mogło być pod jakim względem ograniczone, chyba jedynie o tyle, że ów lekarz musiałby być zawsze fachowym psychiatrą.

Co się tyczy części drugiéj — jakkolwiek wniosek nie jest bezwzględnie fałszywym, jest jednak zbyt ogólnikowy. Kuratela rozciągnięta nad majątkiem nieuleczalnie obłąkanego lub nałogowego pijaka—jest urządzeniem bez zarzutu, — chodzi tylko o ścisłe zaznaczenie granicy między zwykłém pijaństwem a nałogowém i między nieuleczalnie obłąkanym a owym typem, który ludowa gwara zowie „bzikiem" lub „postrzelonym." W ten sposób trafiamy znowu na przeszkodę wskazaną już wyżéj na początku. Racyonalném jest, aby w każdym wypadku, gdzie chodzi o przyjęcie pewnego indywiduum do zakładu lub uznanie go za wyleczonego czyli—uwzględniwszy bezpośredni skutek orzeczenia, — gdzie chodzi o uznanie kogoś za zdolnego do samodzielnego załatwiania swych interesów lub za niedołężnego — należy nie pozostawiać orzeczenia nigdy jednemu lekarzowi, choćby nawet był dzielnym fachowcem, lecz tylko całéj komisyi, by tém samém zmniejszyć prawdopodobieństwo popełnienia błędu, pociągającego za sobą wieczne unieszczęśliwienie osobnika normalnego, popadłego w niesłuszne podejrzenie obłąkania, i zmniejszyć ciężar odpowiedzialności, spadający na barki pojedyńczego lekarza.

Sprawa odosobnienia notorycznych pijaków, cierpiących na obłęd, spowodowany zbytniem oddawaniem się napojom alkoholicznym była wiele razy obszernie omawiana i można ją uważać za załatwioną, gdyż w zakładach obłąkanych—zwłaszcza w Austryi—metoda internowania pijaków w odosobnieniu od reszty pacyentów, jest po największéj części w użyciu. Powody skłaniające do tego postępowania wynikają nietylko ze względów praktycznych, związanych z rozmieszczeniem obłąkanych według kategoryi chorób, któremi są upośledzeni, lecz i ze względu na innych pacyentów, na których towarzystwo obłąkanych pijaków działa w wysokim stopniu demoralizująco. Interesujące uwagi w téj materyi zamieścił dr. L. Schlangenhausen w czasopiśmie „Strassburger Anzeiger" w zeszycie z 8 lutego b. r. w artykule p. t. „*Die Gewohnheitstrinker und das Curatelverfahren in Oesterreich.*"

Wymieniona broszura Mr. Haneage'a wzbudziła nadzwyczajne i ogólne zajęcie. Interesują się nią nietylko w kołach lekarskich a więc fachowych, lecz i publiczność angielska, odczuwająca na każdym kroku prawdę bijącą ze słów wnioskodawcy, wytykającego braki w hygienie społecznéj Wielkiéj Brytanii, stara się o to, aby kwestya ta stała się kwestyą dnia. Być może, iż wnioski Mr. Haneage'a są zbyt ogólnikowe — jak mu zarzuca londyńskie czasopismo lekarskie „The Lancet", jest to przecież brak dający się tak łatwo usunąć przy pomocy specyalnéj komisyi, wybranéj ku wypracowaniu stosownego przedłożenia, opartego na *memorandum* Mr. Haneage'a, iż nie warto dłużéj się nad nim zatrzymywać. Dzieło dr. A. Erlenmeyera, które zamierzam teraz właśnie omówić, jest potemu, aby i ten zarzut obalić tam, gdzie chodzi o przedstawienie całokształtu reform psychiatrycznych, zdolnych pchnąć rozwój stosunków społecznych o spory krok naprzód. Jakakolwiek bądź zresztą jest redakcya *memorandum* petenta-filantropa, wnioski, jakie pismo to zawiera, nie chybiłyby swego celu w praktycznéem życiu, a przez urzeczywistnienie ich—stosunki sanitarne państwa tylko by zyskały.

Dzieło Erlenmeyera możnaby śmiało uważać za obszerne rozwinięcie wniosków zamieszczonych w broszurze angielskiéj, gdyby wogóle stało z nią w jakimkolwiek związku. Pierwszy rzut oka przekonywa, że obie prace powstały zupełnie niezależnie i samoistnie. Jeśli zaś pojawiły się równocześnie, dowodzi to tylko, iż kwestya „leży w powietrzu", że na chorobę traktowaną przez obudwóch, cierpi nie tylko jedno państwo, ale prawdopodobnie całe „cywilizowane" społeczeństwo.

Dzieło Erlenmeyera powstało pod wrażeniem ostatnich nadużyć, popełnionych w domach obłąkanych, a wykrytych przed kratkami sądowemi. Nie jest jednak pisane w stylu agitacyjnym — przeciwnie, kwestya jest traktowana chłodno, bez namiętności, a wnioski reform są długo i głęboko obmyślane, a przedstawione jasno i potoczyście.

Trudności, z jakiemi przychodzi walczyć wszelkim usiłowaniom gruntownego załatwienia sprawy obłąkanych, leżą—zdaniem autora— w niedowierzaniu publiczności do zakładów obłąkanych w ogólności, w szczególe zaś do wiedzy lekarskiéj, objawiającéj się często bardzo niekorzystnie w haniebnych stosunkach sanitarnych domów obłąkanych. Laik jest przyzwyczajony zdawna do uważania lekarza obłąkanych, jako człowieka gotowego dopatrzyć się waryata w każdym, choćby najzdrowszym osobniku. Okrutném wydaje mu się obejście z internowanym, szczególnie odosobnienie, nie uzasadnione — jego zdaniem — najdrobniejszym, niebezpiecznym dla innego ekscesem ze strony pacyenta.

Usunięcie tego anormalnego stosunku między lekarzem-psychiatrą a publicznością powinno być zadaniem państwa. Ciało prawodawcze, państwo, powinno stworzyć odpowiednie ustawy, które byłyby w stanie przeprowadzić sanacyę energiczną w czasie możliwie jaknajkrótszym. Erlenmeyer podaje środek, wprowadzony w owe czasy w użycie przez rządy niektórych państw, skoro upadła wiara publiczności w sprawiedliwość wyroków sądowych, wydawanych przez rządowych sędziów. Tym radykalnym środkiem była instytucya sędziów przysięgłych. Coś w tym rodzaju proponuje dr. Erlenmeyer dla psychiatryi. Według jego zapatrywania, najlepszym i najpewniejszym środkiem do zyskania zaufania publiczności jest „uzupełnienie praktyki lekarskiéj i lekarskich orzeczeń” przez interwencyę niefachowców, laików, którzy stanowiliby komitet mężów zaufania i pod nazwą „patronatu” orzekaliby o stanie umysłowym podejrzanego pacyenta. W komitecie takim kobiéty byłyby z mężczyznami równouprawnione. Instytucyę tę musiałaby gwarantować odpowiednia ustawa prawna, podobnie jak wszystkie inne reformy projektowane przez Erlenmeyera.

Ustawy, które państwo jest bezwarunkowo zobowiązane przeprowadzić celem ochrony osobistéj wolności obywateli, dotyczą przedewszystkiém warunków, pod którem i ktokolwiekbądź może być oddany do zakładu obłąkanych.

Przedewszystkiém — powiada wniosek — w razie zajścia nagłéj a gwałtownéj konieczności oddania kogoś pod dozór lekarski, musi być stosowne orzeczenie, wydane przez lekarza fachowego (psychiatrę

i przez lekarza policyjnego. W razie, gdyby orzeczenie lekarza policyjnego nie mogło być na razie załączone, musiałoby to nastąpić w czasie najwyżéj 24 godzin. Tylko pod tym warunkiem dozwala państwo na przyjęcie podejrzanego pacyenta do zakładu. Lekarz prywatny, jakotéż lekarz policyjny, muszą być zawodowymi psychiatrami, tylko pod tym warunkiem jest im dozwolone dawanie orzeczeń w kwestyach psychiatrycznych. Po odstawieniu chorego do zakładu, ordynujący lekarz jest przez ustawę zobowiązany zbadać najdokładniéj chorego i powziąć stosowne postanowienie, za które dźwiga bezwzględną odpowiedzialność.

W interesie państwa leży nastręczenie jaknajliczniejszych sposobności studentom medycyny i młodym lekarzom do wykształcenia się w psychiatryi. Sposobności tych jest obecnie wprawdzie więcéj, niż przed czasem stosunkowo jeszcze krótkim, ale nie zaspakajają one jeszcze wszelkich wymagań, jakie dobro publiczne ma prawo państwu stawiać.

Gdyby wymienione środki ostrożności wydawały się niedostatecznemi, zaleca autor jeszcze jeden, którego zastosowaniem może się państwo ewantualnie zająć; byłyby nim t. zw. stacye obserwacyjne, przeznaczone wyłącznie dla chorych, uznanych wprawdzie przez lekarzy za obłąkanych, jednak przez familię uważanych za umysłowo zdrowych i dlatego wzbraniającéj się wydania ich „na pastwę" lekarzy i samotnéj celi. W tym wypadku należy rozważyć co następuje:

Zdarza się, że pobyt obłąkanego na łonie familii jest dlań korzystnym — jest to jednak czémś nadzwyczaj wyjątkowém. Pominąwszy bowiem pewnik, że pobyt waryata w domu jest znośny tylko wtedy, skoro mieszkanie jest obszerne i można większą odosobnioną przestrzeń oddać do użytku obłąkanego—poucza doświadczenie, iż nic bardziéj nie demoralizuje otoczenia, jak ciągły pobyt w towarzystwie waryata, zwłaszcza złośliwego i niechlujnego. Jedno obłąkane indywiduum zdolne jest całą liczną familię umysłowo i moralnie zmarnować, to téż państwo nie powinno się nawet wahać z powzięciem odpowiednich środków, celem zapobieżenia licznym tego rodzaju wypadkom. Wzgląd na żal familii, któréj władza odbiéra przemocą pacyenta, schodzi na drugi plan, jak to się dzieje np. w wypadku aresztowania w kole familii członka jéj pod zarzutem spełnienia przestępstwa. Podobnie, jak familia pacyenta, może bardzo nisko cenić wartość psychiatryi i tylko z tego powodu wzbraniać się powierzenia lekarzom chorego,—podobnie może miéć bardzo złe wyobrażenie o sprawiedliwości, nieprzedajności i t. p. cnotach, związanych z urzędem sędziowskim, co jednak nie wstrzymuje wcale władzy od spełniania raz przepisanéj

ustawy i odosobnienia podejrzanego indywiduum, mimo wszelkich protestów rodziny.

Jednak prawdziwych powodów teraźniejszych spaczonych stosunków w dziedzinie leczenia obłąkanych szuka dr. Erlenmeyer gdzieindziéj, niż w zagwarantowaniu osobistéj wolności obywateli państwa. Widzi on je w zupełnie zaniedbanéj organizacyi zakładów obłąkanych i to zarówno rządowych, jak prywatnych. Państwo powinno tu wkroczyć energicznemi ustawami i przedewszyskiém uznać za zakłady obłąkanych wszelkie mieszkania, w których przebywają stale lub chwilowo osoby obłąkane, nie należące do familii. Ustawa ta ma na celu wyplenienie licznych t. zw. sanatoryów psychiatrycznych, które nie są niczém inném, jak przedsiębiorstwami niesumiennych spekulantów, pragnących jedynie ciągnąć z pacyentów zyski, bez względu na ich zdrowie. Następnie zaś, aby zapobiedz licznym pomieszczeniom obłąkanych w domach dla ubogich, starców, inwalidów i t. p., zamiast w domach obłąkanych, gdzie w danym wypadku należą, i usuwania ich tym sposobem od kontroli lekarskiéj.

Obowiązkiem rządu jest daléj wydanie ustawy, mocą którego każdy bez wyjątku zakład psychiatryczny musi się znajdować pod kierownictwem fachowego lekarza, odpowiadającego za wszystko, co się w zakładzie dzieje, któremu jednak cały personał winien jest bezwzględną w sprawach służbowych uległość. Od tego obowiązkowego posłuszeństwa nie może być nikt wykluczony, a miłosierni mnisi lub zakonnice z chwilą przestąpienia progu szpitalnego i zajęcia się spełnianiem obowiązków szpitalnych nie zależą więcéj od swego duchownego przełożonego, względnie przełożonéj, lecz jedynie od kierującego lekarza.

Ostatecznie żąda Erlenmeyer od rządu uregulowania wzajemnego stosunku między lekarzami obłąkanych a służącymi, przeznaczonymi wyłącznie do pilnowania pacyentów. Autor uważa słusznie, iż wielu lekarzom brakuje zupełnie zrozumienia właściwego stanowiska służby szpitalnéj. Ludzie ci są prawie bez wyjątku bardzo licho płatni, a bardzo obciążeni pracą. Tygodniami całemi nie wolno im wydalać się z zakładu, muszą poprzestawać na lichéj strawie szpitalnéj i przebywać bez ustanku w towarzystwie obłąkanych. Jak można od tych zmęczonych, znękanych i rozstrojonych podobném życiem ludzi żądać łagodności i cierpliwości w obejściu z chorymi? Zadaniem rządu jest przedewszystkiém uregulować czas pracy, uczynić ich pobyt w zakładzie znośniejszym, polepszyć im płacę i odżywianie, a przedewszystkiém dać im teoretyczne wykształcenie fachowe. Jeśli rząd téj reformy nie przeprowadzi, w takim razie—zdaniem autora—z nadziei prze-

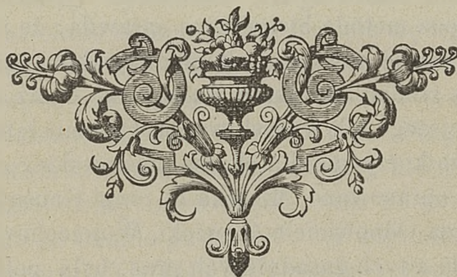
prowadzenia téj reformy „z góry” należy wogóle zrezygnować, gdyż inicyatywy ze strony lekarzy domu obłąkanych próżno oczekiwać; są to „ludzie, którym brak zupełnie należytego zrozumienia społeczno-politycznéj strony téj kwestyi”, co jest nie tyle ich cechą jako wykształconych lekarzy, ile raczéj téj klasy społecznéj, z któréj wyszli. Żądają od proletaryusza pracy, któréj nawet ocenić nie są w stanie.

Całe dzieło da się streścić w tych kilku słowach: ujęcie psychiatryi w karby ustawodawstwa i zorganizowanie jéj podobnie, jak inne działy. Psychiatrya bowiem nie ma nic do czynienia z domami przytułku dla starych lub inwalidów, — wymaga ona równie specyalnego zorganizowania, jak kliniki dla chirurgii, interny, okulistyki i t. d.

Co się zaś tyczy ogólnego charakteru dzieła i zawartych w niém reform, czynią one na czytelniku wrażenie, iż autor jest nietylko człowiekiem wszechstronnie wykształconym i bezinteresownym, lecz nadto zdolnym, chłodnym krytykiem i śmiałym myślicielem pozytywnym.

Wiedeń, w sierpniu 1896 r.

Karol Bicz.



NOWINY O PIASTACH.

Tadeusz Wojciechowski. „O Piaście i piaście". — Oswald Balzer. „Genealogia Piastów".

Wydoskonalona metoda historyczna sprawiła, że rzeczywiście można dziś miewać nowiny z odległych wieków, choć nie odkrywa się już nowych źródeł; wszystko zależy od coraz umiejętniejszego, a wszechstronniejszego ich wyzyskiwania. Ostatnie lata naszéj historyografii były bardzo korzystne dla okresu piastowskiego; w krótkim stosunkowo czasie opracowano Mieszka II (ongi Gnuśnym zwanego) (Lewicki), Kazimierza Odnowiciela (Lewicki, Wojciechowski), Mieszka III (Smolka), a każda z tych zasadniczych prac była pełną doniosłych rezultatów; nie brakowało obok nich rozpraw drobniejszych, przynoszących cenne szczegóły, nie było roku, któryby minął bez nowego przyczynku. Ostatni jednak rok szczególniéj się zaznaczył w historyografii piastowskiéj; sam początek dynastyi wyświetlony, a cały jéj ciąg (z wyjątkiem tylko linii śląskiéj) poddany gruntownéj rewizyi.

Ten sam uczony, który w r. 1885 przywrócił dziejowe życie opuszczonemu przez historyków, nieznanemu zgoła królowi polskiemu Bolesławowi (pomiędzy Mieszkiem II a Kazimierzem Odnowicielem), ten sam teraz wykreśla z historyi osobę imieniem Piast.

Jesteśmy przyzwyczajeni robić już naprzód zdziwione miny, ilekroć prof. Wojciechowski głos zabierze; wiemy bowiem z wszelką a wszelką pewnością, że usłyszymy coś dziwnego i niezwykłego. Przy

każdéj sposobności, choćby to była prosta tylko mowa akademicka lub pogrzebowa, powie Wojciechowski coś takiego, czego nikt przedtém nie powiedział, coś **n o w e g o**. Jest to u nas stanowczo najoryginalniejszy umysł. To bardzo dobrze. *Item* jesteśmy zdziwieni, ale i uradowani, gdy się wieść rozejdzie, że Wojciechowski coś pisze; a gdy wieść się sprawdzi, cały cech historyczny ma sobie przez dłuższy czas nad czém głowę łamać. Wojciechowski ciągle czémś zajęty, wiecznie pracuje, wciąż bada, wertuje i ślęczy nad czémś i to aż do skutku, aż dojdzie do pozytywnych rezultatów; ale nie zawsze je ogłasza.

Roku zeszłego atoli zdarzyło się znowu, że coś nietylko opracował, ale téż drukiem ogłosił; a rozprawa „O Piaście i piaście" należy do najdonioślejszych prac, jakie wogóle posiadamy. Oto jéj treść [1]).

Nie istniało nigdy imię osobowe „Piasta". Wyraz „piast" oznacza wysokie dostojeństwo, zwane w łacińskich źródłach *nutritor* lub *paedagogus*. Założycielem dynastyi nie jest tedy ktoś imieniem „Piast", lecz ktoś będący przedtém „piastem" poprzedniego księcia. Roztrząsnąwszy tradycye o początku dynastyi, stwierdza autor, że społeczeństwo polskie IX-go wieku miało szlachtę, a więc nie sposób przypuścić, żeby ta szlachta uznala księciem prostego chłopka. A jednak Gallus nie waha się zanotować chłopskiego pochodzenia królów, jakkolwiek to według wyobrażeń XII-go wieku nie byłoby dla nich zaszczytném,—bo około chłopa Piasta formuje się legenda o cudzie.

Rzekome imię założyciela dynastyi nie powtórzyło się ani razu u jego następców, co jest rzeczą dziwną, wbrew zwyczajowi; powtarzają się tylko Bolesławy, Mieszki, Leszki i t. p. Wogóle najstaranniejsze przetrząsania źródeł nie wskażą nikogo, ktoby się był nazywał „Piast". Z drugiéj strony niewiadomo, jak po polsku nazywano dostojnika, zwanego po łacinie „*nutritor*". A więc autor bada wszystkie wzmianki o nutrytorach XI, XII i XIII wieku i dochodzi do wniosku, że to wielcy dostojnicy dworscy, coś w rodzaju *comes palatii*, których władza coraz bardziéj jednak malała. Dostojeństwo to wprowadzono około r. 900, a może i wcześniéj. Istniało ono pod tą samą nazwą łacińską na wszystkich dworach współczesnéj Europy, a funkcye frankońskich „*paedagogus*, *nutritor*, *bajulus*" są współrzędne *majordomowi*. Były to pierwotnie godności dworu cesarskiego rzymskiego. W Czechach znajduje się „*paedagogus*"; w księstwach ruskich zowie się „kormilec", „diadia", „detko"; u Kroatów „dziad", a u hospoda-

---

[1]). Artykuł ten jest po większéj części tłómaczeniem z „Bulletin International", ponieważ artykuł w Bulletynie jest przezemnie napisany, gdyż Wojciechowskiego żadna moc nie zdołała do tego nakłonić.

rów wołoskich „pitar". Wszędzie zakres jego urzędu zakrawa na majordoma, na „*comes palatii*". U Franków godność bajulusa bywała często stopniem do majordomatu. W Polsce dawne tytuły *paedagoga* i *nutritora* są prototypami najwyższéj godności dworskiéj, *comesa palatii*. Ten *comes palatii* był w Polsce XI i XII wieku grododzierżcą gnieźnieńskim i miał władzę nad całym dworem, a przez to nad całém państwem, zupełnie tak samo, jak majordom lub „*maire du palais*" u Franków. Zdaniem autora, tytuł *comitis palatii* przyjął się w Polsce dopiéro około r. 1000; ale była to tylko nowa nazwa urzędu istniejącego oddawna pod nazwaniem *paedagoga* lub *nutritora*. Następnie dowództwo wojska przeszło na *comesa palatii*, skutkiem czego ten *comes* „wojewoda" posiadł szczególną władzę, zwłaszcza w okresie podziałów, a nowy tytuł „wojewody" stał się cechą zmienionéj już w swym zakresie dawnéj godności.

Można tu rozróżnić trzy okresy. Pierwszy sięga do roku 1000 lub 1024. *Paedagogus*, *nutritor* jest wówczas zwierzchnikiem dworu i niewątpliwie przełożonym grodu gnieźnieńskiego. Drugi okres obejmuje wiek XI-ty. Wtenczas zjawia się *comes palatii*, z coraz większym zakresem władzy, z wpływem na sprawy skarbowe, sądownicze i mianowanie urzędników w całém państwie. W trzecim okresie, który trwa aż do XIII wieku, *comes* staje się *princeps militiae*. Od początku XIII wieku podupada *comes palatii*, a różne jego funkcye rozdzielają się stopniowo na kilka dostojeństw. Wojewodowie objęli dowództwa wojskowe. Zarząd grodów oddano postanowionym *ad hoc* kasztelanom. W końcu widzimy na dworze Leszka Białego urząd *iudex curiae*, a równocześnie *paedagogus-nutritor* ma tam podrzędne już znaczenie. Książęta pookrawali stopniowo przemożnych *comites palatii*, którzy z pedagogów doszli do tego, że wydzierali władzę z rąk swych panów.

Otóż ten *paedagogus* zwał się po polsku „piast". Dawni tłómacze słowiańscy ksiąg liturgicznych greckich, tłómaczą wyraz παιδαγωγός przez pěstunъ. Słowo to jest we wszystkich językach słowiańskich; weszło nawet do litewskiego i madiarskiego, co jest dowodem jego starożytności.

Co do tradycyi u Galla, składa się ona zdaniem Wojciechowskiego z dwóch pierwiastków; z tradycyi i z mytów pomieszanych z faktami historycznemi i politycznemi. Te pierwiastki należy od siebie oddzielić. Myt o wieśniaku ubogim a uczciwym, nagrodzonym cudownie za gościnność, jest bardzo stary; należy wogóle do dawnych Aryów, a ma związek z greckim mytem o Filemonie i Baucydzie. Bohatér wersyi polskiéj nosi nazwę „Piasta", ponieważ legenda z imienia pospolitego

zrobiła własne. „Imiona Filemona i Piasta, chociaż etymologicznie różne, wypowiadają przecież jednę i tę samą myśl. Czasownik μφίλημα—φιλέω wyraża główne: przyjacielskie przyjęcie i opiekę gospodarską nad miłym gościem; u Homera miał wyłącznie takie znaczenie; późniéj znaczył téż: całować, pieścić, piastować, skąd rzeczownik φίλημα całus, pieszczota. Że imię Piasta ma w baśni polskiéj takie samo znaczenie, jest rzeczą jasną. Piast, to nietylko *nutritor*, który nakarmił swych gości; bo gdyby trzymać się ściśle pisowni Galla: Pazt, mielibyśmy jeszcze rozszerzony zakres pierwiastka etymologicznego, w znaczeniu: opiekuna i obrońcy, rozumié się—obrońcy owych gości, których skądinąd niemiłosiernie wyrzucono." Cała zaś ta legenda przylgnęła do założyciela dynastyi, bo ten był rzeczywiście „piastem", zasiadając na urzędzie tego imienia. Pomieszano dwa znaczenia wyrazu. Wyjaśnienie to usuwa zarazem trudności co do chłopskiego pochodzenia założyciela dynastyi; ten wieśniak kronikarza, toć to wieśniak z legendy, nazwany w niéj piastem.

Autor zajmuje się dalszemi szczegółami podania Gallusa. Popiela uważa za osobę historyczną; był to ostatni książę dynastyi poprzedniéj, a przybrał postać mityczną, z powodu legendy o myszach, która jest téż pochodzenia aryjskiego. Również mniema autor, że miejsce zamieszkania Piasta *in suburbio Gniezna* zgodne jest z rzeczywistością, bo *suburbia* miały ludność wyłącznie szlachecką. Gallus zapisuje dwukrotnie imię ojca Piasta „Chossisco", co kilku historyków uważało za przydomek Popiela. Pisze: „Pazt filius Chosisconis", a drugi raz, w inném miejscu „Semovit filius Pazt Chosisconis". Autor mniema, że dobrą jest druga lekcya, że Ziemowit był synem Chociszki, piasta (*nutritor*) na dworze Popiela i że ten Ziemowit zabrał Popielowi tron, a zarazem pojął w małżeństwo jego córkę.

Tradycya opisana u Galla powstała wśród ludu, ale krzewiło ją otoczenie dworskie w interesie dynastyi, któréj zależało na tém, ażeby zapomniano, że władzę posiedli przez uzurpacyę. Podobieństwo „piasta" z legendy z dostojnikiem „piastem" wiele tu dopomogło. Książę wolał uchodzić za potomka chłopa, umiłowanego przez bogów i przez nich obdarzonego władzą, niż za potomka wielkiego dostojnika, który jednakże nieprawnie tron posiadł.

Samo pobieżne streszczenie okazuje, że mamy przed sobą niezwykłą rzecz. Autor dotyka nadto jeszcze mnóstwa kwestyi ubocznych, wiążących się z tematem jego pracy przez ten lub ów szczegół; cały szereg cennych przyczynków do przeróżnych zagadnień rozrzucony jest po całéj książce. Obok tego dosyć téż pomysłów, hypotez, które wzbudzają wielkie powątpiewanie, np. wywód cały o imieniu Rzepichy,

żony Piasta, lub przypuszczenie, że „*comes*” nazywał się po polsku „kmieć”.

Co do jądra rzeczy, należy uważać za udowodnione, że nie było Piasta, ale tylko piast. Czy jednak piast Chociszko doszedł do tronu drogą gwałtu i uzurpacyi? toby trzeba dopiéro udowodnić.

Nietylko dla samego piasta rzekomego Piasta, ale dla całego jego potomstwa był ten czas w historyografii bardzo szczęśliwy; wszyscy ulegli gruntownéj rewizyi naukowéj.

Oto mamy pomnikowe zaiste dzieło Oswalda Balzera. „Genealogia Piastów”. Wiadomo, że w rozrodzonéj dynastyi był już nieraz kłopot dla historyków z niejedną kwestyą genealogiczną; ale teraz dopiero dzięki benektyńskiéj pracy Balzera widzimy, że o większéj części podobnych kwestyi nie wiedzieliśmy zgoła! Co za obfitość szczegółów historycznych, nie przeczuwanych nawet! Pod względem zaś metody, sumienności, pracy, jest to arcydzieło pilności i usilności. Nie jestem skłonny bynajmniéj do superlatywów; ale temu dziełu należy się bezwzględnie przydomek: pomnikowego.

Foliant o 574 stronicach *in 4-to*, powstał „przygodnie, jako przygotowanie do innéj pracy, która nie mogła być dokonana bez dokładnéj znajomości stosunków genealogicznych w rodzie Piastów” (Balzer przygotowuje monografię prawa spadkowego w Polsce). Cóż to za człowiek, co za organizm, co za potęga umysłu, która „przygodnie” wydaje sobie dzieło, które samo jedno starczyłoby już najzupełniéj za pracę całego życia. Oczywiście, że takich wielu być nie może; niech się tylko w każdém pokoleniu znajdzie jeden Balzer, będziemy wołali: „*sursum corda*”.

Układ dzieła jest następujący: Na czele dwanaście tablic genealogicznych, sięgających od Ziemomysła, ojca Mieszka I-go, do wygaśnięcia Piastów mazowieckich r. 1526, z pominięciem jednakże Piastów ślązkich. Tablice te ułożone nader przejrzyście i praktycznie; do każdego nazwiska dodano datę urodzin, zaręczyn lub ślubu i śmierci; z któréj żony zrodzony który potomek, oznaczono za pomocą liczb rzymskich; pochodzenie nieślubne oznacza litera *N.* nad nazwiskiem umieszczona. Każda tablica ma swój numer rzymski, a wszystkie osoby pewnéj tablicy oznaczone porządkową liczbą arabską. W ten sposób wszystkich Piastów wymienionych w tych tablicach można cytować numeracyą, np. VIII, 6, znaczy: Kazimierz Wielki, jako osoba oznaczona liczbą 6 na tablicy VIII. Te same cyfry znajdują się, u góry każdéj stronicy całéj grubéj księgi; chcąc tedy odszukać tekst do spraw genealogicznych Kazimierza W., przerzuca się ćwiartki, aż się dojdzie do VIII, 6. Chcąc zaś znaleść np. rzecz o Krystynie Rokiczańskiej,

Prażance i żonie Kazimierza Wielkiego, trzeba wśród stronic opatrzonych znakiem VIII, 6 odszukać rozdział 5-ty, bo Rokiczana jest piątą z rzędu wśród narzeczonych i żon tego króla na tablicy VIII-éj. Na pytanie zaś np. czyją żona była Rokiczana? odpowiada dodany na końcu „Spis Piastów", odsyłając do VIII, 6, t. j. do tablicy. Przewidziano téż możliwość pytania w téj formie: Czy Rokiczana należy do rodziny Piastowskiéj? W tym celu ułożył autor dwa rejestry abecadłowe osób, ów wspomniany już „Spis Piastów" i drugi jeszcze: „Wykaz Piastów rzekomych" — decyduje, w którym rejestrze imię umieszczone. Ponieważ autor Rokiczanę umieszcza w „Spisie", uważa ją przeto za małżonkę królewską, a motywa do tego znajdziemy zestawione wyczerpująco za pomocą znaku VIII, 6. Wykaz rzekomych Piastów obejmuje około (*sic*) 400, czterechset nazwisk! To samo najlepiéj już ilustruje, jak żmudną była praca Balzera, a jaką jest jego zasługa. Weźmy jeszcze taki przykład: Chcemy się poinformować o małżeństwie Witołda z księżniczką mazowiecką—Mężowie Piastówien uwzględnieni są w obudwóch rejestrach, szukamy przeto wyrazu „Witołd". Nie znalazłszy go w „spisie", odszukujemy w „wykazie rzekomych", z krótką notą, że to mąż Anny, córki Ziemowita III-go mazowieckiego i z odsyłaczem X, 6. Na tablicy X mamy pod nr. 6 zapisane, że owa „żona Witołda" była mniszką u Dominikanek w Raciborzu; a zatém za mąż nie wychodziła całkiem, stąd téż Witołd figuruje w „wykazie rzekomych? Dlaczego? na to poszukajmy odpowiedzi w tekście książki, na stronicach oznaczonych u góry sygnaturą X 6 i znajdujemy cały aparat naukowy.

W tekście książki, nazwanym skromnie „Objaśnieniami" (do tablic), znajdujemy nietylko wszechstronne i wyczerpujące dowody do dat podanych w tablicach, ale po większéj części formalne biografie. Ile przy téj sposobności wyjaśniono szczegółów ważnych do stosunków politycznych, tego nie zliczyć! Nie sposób będzie odtąd opracowywać jakikolwiek temat z doby Piastowskiéj, nie poradziwszy się poprzednio dzieła Balzera; cały zaś szereg spornych dotychczas kwestyi teraz dopiéro się rozstrzygnie. W jaki sposób pisane są te „objaśnienia", okażmy na przykładach.

Mieszko I. (I. 2). Najpierw kwestya, jak się właściwie nazywał u współczesnych: Mieczysław czy Mieszko? Zestawienie rozmaitych form jego imienia w źródłach; forma Mieczysław rozpowszechnia się dopiéro przez Długosza; forma Miseco przyjęta przez Zeissberga, musi być odrzucona, jako niezgodna z duchem języka. Trzeba jednak jeszcze rozprawić się z przypuszczeniem, jakoby ten książę nazywał się jeszcze Dagonem, na podstawie znanéj zapiski w *Liber pontificalis:*

„Dagone iudex et Ote senatrix”. Potém poszukiwanie daty urodzin, r ó ż n i e w źródłach zapisanéj. Następnie stwierdzenie, kiedy po raz pierwszy występuje w historyi. (Data chrztu odłożona do rozdziału o Dubrawce). Następuje zebranie kryteryów do daty śmierci, o rok nie ma wielkich trudności — ale co do daty dnia, trzeba się na całych dwóch stronicach borykać z przeróżnemi notatkami rocznikarskiemi. Do tego artykułu 47 cytat źródłowych, z uwzględnieniem prac Miklosicha, Zeissberga, Lewickiego, Maciejowskiego, Przezdzieckiego, Łaguny, Lappenberga, Bielowskiego, Semkowicza, Roepella, Grünhagena, Abrahama, Stumpfa — którzy w przeróżnych dziełach wspomnieli o tém i owém, co do ustalenia dat z życia Mieszka I, może być przydatném. Teraz zacznie się rzecz o żonach tego księcia. Najpierw pogańskie wielożeństwo, potém Dubrawka. Znów kwestya, jak brzmiało właściwie to imię: Dobrawa, Dobrówka, Dąbrówka, Dubrawka i Bona. Czyją była córką? Źródła wymieniają, jako jéj ojca, książąt czeskich: Wratysława I, Wacława I św., Bolesława I Srogiego i Bolesława II Pobożnego. Naruszewicz pierwszy oświadczył się za Bolesławem Srogim; już się to przyjęło, a Balzer stwierdza tylko, że Naruszewicz miał racyę. Kiedyż się urodziła? W jakim mogła być wieku, wychodząc za Mieszka? Kiedy to się stało? Przyjmując ustalone już twierdzenie, że ślub był w r. 965, a chrzest Mieszka dopiéro 966, przechodzi autor w krótkości cały odnośny aparat źródłowy. Nigdy bowiem, w całym ciągu olbrzymiego swego dzieła, nie poprzestaje na niczyjéj powadze; jeżeli zgadza się z wynikami poprzedników, czyni to tylko dlatego, że sam zawsze samodzielnie do tego samego doszedł rezultatu; natenczas zaznacza, że to nie jest rzeczą nową i wymienia, czyją zasługą odkrycie — ale sprawdza wszystko tak, jak gdyby sam pierwszy dopiéro poruszał daną kwestyę. Temu to nieustannemu s p r a w d z a n i u zawdzięczamy całe seciny cennych sprostowań. Śmierć Dubrawki ma datę jednomyślną w źródłach. Pozostaje jednak jeszcze rozprawić się z błędném mniemaniem, jakoby Dubrawka była przedtém żoną Guntera, margrabi miśnijskiego. O tém traktuje osobno I, 12, a., w artykule poświęconym „rzekomemu Piastowi” Guncelinowi.—Do artykułu o Dubrawce cytat 39; potrzebne były prace Zeissberga, Naruszewicza, Palackiego, Roepella, Przezdzieckiego, Grünhagena, Abrahama.—Druga żona Mieszka I-go: Oda. Znów to samo: czyja córka, data zaślubin, śmierci, czy wyszła powtórnie za mąż? A przy „sposobności” krytyka aktu owego, zwanego „darowizną Gniezna”, w którym Dagone *iudex et Ote senatrix et filii eorum Misica et Lambertus* zapisują Polskę św. Piotrowi. Przegląd różnych prób tłumaczenia te-

go aktu, podanie nowéj hypotezy o jego genezie: „Dagone” jest Mieszko I, powstałe z korrupcyi *EGO‿ME* (*sico*). — Przypisków do artykułu o Odzie 25; z opracowań uwzględnieni: Giesebrecht, Naruszewicz, Wagilewicz, Zeissberg, Hübner, Barthold, Cohn, Przezdziecki, Grünhagen, Bielowski, Lelewel, Kętrzyński. — Potém trzeba wykazać, że Geina i Thyra, żony Mieszka I, należą do „rzekomych” Piastów; szczegóły w artykule o Sygrydzie Dumnej (I q.) córce Mieszka. Załatwił się autor dopiéro z żonami Mieszka I. Ale książę ten miał rodzeństwo: trzech braci i siostrę! Jeszcze dziesięć stronic *quarto* ścisłego druku! Gdzie kwestya jasna, tam autor ścieśnia się, gdzie rezultat zgodny z otrzymanym już przez kogo innego, tam poprzestaje na sumarycznym przeglądzie swego aparatu — ale nie cofnie się przed żadném zagadnieniem, uważaném powszechnie za przepadłe i tak długo ślęczy nad gmatwaniną, aż węzeł rozwiąże. Niezrównany jest Balzer jako sędzia śledczy w najbardziéj zakazanych zakamarkach średniowiecznéj annalistyki i w najbardziéj osławionych zakrętach bałamutnego kronikarstwa. Roi się jego praca od misternych arcydzieł tego istnego filigranu historycznego kunsztu. Np. to rodzeństwo Mieszka I. Najstarszy brat, nieznany z imienia nawet, ale go odkrył, opisał, stwierdził i jak się dało, chronologicznie osadził! Nawiasem mówiąc, dokazać musiał Balzer téj sztuki w ciągu swéj „Genealogii” siedmdziesiąt trzy razy! To taki miłośnik nauki! tak przed żadnym trudem się nie cofnie!

Łatwe było zadanie z drugim bratem Mieszka Czciborem (Cidebur). Ale za to ile roboty o trzeciego, o Prokuja! Lelewel i Wattenbach nie uważali go całkiem za Piasta. Trzeba tedy zaczynać sprawę *ab ovo* i rozstrzygać wszystkie wątpliwości, rozbierać wszelkie zarzuty; żadnego z nich autor nie lekceważy, rozprawiając się nawet z temi, o których wspomina „dla dokładności, nie dla wagi.” Mamy więc zebrane dowody, że Prokuj, to nie Gyula węgierski lub siedmiogrodzki; w tym celu trzeba przerobić także historyę polityczną Polski i Węgier około r. 1002. Przy téj zaś sposobności poprze się twierdzenie Kętrzyńskiego, że Kraków już za Mieszka I należał do państwa polskiego. Za Bolesława Chrobrego siedział Prokuj przez jakiś czas na Słowaczyźnie. Następnie stwierdza się wiadomość o żonie Prokuja — i przechodzi do siostry jego i Mieszka: Adelajdy Białéj Kniegini (I, 6). Księżniczką tą zajmowali się już tylekroć uczeni polscy, węgierscy i niemieccy. Rozstrzygnięcie sporu co do jéj osoby stanowi o doniosłych kwestyach politycznych, a między innemi występuje tu na pierwszy plan zagadnienie: Kto był matką św. Szczepana? Polskie źródła twierdzą, że Gejza pojął za żonę siostrę Mieszka, Adelajdę, kiedy węgierskie zgoła

nic o tém nie wiedzą, notując tylko małżeństwo z Saroltą Siedmiogrodzką. Historycy jedni przyjmowali wyłącznie wersyę polską, inni wyłącznie węgierską; niektórzy przyjmują, że był dwa razy żonaty, różniąc się jednak co do kolei małżonek, od czego zawisła znów kwestya macierzyństwa św. Szczepana. Węgierskie żywoty św. Szczepana milczą zupełnie o jego matce, a przytém najwcześniejsze zabytki dziejopisarskie pochodzą tam dopiéro z XIII wieku. Kronika węgiersko-polska pochodzi z końca XII wieku, ale jest źródłem osławioném z bałamutności. Rozjemcą jest—jak często—Thietmar, notujący wyraźnie „Beleknegini"—ale on nie wspomina, jakoby była siostrą Mieczysława. Kłopotu tedy autorowi nie braknie. Obok tego trzeba było rozpatrzéć krytycznie cały materyał źródłowy odnoszący się do Sarolty. Małżeństwo jéj z Gejzą niewątpliwe — któraż była pierwszą żoną? Autor stwierdza, że gdyby Sarolta była dokonała nawrócenia Węgier, byłoby to nastąpiło według wschodniego obrządku, a tymczasem współczesne zachodnie źródła, i to nie historyograficzne, lecz t. z. bezpośrednie stwierdzają, że wiara przybyła na Węgry z Zachodu; równocześnie téż następuje polityczne zbliżenie się do Zachodu. Nadto wykazuje autor, że w pierwszych dziesiątkach lat po przyjęciu chrześciaństwa Węgry utrzymywały ożywione stosunki z Polską właśnie na polu kościelném. Przeszedłszy dopiéro te wszystkie sprawy, konkluduje Balzer, że Adelajda była drugą żoną Gejzy. Potém dochodzi daty zaślubin, którą podaje na przed 972, a skoro św. Szczepan ur. 975, więc Adelajda była jego matką, a Thietmar ma racyę, nazywając Prokuja jego wujem [1]). Artykuł o Adelajdzie ma cytat 65 — obszar źródeł i opracowań zużytych do aparatu naukowego jest prawdziwie imponujący. Na zakończenie rzeczy o rodzeństwie Mieszka I, potrzeba było jednak jeszcze jednego artykułu, żeby obalić hypotezę o dwóch „rzekomych" Piastach, Odylenie i Przybywoju, którzy zdaniem autora byli prawdopodobnie przybyszami z Czech.

W artykule o córce Mieszka I, Sygrydzie Dumnéj (I q.), zamężnéj za Erykiem Zwycięskim, królem szwedzkim i duńskim, następnie zaręczonéj z królem norwegskim Olafem Tryggwessonem, a zamężnéj powtórnie za duńskim królem Swenem Ottonem Widłobrodym, trzeba się było przebijać przez zawiłe kwestye z historyi skandynawskiéj, i nie zawahał się autor uczynić tego; po drodze do... monografii o prawie spadkowém polskiém.

Widząc tę niesłychaną żarliwość dokładności, ma się wątpliwości, czy téż autor dotrwa do końca w téj nużącéj pracy. Przerzućmy się do środka pracy:

---

[1]) A zatém światło wiary otrzymały Węgry z Polski!

Konrad I mazowiecki miał dziesięcioro dzieci; najmłodsze z nich, Mieszko Chościsko (VI, 17), dożyło zaledwie kilku lat wieku. Nie należy do historyi, można było rozgrzeszyć się z téj gruntowności, w tym stopniu uprawianéj, jak widzieliśmy przy Mieszku I i jego rodzeństwie. Historyografia przekazała o nim legendę, że go myszy zjadły, podobnie, jak ongi Popiela. Długosz robi go władcą Kujaw i podaje mylną datę zgonu. Przetrzebiwszy współczesne dokumenta, wziąwszy do pomocy napisy na kielichu płockim fundowanym przez Konrada, wywodzi autor, że data urodzin tego Piasta przypadać może najwcześniéj na rok 1230, a rok śmierci 1238, podaje analistyka. Lecz teraz uważa sobie za obowiązek wytłumaczyć przydomek: Chościsko. Wykazuje, że u synów Konrada pojawiają się właśnie po raz pierwszy imiona nie używane poprzednio wcale w szeregu Piastów historycznych; Konrad dopiéro sięga po imiona dla swych synów w dobę przedchrześciańską, w dobę bajeczną i pojawiają się odtąd Ziemowity, Ziemomysły i—Chocisko, imię ojca założyciela dynastyi. Popęd do tych imion dała kronika Kadłubka, która niedawno właśnie przedtém powstała. Następnie imię Chociska zaczęto (przez pomyłkę) uważać za imię nie założyciela, a raczéj ojca założyciela dynastyi Piastów, lecz przypisano je ostatniemu księciu poprzedniéj dynastyi Popielidów. W chwili, kiedy Konrad nadawał je swojemu synowi, miało jeszcze znaczenie pierwsze, ale już wnet potém przybrało znaczenie drugie, w jakiém je widzimy w Kronice Wielkopolskiéj. W ten sposób imię to zrosło się z tradycyą o myszach, przywiązaną do osoby ostatniego Popiela—późniejsze tedy roczniki tradycyę tę przeniosły na historycznego księcia, używającego tego samego imienia, co tém łatwiéj było, że książątko to dla rychłéj śmierci całkiem było nieznane.

Koniec Piastów mazowieckich stanowi też zakończenie książki. Dokładność, benedyktyńska pieczołowitość o jak najgruntowniejsze wyzyskanie wszelkich danych, nie zmniejszyły się ani na włos w artykułach o Konradzie III Rudym, jego żonach i potomstwie.

Ilość sprostowań mylnych dat lub mylnie zrozumianych faktów, która da się dokonać i powoli też dokonaną być musi na podstawie tego dzieła, obliczyć można śmiało na jaki tysiąc; to też skutki tego dzieła w historyografii okresu piastowskiego będą się wzmagały z roku na rok.

W „Bulletin International de l'Académie des Sciences de Cracovie" za styczeń 1896, mamy podane bezpośrednie tylko sprostowania, dotyczące wyłącznie tylko dat z biografii Piastów; wykaz ten jest niedokładny, a obejmuje 20 stron druku. Dla przykładu zacytujmy coś z linii wielkopolskiéj:

Dzieci Mieszka III Starego: Otton umarł 20-go kwietnia, a nie 15 maja 1194. Żona jego nieznanego imienia była córką Jarosława Ośmiomysła, ks. Halickiego, a nie księżniczką pomorską. — Judyta była zamężną raz tylko, za Bernardem Saskim, hrabią Anhalckim, a nie była nigdy żoną Racibora, syna Bogusława Pomorskiego. Wyszła przed r. 1178 za Bernarda, który nie był nigdy żonaty z Judytą Duńską.—Elżbieta miała za pierwszego męża Sobiesława I, pomiędzy 1173 — 1177. Bolesław miał za żonę Dobrosławę, córkę Warcisława Pomorskiego. Włodzisław III Laskonogi, umarł 3 listopada, a nie 18 sierpnia 1231. Żona jego, Łucya, córka Jaromira I, ks. Rugii, zmarła 19 lutego, po r. 1208. Nieznanego dotychczas imienia córka Mieszka, zamężna za jednym ze synów Bogusława I Pomorskiego, nazywała się Salomea i wyszła za Racibora przed r. 1177; zmarła 11 maja, rok niewiadomy. Anastazya wyszła za Bogusława I, około 26 kwietnia 1177 a nie w r. 1184; umarła po 31 maja 1240; być może, że żyła jeszcze 24 lipca 1242. Kadłubek donosi, że jakiś *questor vectigalium* z Pomorza ożenił się około r. 1181 z jedną z córek Mieszka Starego. Był to Mszczuj I, późniejszy rządca Pomorza wschodniego. Tą córką jest Zwinisława, wymieniana w kilku dokumentach, jako żona Mszczuja. Z tą sprawą łączy się kwestya pochodzenia rodu książąt gdańskich, która miała już różne hypotezy. Balzer przysądza słuszność Długoszowi, że jest to dawny możnowładczy ród pomorski.

Albo też ciekawy przykład z linii mazowieckiéj: Dzieci Ziemowita IV. Do ich szeregu dodać należy przedewszystkiém Mikłusza, nieprawego łoża, legitymowanego przez cesarza Zygmunta Luksemburczyka w r. 1417. Zienowit V umarł 17 lutego, a nie 5-go marca, 1442 r. Żona jego, Małgorzata Raciborska, zmarła 5 lipca 1459, a nie po 28 czerwca 1475, jak przyjmuje Grotefend i historycy śląscy. Literatura dziejopisarska pomija jedną córkę Ziemowita IV, któréj ślad oznaczył w ostatnich czasach historyk węgierski Wertner. Jestto Jadwiga, wydana w r. 1410 za Jana Garę (z Gary), starszego żupana Temesu i Pożegi, wojewody Uzory; do niéj-to odnosi się zapewne pozycya w rachunkach dworu Władysława Jagiełły z powodu chrztu córki Ziemowita IV, pod datą 16 listopada 1393 r., którą dotychczas mylnie odnoszono do Cymbarki. Żywot téj Jadwigi bardzo awanturniczy. Cudzołożnica, otruła swego męża, popchnęła własną córkę do rozpusty; sejm presburski 1435 r. skazał ją na konfiskatę dóbr i dożywotnie więzienie. Żyła jeszcze 19 lutego 1439, a prawdopodobnie i w r. 1440. Cymbarka wyszła niedługo przed 17 lutego 1412 r. za Ernesta Żelaznego, arcyksięcia Styryi, Karyntyi i Krainy; zmarła 28 września 1429. Alexander był proboszczem kapituły gnieźnieńskiéj,

rektorem Akademii Jagielońskiéj, biskupem trydenckim, wreszcie patryarchą akwilejskim, a pod koniec r. 1439 mianowany przez Feliksa V kardynałem. Siedziby patryarszéj nigdy jednakże nie objął, wyprzedzony w tém przez kandydata antypapy, Eugeniusza IV, Ludwika Scarampi Mezzarotę; zatrzymał tedy biskupstwo trydenckie, jako komendataryusz. Pod koniec życia, po 22 lutego 1443, otrzymał probostwo katedralne św. Szczepana w Wiedniu. Umarł nie w r. 1443, jak mylnie podano na napisie grobowym w Wiedniu, ani też w r. 1442, jak mniema kilku pisarzów, lecz napewno 2 czerwca 1444 r. Amalia nie była żoną Bogusława IX Słupskiego, jak podaje Długosz a za nim wszyscy inni, lecz Wilhelma II Bogatego, landgrafa turyńskiego i margrabi miśnieńskiego; faktu tego nie dostrzegł żaden z historyków nie tylko w Polsce, ale ani w Niemczech. Ślub odbył się 16 maja 1413. Kazimierz II ks. Bełzki, umarł w r. 1442. Miał za żonę Małgorzatę, córkę Wincentego Szamotulskiego, kasztelana międzyrzeckiego, a nie siostrę jej Jadwigę, jak twierdzi Grotefend. Niesłusznie téż Grotefend odrzuca w tém miejscu informacyę Długosza i podaje datę śmierci 21 lipca, zamiast 5 listopada 1464 r. Anna, żona Włodzisława Płockiego, zmarła 15 sierpnia 1482. Grotefend myli się, twierdząc, że już nie żyła 29 marca 1481. Anna (a nie Agata) poślubiła przed 26 maja 1427 Michała Zygmuntowicza, ks. litewskiego; umarła przed 7 lutego 1435 r. — Żona Bogusława IX Słupskiego nazywała się Marya, a nie Amalia. Umarła po r. 1449. Ślub z Bogusławem odbył się pomiędzy 15 kwietnia a 16 maja 1433 r. Mylném jest twierdzenie Okolskiego, jakoby Ziemonit IV miał był jeszcze córkę Barbarę, żonę Ziemka Rościszewskiego. Do tego jeszcze biografie Eufemii, Trojdena i Katarzyny—a będziemy mieli pojęcie o doniosłości jednej dla typu wybranéj rubryki „Dzieci Ziemowita IV.”

Wystarczy dać czytelnikowi wyobrażenie o tém dziele, ono samo chwali autora najlepiéj. Kilka tylko jeszcze słów objaśnienia. Autor zajmuje się szczegółowo wszystkiemi narzeczonemi i żonami Piastów, skądkolwiekby z zagranicy pochodziły; uważa to bowiem za swój obowiązek i słusznie. Natomiast nie roztrząsa tak źródłowo cudzoziemskich mężów Piastówien; ci książęta znaleźli swych badaczów w dziejopisarstwie zagraniczném odnośnych narodów, autor cytuje tedy tylko daty, odsyłając czytelnika do prac specyalnych zagranicznych; w szczegóły wdaje się tylko wtenczas, jeżeli jest odmiennego zdania i potrzebuje je umotywować.

W dodatkach pomieszczono rzecz o niewydanym dotychczas układzie nekrologu Lubińskiego, dostarczonym autorowi przez Kętrzyńskiego.

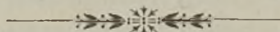
Rozstrzyga też Balzer ostatecznie sprawę o pierwotne, właściwe brzmienie imion piastowskich; mówiono tedy: Mieszko, Przemysł, Włodzisław. Sam autor używa też statecznie w całém dziele tylko tych form. Przyjmujemy z wdzięcznością do wiadomości, jak mawiali współcześni, ale swoją drogą my dzisiaj będziemy używać form dzisiejszych, bo rozwój języka ma też swoje prawa i żadna moc ludzka nie skłoni dzisiejszego pokolenia, żeby zamiast Władysław zaczęło w imię antykwarstwa mówić i pisać: Włodzisław.

Jednéj rzeczy brak tylko temu dziełu: indeksu ogólnego imion własnych. Przy sposobności poszukiwania dat genealogicznych przerobił autor jak najgruntowniéj całą niemal historyę piastowską, mnóstwo faktów mylnie pojmowanych sprostował, mnóstwo nieznanych wykrył. Twierdzę stanowczo, że gdyby te wszystkie naukowe zdobycze Balzera uporządkować, powstałby nowy zrąb dziejów tego okresu; ale nikt się nawet nie domyśla, co za skarby tam się kryją, kto całéj książki nie przewertował; ten zaś, który czytał, czyż wszystko w pamięci zatrzyma? Gdyby był taki indeks imion własnych, dzieło mogłoby być należycie wyzyskaném; każdy zabierający się do pracy z okresu piastowskiego wiedziałby odrazu, że w tém dziele znajdzie też dla siebie wskazówki; bez indeksu zaś może się wydarzyć, że w niejednéj pracy pominięte będą rezultaty Balzera, bo trzeba za każdym razem odczytać na nowo całą księgę; a pominięte być mogą tém łatwiéj, że jest tam mnóstwo spraw poruszanych takich, o których nikt z góry przypuszczać nie może, że i one mają też związek z genealogią Piastów. W interesie tedy szybkiego postępu nauki powinna Akademia o taki indeks się postarać i dodatkowo jaknajrychléj go wydać; nie trzeba na to absorbować cennego czasu autora, wystarczy, gdy on nad tém obejmie tylko nadzór.

Felix Koneczny.



Szkolnictwo w Księstwie warszawskiém.



Krótka bardzo epoka istnienia utworzonego przez Napoleona Księstwa warszawskiego, odznacza się wielce ruchliwą pracą we wszystkich kierunkach życia narodowego, które w tym czasie po kilkoletnim letargu poczyna się nanowo. Ruchliwość taka daje się łatwo zauważyć przedewszystkiém w kierunku oświaty, na którą już koniec XVIII w. silny położył nacisk, powołując do życia komisyę edukacyjną, właściwie pierwsze w Europie ministeryum oświaty. Właśnie ów rąbek, osłaniający szkolnictwo z tych czasów, tak mało badanych dotychczas, uchylił przed nami Henryk Konic w wybornéj swéj pracy p. t. „Kartka z dziejów oświaty w Polsce", mieszczącéj w sobie charakterystykę władz oświecenia publicznego i oświatę elementarną w Księstwie. Pierwsza część dzieła powyższego poświęcona jest charakterystyce dwóch kolejno po sobie istniejących instytucyi naukowych: Izby edukacyjnéj i Dyrekcyi edukacyi narodowéj, zaś druga część rozpatruje niższe zakłady naukowe w Księstwie. Każdéj z nich poświęćmy słów kilka, streszczając przed szerszém gronem czytelników tę cenną a ze wszech miar godną baczniejszéj uwagi pracę Konica.

Z chwilą powstania Księstwa warszawskiego w r. 1807 została powołaną do życia Izba edukacyjna przez komisyę rządzącą, która poddała ją pod zwierzchnictwo ministeryum spraw wewnętrznych. Nie była ona tedy wedle prawa instytucyą państwową samodzielną, nieza-

leżną w zakresie wychowania publicznego, jak np. komisya edukacyjna niegdyś, atoli w rzeczywistości, mając zupełną swobodę działania, nie była krępowana w swych czynnościach ani przez komisyę rządzącą, ani przez ministeryum, którego rola polegała przeważnie tylko na zatwierdzaniu niektórych jéj uchwał lub pensyi nauczycieli. Pierwszymi członkami Izby, których było wogóle ośmiu z prezesem Stanisławem Potockim na czele, widzimy takich ludzi, jak głośny twórca „Słownika polskiego" Bogumił Linde, ks. Stanisław Staszic, ks. Kopczyński i t. d. Pod zwierzchnictwo Izby poddano wszystkie zakłady naukowe w Księstwie, a w ich liczbie i szkołę prawa, będącą pod zwierzchnictwem ministeryum sprawiedliwości, i dwie szkoły wojskowe: w Kaliszu i Chełmnie, powierzono jéj kontroli. Mając tedy przyznane sobie dość rozległe atrybucye i rozległy zakres działania, Izba rozpoczęła działalność niezmiernie energiczną około podniesienia poziomu szkolnictwa, na które dotychczasowy rząd pruski zwracał wprawdzie baczniejszą uwagę, otwierając wciąż nowe zakłady naukowe (Liceum warszawskie, gimnazyum w Poznaniu, seminaryum nauczycielskie w Łowiczu i Poznaniu, szkoła wojskowa czyli kadetów w Kaliszu i Chełmnie), ale jednocześnie tamował swobodny jego rozwój, uważając je za narzędzie swéj polityki germanizacyjnéj, w którym to celu język ojczysty wyrugowano ze szkół i sprowadzono nauczycieli niemców. Wojna francusko-pruska, poprzedzająca utworzenie Księstwa warszawskiego, zadała dotkliwy cios szkolnictwu; Izba edukacyjna w raporcie swoim z r. 1808 tak kréśli stan szkół owoczesny: „Uczniowie rozproszeni, domy szkolne na szpitale, magazyny i inne potrzeby wojskowe zajęte, dochody przerwane, a nauczyciele niepewni losu czekali dzielnéj opieki rządu." Przedewszystkiém tedy zadaniem Izby było puszczenie w ruch prawidłowy machiny szkolniczéj. Jakoż wydała ona odezwę do wszystkich większych obywateli ziemskich z prośbą o współdziałanie i pomoc materyalną przy otwieraniu całego szeregu szkółek elementarnych po wsiach lub miasteczkach. Następnie uporządkowała w możliwy sposób fundusze szkolne, będące dotychczas w stanie opłakanym, i przystąpiła do otwierania średnich zakładów naukowych, jak np. szkoły departamentowéj w Sejnach i Bydgoszczy, szkoły wydziałowéj we Wschowie, szkoły lekarskiéj w Warszawie z programem uniwersyteckim i t. d., a prócz tego przekształciła seminaryum nauczycielskie i obie szkoły wojskowe, zreformowawszy program nauk. Po przyłączeniu w roku 1809 do księstwa części austryackiego, gdzie stan oświaty również jak i byt materyalny był rozpaczliwy, zajęła się z niemniejszą gorliwością szkolnictwem elementarném i w téj nowo-przyłączonéj dzielnicy, zakładając przytém i średnie zakłady naukowe,

jak np. szkołę departamentową w Lublinie, wydziałową w Hrubieszowie i t. d. Wszystkie szkółki elementarne były utrzymywane wogóle ze składek, wnoszonych przez wieśniaków i mieszczan, ponieważ fundusze, któremi izba rozporządzała, były zbyt szczupłe, wynosiły bowiem po przyłączeniu zaboru austryackiego 1,945,000 złp. (na sumę tę składały się dochody z dóbr pojezuickich, będących niegdyś pod rozporządzeniem komisyi edukacyjnéj i subsydya stałe ze skarbu państwa). Obok tego zasługuje na uwagę utworzenie przez izbę w r. 1810 Towarzystwa do ksiąg elementarnych, na wzór takiéjże instytucyi istniejącéj za czasów komisyi edukacyjnéj. Zadaniem jego było rozpatrywanie wszelkich książek szkolnych, wychodzących w kraju i zagranicą, i rękopisów podręczników naukowych, nadsyłanych mu przez izbę, a następnie składanie o nich wymotywowanéj należycie i szczegółowéj opinii izbie, która pozostawiła sobie prawo ostatecznéj decyzyi przyjęcia lub odrzucenia danéj książki. Towarzystwo to i po zniesieniu izby istniało daléj pod zwierzchnictwem nowéj instytucyi, a mianowicie Dyrekcyi edukacyi narodowéj.—Właściwie obrazu całkowitéj działalności izby edukacyjnéj autor w książce swéj nie podaje, poprzestając tylko na skreśleniu jéj pracy około podniesienia oświaty elementarnéj (co prawda jest to najważniejsza część jéj działalności), a pomijając stosunek jéj do średnich i wyższych zakładów naukowych, jak np. do akademii krakowskiéj, na którą zwróciła ona szczególniejszą uwagę.

Po krótkim ale niezmiernie ruchliwym żywocie pożyteczna ta instytucya przestaje istniéć, a natomiast dekret księcia warszawskiego z r. 1810 powołuje do życia Dyrekcyę edukacyi narodowéj, która wszakże dopiéro na początku 1812 roku rozpoczyna swoją działalność, będąc, jak i jéj poprzedniczka, oddaną pod zwierzchnictwo ministra spraw wewnętrznych. Składała się ona z sześciu członków rzeczywistych, dziewięciu honorowych, dyrektora, którym był w dalszym ciągu Stanisław Potocki, i sekretarza generalnego. Różnica między członkami rzeczywistymi a honorowymi polegała na tém tylko, że pierwsi pobierali stałą pensyę, drudzy zaś bezpłatnie spełniali swe obowiązki. W zakres czynności téj instytucyi wchodziło: kontrola nad funduszami edukacyjnemi wogóle i każdéj ze szkół osobno, władza i kontrola bezpośrednia nad wszystkiemi zakładami naukowemi i instytucyami, mającemi związek z oświatą (bibliotekami publicznemi, zbiorami naukowemi), mianowanie lub usuwanie nauczycieli, otwiéranie szkół, wybór podręczników przy pomocy Towarzystwa elementarnego i t. d., jedném słowem była to instytucya jakkolwiek stanowiąca wydział ministeryum spraw wewnętrznych, atoli mająca wszelkie znamiona niezależnéj magi-

stratury, podobnéj ze względu na zakres swych czynności do dzisiejszych ministeryów oświaty. Mając pozostawiony sobie do rozporządzenia na cele edukacyi publicznéj etat roczny w kwocie 1,574,306 zł. (mniéj niż Izba edukacyjna), Dyrekcya usiłowała daléj prowadzić sprawę oświaty, chlubnie rozpoczętą przez swą poprzedniczkę; napotykała atoli nieustanne przeszkody, z któremi wciąż musiała walczyć i to bezskutecznie; do takich należał ciągły brak funduszów skutkiem pogorszającego się stopniowo stanu ekonomicznego kraju i burz wojennych, paraliżujących prace i usiłowania téj pełnéj jaknajlepszych chęci instytucyi, która wreszcie i czasu dostatecznego nie miała, by rozwinąć całkowicie swą działalność, gdyż w r. 1815-ym przestaje już istniéć, przy nowéj organizacyi kraju, ustępując miejsca komisyi rządowéj wyznań i oświecenia.

W dalszym ciągu swéj pracy autor, dawszy ogólnikowy przegląd władz administracyjnych w dziedznie edukacyi i charakterystykę dozoru szkolnego, przechodzi do drugiéj części swego dziełka, poświęconéj szczegółowemu rozpatrzeniu ustroju szkolnictwa elementarnego w Księstwie, jakiém je uczyniła izba edukacyjna, a następnie utrzymała dyrekcya edukacyi narodowéj.

Poraz pierwszy na oświatę początkową zwróciła u nas uwagę komisya edukacyjna, wydając ustawę, tyczącą się organizacyi szkółek elementarnych, i wkładając na proboszczów wiejskich obowiązek ich zakładania i utrzymywania z ofiarności publicznéj; szkółki te, wedle brzmienia ustawy komisyi, były niemal całkowitą własnością plebanów, stojących na czele parafii. Rząd pruski, opiekując się oświatą elementarną, również otwierał i utrzymywał szkółki ze składek mieszkańców (włościan i mieszczan), usiłując atoli usunąć je z pod wpływu duchowieństwa i wprowadzając do nich język niemiecki; prostém następstwem téj okoliczności było to, że za czasów pruskich szkolnictwo elementarne nie wydało prawie żadnych owoców, gdyż szkoła niemiecka i nauczyciel cudzoziemiec nie mógł żadną miarą zyskać zaufania wśród ludności miejscowéj. Ilość szkółek początkowych za czasów pruskich była stosunkowo niezbyt wielka, gdyż na 2,600,000 ludności w dwóch ostatnich zaborach (późniéj sześć departamentów Księstwa) liczono ich 144. Izba edukacyjna, przejąwszy sprawę oświaty, gorliwie zajęła się zwiększeniem ilości szkół początkowych, których w roku 1808-ym liczono już 578, a w roku 1814-ym, jak to widzimy z wykazów statystycznych, dochodzi ona do poważnéj cyfry 1490 w całém Księstwie, liczącém wówczas przeszło 4,000,000 mieszkańców, zaś uczniów płci obojga w tymże roku uczęszczało do tych szkółek 44,670.

Kwestyę funduszów, potrzebnych na utrzymanie szkół elementarnych izba pozostawiła również pieczy samych mieszkańców z tą atoli różnicą, że gdy komisya edukacyjna za pośrednictwem duchowieństwa odwoływała się do ich ofiarności i wysokość składek rocznych pozostawiła dobréj ich woli, izba usiłowała wprowadzić stały określony podatek szkolny, zmierzając przytém do przeprowadzenia zasady obowiązkowego utrzymywania szkół już nietylko w każdéj gminie, ale nawet w każdéj wsi i każdém miasteczku.

Atoli cała doniosłość i postępowość prac izby edukacyjnéj wystąpi w pełni przed nami dopiéro wówczas, gdy się przypatrzymy wewnętrznemu ustrojowi szkolnictwa elementarnego za jéj czasów. System nauczania i sam program nauk dla szkółek początkowych lub podwydziałowych był oparty na rozumnie pojętéj zasadzie wychowania praktycznego, przedewszystkiém by dać możność uczącéj się młodzieży korzystania późniéj w życiu codzienném z nabytych wiadomości, co jasno wypowiada izba we wstępie swym do wewnętrznego urządzenia szkół podwydziałowych, gdzie spotykamy następujące zdania: „Celem jest szkoły podwydziałowéj dać dobrze poznać młodzieży treść wszystkich tych nauk i umiejętności, które wykształcają obyczaje i oświecają rozum, powszechnie potrzebnemi i użytecznemi wiadomościami zaostrzają szczególniéj przemysł i wskazują obfite źródła tak prywatnéj zamożności, jak bogactw krajowych i podają niezawodne praktyczne sposoby nabycia i pomnożenia obojga. Cechą więc, zasługą i zaletą będzie dobrze urządzonéj i utrzymywanéj szkoły podwydziałowéj, kiedy każdy uczeń, który wszystkie jéj klasy chwalebnie ukończy, mieć będzie gruntowne zasady wszystkich tych wiadomości, umiejętności i talentów, za pomocą których rolnictwo, rękodzieła, handel i piękne kunszta do tak wysokiego, jak widzimy, doskonałości stopnia w krajach obcych doszły."

Wobec tak pojętego znaczenia nauki początkowéj w szkołach elementarnych, obok czytania, pisania, arytmetyki aż do reguły trzech włącznie i nauki religii i moralności, uczono jeszcze w szkółkach wiejskich zasad hygieny, początków weterynaryi, rolnictwa, pszczelnictwa, ogrodnictwa, a daléj początków geometryi praktycznéj i ogólnych zasad prawa krajowego; zaś w szkółkach miejskich zamiast rolnictwa, pszczelnictwa i ogrodownictwa zaznajamiano uczniów z przedmiotami, mającemi związek z handlem, przemysłem i rzemiosłami; zaś w szkołach dla dziewcząt uczono wszelkich robót kobiecych. W szkołach podwydziałowych zakres nauk był już z natury rzeczy znacznie obszerniejszy, tu bowiem wykładano: religię i moralność, język polski, francuski, niemiecki i łaciński, historyę powszechną i polską, geografię, arytme-

tykę, geometryę, historyę naturalną, fizykę, technologię, konstytucyę krajową, wreszcie uczono kaligrafii i rysunków, nie zaniedbując przytém, jak i w szkółkach elementarnych, ćwiczeń fizycznych. Jak widzimy tedy, plan nauk dla szkół niższych był bardzo rozległy, obejmując przedmioty nietylko ważne ze względu na przyszłe stanowisko uczniów wśród ogółu, ale także rozwijające ich umysł i dostarczające ogólnych pojęć o tém, co ich otacza w przyrodzie. Przynosi on niewątpliwie zaszczyt ówczesnéj władzy naukowéj, która, należy dodać, nietylko na stronę umysłową lub fizyczną młodzieży zwracała baczną uwagę, ale jednocześnie i na moralną, żądając w przepisach swych przedewszystkiém od nauczyciela bezwarunkowéj nieskazitelności charakteru i sumiennego spełniania swych obowiązków, co zapewniłoby mu niezbędny dla niego szacunek współobywateli i samych uczniów, dla których nauczyciel powinien być zawsze wzorem i powagą bezwzględną. Niezmiernie charakterystycznym jest i godnym uwagi pogląd władzy naukowéj na kary szkolne, które i dziś jeszcze tak różne i rozległe mają zastosowanie w wychowaniu młodzieży, aczkolwiek pedagogika dzisiejsza nie uznaje ich stanowczo za środek wychowawczy. Również i dyrekcya edukacyi narodowéj uważała karę za zło nieuniknione, które z konieczności trzeba stosować tylko w razach nadzwyczajnych; w przepisach swych instytucya ta powiada: „Zwierzchność szkolna jaknajmocniéj o tém przekonać się powinna, że utrzymanie młodzieży, edukacyę biorącej, w przyzwoitym porządku i karności nie od praw, obejmujących wszystkie powinności uczniów i wszystkie zdarzyć się mogące przewinienia, tudzież przepisujących stosownie do nich kary, ale od jéj roztropności, długiém doświadczeniem lub czytaniem książek pedagogicznych i rozmyślaniem wydoskonalonéj, od jéj nieprzerwanéj nad powierzoną sobie młodzieżą baczności i od jéj dobrego przykładu i ciągłego osób jéj między sobą porozumienia się zależy. Jeżeli rektor i nauczyciele dopełniać będą dokładnie obowiązków, jakie im własny ich rozsądek i serce wskaże, a wewnętrzne urządzenie szkół w części wymienia, pociągną tém samém najskuteczniéj uczniów do przyzwoitego sprawowania się i wiernego dopełniania powinności, a zarazem zapobiegną zdrożnościom, zasługującym na kary upadlające i niewolnicze.” W każdym razie przy wymierzaniu kary ustawa zaleca koniecznie uwzględniać charakter ucznia, przytém stanowczo wyklucza pewne rodzaje kar, niestety i dziś jeszcze stosowanych, jako to: klęczenie, szturchanie, ciągnienie za włosy i t. d., również, co dowodzi wielkiego rozumu instytucyi, zakazuje naznaczać uczenia się czego na pamięć tytułem kary, „chcemy bowiem, aby uczniowie w szkołach na-

szych tak byli od nauczycielów prowadzeni, żeby uczenie się nie za karę, lecz za największe dla siebie szczęście poczytywali."

Takiém w ogólnych zarysach było szkolnictwo elementarne w epoce Księstwa warszawskiego, takiemi były te władze naukowe, które, ojcowską, rozumną otaczając je opieką, wydały szereg ustaw, wprawdzie w owym czasie w całéj swéj rozciągłości i szczegółach nie wprowadzonych w życie, będących atoli bądź co bądź chlubném świadectwem rozumu i postępowości instytucyi naczelnych.

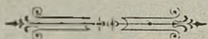
Miéjmy nadzieję, iż autor niebawem da nam również dokładny i sumiennie skréślony obraz szkół średnich i wyższych z czasów Księstwa, dla dopełnienia całokształtu dziejów szkolnictwa z owéj tak mało wogóle zbadanéj w swych szczegółach epoki.

I. Nitowski.



Obrazy i obrazki społeczne.

BEZDOMNI.



Pisarz o nazwisku nieznaném, nieledwie, jak profesor Wagner zapewnia nas w przedmowie, reporter berliński, przemówił do nas książką, któréj dwieście kilkadziesiąt kartek roztwiéra tyleż perspektyw na losy człowiecze, a każdy z 17-tu rozdziałów téj olbrzymiéj epopei nędzy i upadku i w najbardziéj wystygłém sercu obudzić potrafi litość i współczucie. Jest to jeden z tych obrazów, które w zbliżających się tygodniach zimowych będą najbardziéj aktualne, które winniśmy uprzytomnić sobie, gdy bierzemy się do pracy w ciemny poranek i kiedy o nocnéj godzinie zasypiamy pod dźwiękami płaczącego dészczu — w pokoju swoim, ogrzani i niegłodni, ze świadomością, że i następnego rana nie zapomni o nas ani piekarz, ani służący. Cóż to za obraz? Jednym wyrazem odpowiem na to pytanie: Bezdomni. Taki tytuł jest książki, którą napisał p. K. Liebich („Obdachlos", str. XVI + 256). Szkoda, że autor nie jest uczonym, ani artystą. W pierwszym wypadku ofiarowałby nam zbiór faktów, na tle których fantazya utkaćby zdołała obrazy wzorzyste; w drugim — wypełniłby i tę pracę za nas. Sam atoli, gwoli wymaganiom wydawcy zapewne, rozpuścił esencyę prawdy ekonomicznéj i społecznéj w wodzie nieudolnego opowiadania „powie-

ściowego", i z tego samego powodu musiał na ojca chrzestnego swéj pracy prosić p. Wagnera, który wypisał na wstępie kilka kartek ze swego podręcznika „Ekonomii"—w rezultacie otrzymaliśmy rzecz nieudaną. Ta fabuła nowelistyczna polega na tém, że autor daje sylwetki kilku bezdomnych w ich rozwoju historycznym: na kilku przykładach wykazuje, w jakich sposób można się stoczyć w szeregi tych potępieńców, i prowadzi ich następnie, — a nas wraz z nimi — po wszystkich kręgach tych piekieł nędzy ludzkiéj. W jaki sposób stać się można bezdomnym, na to odpowié każdemu jego własne doświadczenie, czerpane z otoczenia, z dzienników, z opowiadań. W jakiéj formie, a raczéj w jakich osłonkach ukaże się sam nagi fakt — o to mniejsza; wszystkie bowiem te formy mają jedno wspólne źródło, bezdenne, niewysychające nigdy w dobie naszéj: brak pracy. „Poszukujący zajęcia" — to istotnie jeden z typów doby współczesnéj, który odnaléść można wszędzie na samym spodzie uspołecznienia, w kuźni pracy fizycznéj i pośrodku w zawodach „wyzwolonych", i na samym szczycie, na jedwabném podścielisku pracy umysłowéj. Są i kierunki pracy umysłowéj bezdomne, są i szkoły literackie bezdomne. Mniejsza więc o to, skąd płyną te rzesze: w téj chwili ważném jest dla nas, gdzie je znaléść możemy. Pierwszym etapem takiéj wędrówki za pracą jest gościniec prowincyonalny. Słusznie i rozumnie uczynił autor, że wskazał, jako początek téj wędrówki wieś, a jako koniec pochodu Berlin. Ta siła przyciągania, którą rozporządza wielkie miasto w stosunku do wsi, nie może być pominięta w poczcie psycho-socyologicznych założeń bezdomności.

Na gościńcu spotkać można towarzystwo liczne i różnorodne. „Biédni podróżni" — tak brzmi wspólne imię, które obejmuje najróżnorodniejsze żywioły: obieżysasów, b. kupców i studentów, nawet b. oficerów znaléść tam można. Obliczono ilość tych wędrownych nędzarzy na dwieście tysięcy. Mają swój specyalny język, swoje zwyczaje, nawet kodeks, zbudowany na bezwzględny równości wszystkich. Latem o nocleg łatwo: trzeba tylko zboczyć z drogi do pobliskiego lasu, albo wyszukać w polu stertę, pod którą przespać się można. Zazwyczaj podróżują gromadnie. Gospody t. zw. chrześciańskie, w których nie ma napojów wyskokowych i które zresztą są często dość oddalone jedna od drugiéj — nie cieszą się względami téj publiczności. W szynku przydrożnym weseléj. Szynkarz, zazwyczaj skończony łotr, zajmujący się swoim procederem pomiędzy jedném a drugiém uwięzieniem, umié dogadzać życzeniom swoich gości, których poglądy obyczajowo-etyczne bywają niekiedy zupełnie niemożliwe. Zasady równości, wspominane przed chwilą, przybierają charakter specyalny,

wszyscy bowiem jednakowo łupią i okradają siebie nawzajem: kodeks karny, obowiązujący tutaj, sprowadza się do *lynchu*. Bohatér naszéj opowieści, młody robotnik Wilhelm, który przed miesiącem stracił miejsce w warsztacie, spotyka, będąc już bez grosza, dobrane towarzystwo wędrowne. Nie puszczają go już od siebie, jakkolwiek ma szczery zamiar dotarcia do najbliższéj „stacyi dobroczynnéj". Noc spędzają w polu pod stertami, nad ranem znajdują ich tam chłopi, przed którymi muszą ratować się ucieczką. Wreszcie znajdują pewną wioskę, z któréj należy wyciągnąć, co się da. Wilhelm otrzymuje pewien obręb który ma obejść po prośbie. Jeszcze nie zepsuty, szczerze gardzący otaczającymi go już zupełnie skończonymi łotrzykami, probuje i tutaj szukać pracy. We wsi jest gorzelnia. Znajduje majstra i prosi o zajęcie.—„Czyś pracował już w wielkim warsztacie?"—„Nie." — „W takim razie nie mam miejsca dla ciebie, zresztą wydajesz mi się zbyt słabym." Więc rekuza. Majster jednak i czeladnicy składają mu pół marki zapomogi. Idzie od drzwi do drzwi. W połowie domów każą mu się wynosić za drzwi; inni dziwią się: „tak młody, a już żebrze"; litościwe dziecko daje mu trochę chleba i mléka! Za wsią spotyka resztę towarzyszów, od których uciec zamierza. Im powiodło się lepiéj. Jeden z nich był u młynarza, drugi u rzeźnika, trzeci u pastora. U piekarza, korzystając z „okazyi", udało się ukraść kilka bułek. Ciekawą ze względów socyo-psychologicznych jest wizyta u pastora. Okolica jest ewangielicka. Po obrazie atoli Matki Bożéj poznaje łotrzyk, że jest we wsi katolickiéj. Mówi więc do księdza: „Szukam pracy. Tu u protestantów znaléść jéj nie mogę. Muszę wędrować do Bawaryi!" Wzruszony starzec daje mu pół marki i błogosławieństwo na drogę...

Następny etap — to *Verpflegungsstation*. Założone przez pastora Bodelschwingh'a przed kilkunastu laty, liczą dzisiaj blisko dwa tysiące stacyi w całém państwie i kosztują rocznie około 1½ miliona marek. Są one tak rozrzucone, że wędrowiec, z każdego punktu wychodząc i w jakimkolwiek kierunku idąc, po 4—6 godzinnym marszu, znajduje schronienie. Jeżeli jest pozbawiony środków, to mapa topograficzna stacyi wskazuje mu drogę w wędrówce; niewolno mu atoli ani zbaczać ze wskazanéj drogi, ani opuścić jednéj chociażby stacyi, w takim bowiem razie traci wszelkie prawo do pomocy. Z wieczora otrzymuje na stacyi wieczerzę, nocleg; może spędzić tam kilka godzin przedobiednich i za dokonaną pracę otrzymać dwukrotnie, rano i w południe posiłek. Po obiedzie wyrusza na dalszą wędrówkę do następnéj stacyi. Posiłek *ma* być tak obfity, aby zupełnie wystarczał na utrzymanie organizmu i nie zmuszał do żebrania. Tak brzmi teorya, inaczéj nieco ma się rzecz w praktyce. Jakkolwiek bowiem urzędownie i nomi-

nalnie wszyscy szukają pracy, to jednak zaledwie mała część szuka jéj istotnie i jest do pracy zdolna. Dlatego téż najczęściéj chroni się ta publiczność do gospody, gdzie za wyżebrane przez dzień piéniądze może znaléść nocleg za 20—30 pf., albo w karczmie za pozostałe od libacyi 5—10 pf. śpi na ławie. W gospodach i na stacyach nie przyjmują często podobnych gości ze względu na „faunę" bogatą, jaką tam ze sobą „na sobie" przynoszą. Zarząd stacyi przyzwyczaja się tak do tych bardzo licznych gości, że jednakową politykę stosuje do wszystkich. Nie potrafi już odróżniać uczciwego nędzarza, który pracy znaléść nie umié, od takíego, który pracować nie chce. Obchodzi się z nimi ostro, bez litości, niekiedy z pogardą. Natura zepsuta nie „robi sobie nic" z takiego traktowania, ale Wilhelma naprzykład musiało przyjęcie, jakiego doznał na pierwszéj stacyi, uderzyć niemile. Przybył tam około południa po 24-godzinnym poście; było już po obiedzie, więc mu jeść nic dać nie chciano, kazano drwa rąbać i czekać do 6-éj; musiał znowu wyżebrać sobie w jednéj, drugiéj, trzeciéj jadłodajni resztki z obiadu gości. Wieczorem dotarł do następnéj stacyi; jeść nie dostał wiele: talérz cienkiéj zupy mącznéj i kromkę suchego chleba, ale „ojciec" był łaskawszy i przed nocnym spoczynkiem przeczytał rozdział z Ewangielii, który uczynił na Wilhelmie duże wrażenie.

Wróćmy na chwilę do jego dawnych towarzyszów. Ci rozpoczęli dzień od tego, że z pobliskiego pola wydobyli potrzebną do śniadania ilość marchwi, poczém obeszli wieś jedną i około 2-éj po południu zawitali do pobliskiéj karczmy. Za szynkwasem zastają vice-gospodarza. Jest to zazwyczaj dzierżawca karczmy, który od miejscowego właściciela musi brać (w myśl umowy) całą ilość zapotrzebowanéj wódki i piwa. Za litr używanéj tu gorzałki płaci właściciel 30—33 pf., odprzedaje dzierżawcy za 70, ten zaś w sprzedaży detalicznéj bierze 100 czyli markę. Jest on wtajemniczony we wszystkie arkana kunsztu żebracko-złodziejskiego. Widuje u siebie najchętniéj najgorszych, ci bowiem najprędzéj wydają zdobyte fenigi. Daje im téż najlepsze wskazówki, jak uniknąć niemiłego spotkania z policyą, skupuje wyżebraną albo skradzioną odzież i t. p. Dzięki jego wskazówkom „strategicznym", udało się towarzyszom zdobyć dzisiaj poważną ilość odzienia: kilka koszul, kilka par butów, jedno skradzione palto. Podaż jest na tym rynku stale większa, niż popyt. Ceny stąd bywają skandalicznie małe. Nie wpływa to atoli bynajmniéj na humor gości. Bliższym znajomym gospodarz nie odmawia kredytu. Znajdujemy tam b. kowala, 73-letniego starca, któremu dają na krédkę dwa kieliszki wódki; po godzinie jest on z powrotem, przynosi markę w gotówce

i mnóstwo prowiantu. Po „pracy” zasiada towarzystwo do biesiady: dowcipy sypią się bez miary i liczby, każdy ma do opowiedzenia wiele ciekawego. Wieczorem zawita do karczmy wędrowny muzykant. Wtedy się rozpoczyna bal: damskiego towarzystwa nigdy nie brakuje. Ciekawa jest zresztą historya tego muzykanta. Jest to Węgier; towarzyszy mu żona z dwojgiem dzieci, które wiozą ze sobą w wózku, a spodziéwają się niebawem trzeciego. Węgra biorą pod klucz w pobliskiém mieście „za wzbronione wykonywanie muzyki”, nazajutrz idzie na jego miejsce żona „za przeciwne prawu oswobodzenie więźnia”. Węgier ucieka, a miasto otrzymuje dwoje, a po dwóch dniach trzecie dziecko „na garnuszek”. Podobno magistrat był oburzony na sąd i policyę za niespodziankę, którą mu był zesłał. Ludzie mówili: gdyby się nikt Węgra nie pytał o jego patent na wykonywanie rzemiosła, nicby się było nie stało, ale tak — *fiat justitia, pereat mundus*. Najmniéj lubianymi gośćmi w karczmie są obieżysasi. Kiedy idą z Poznańskiego do Saksonii, są zdrowi, silni, mają oblicza uczciwe. Kiedy wracają z dzielnicy buraków cukrowych do domu, są upadli: mężczyźni dotknięci zarazą szynku, dziewczęta — nierządu. Otoczenie obcoplemienne nie lubi ich, gdyż zazwyczaj obniżają cenę pracy, mając potrzeby mniejsze i skromniejsze wymagania.

Pozostawiliśmy Wilhelma na „stacyi”. Odnajdujemy go obecnie w gospodzie „pod strzechą rodzinną”. Istnieje takich gospód w Niemczech 364, które mieszczą 12,600 łóżek. W ostatnich latach spędziło tam noc 1½ miliona podróżnych rocznie. Prócz tego, korzystało z samego tylko obiadu 185,000 gości. 216 gospód łączy się z opisanemi powyżéj „stacyami”. W jednéj z takich instytucyi w połowie października spotykamy Wilhelma. Jest już w Berlinie, gdzie znajduje się ich cztery (największa posiada 150 łóżek). Zastaje w ogromnéj sali około stu towarzyszy niedoli. Pyta przedewszystkiém obecnego urzędnika, czy nie ma żadnych ofert dla pożądających pracy. Zapomniał dodać: w jakim fachu. „Czy mam z nosa pańskiego poznać, czém jesteś?”— odpowiada typowy berlińczyk. „Jestem bednarzem, ale dlatego nie masz pan prawa przemawiać tak do mnie”—rzeknie Wilhelm w poczuciu posiadania trzech marek w kieszeni. „Jeśli nie będziesz pan cicho, to każę go wyrzucić”—słyszy znowu. Miejsca nie ma (rocznie podobno bywa ofert do 15,000). Próbuje szukać. Tu żałują, że nie był wczoraj, owdzie czynią mu nadzieje na przyszłość i t. d. Wraca więc do gospody. Za resztę piéniędzy kupił kilka marek obiadowych, które mu pozwoliły przepędzić bez głodu dni kilka. Nie pozostało tedy nic więcéj, jeno żebrać. „Ojciec” atoli, któremu się podobał, pozwolił mu zostać i poradził wziąć inną, jeżeli nie może dostać fachowéj pracy.

Zgłosił się ktoś z żądaniem terminatora i on, chociaż już dawno czeladnik, przyjął miejsce za 9 mar. tygodniowéj płacy, aby się tylko uczepić o coś uczciwego: za $2^1/_2$ mar. na miesiąc wynajął sobie „łóżko” u pewnéj rodziny (zwyczaj rozpowszechniony w Niemczech po dużych miastach fabrycznych śród klasy robotniczéj, gdzie przyjmuje się na noc „na *schlafstelle*” młodych nieżonatych robotników), za co otrzymywał także ranny posiłek; jadał w kuchni ludowéj i płacił za to $5^1/_2$ m. miesięcznie. Było bardzo skąpo, ale czuł się szczęśliwym. Tymczasem jednak sezon się skończył i Wilhelm stracił miejsce. W początkach grudnia spadł duży śnieg — znalazł pracę śród zamiataczy ulicznych. Trwało to jednak trzy dni tylko, poczém znowu został na bruku.

Dom przytułku dzieli się w Berlinie na kilka części. W pierwszéj, obliczonéj na 600 głów, mieszkają rodziny całe, które wyrzucono z mieszkania za niezapłacenie komornego. Płci są podzielone, gdyż nie ma tak licznéj ilości pokoi, aby każdą rodzinę można było w oddzielnym pomieścić; dla dzieci urządzono szkołę. Za tym gmachem ciągnie się drugi przeznaczony dla osób bezrodzinnych, obliczony na 1,500 osób; zdarzało się atoli, że umiano tam pomieścić i 3,000. Każdy, kto nie ma własnéj siedziby może być przyjęty tutaj, codziennie pomiędzy 4-tą po południu i 1-ą w nocy; nawet pijanych przyjmują. Tłum różnojęzyczny, o najróżniejszych zawodach, obyczajach i „sumieniach” zbiera się tutaj: istna wieża Babel. Tych, którzy po raz pierwszy stają w sieni przytułku, ostrzega się, że mogą korzystać z téj instytucyi przez dni 5 z rzędu, poczém wynajdą sobie inne schronienie. W razie przyłapania na oszustwie grozi im się karą sześciotygodniowego więzienia. Każdego prowadzą przedewszystkiém do kąpieli. Muszą uprzednie ubranie swoje spakować w worki, te poddaje się dezinfekcyi przez parę, ogrzaną do $+ 100^0$, ... poczém „żywy inwentarz” garderoby staje się zupełnie bezpiecznym dla czystszego otoczenia. O 8-éj otrzymuje każdy 200 gramów chleba i 0,9 litra zupy. O $4^1/_2$ budzi się gości. O 5-éj jest śniadanie, po którém ci, co się podają za chorych, muszą poradzić się lekarza.

Tutaj zapukał pewnego dnia Wilhelm. Przeszedł cały kurs procedury, którą opisaliśmy przed chwilą i znalazł się wreszcie na sali z kilkudziesięciu innymi, między którymi było kilku dawnych znajomych z wędrówki. Jeden z nich był tutaj dawnym gościem, który pomimo zakazu umiał wkręcić się nie tylko na 6-tą, ale i na 15-tą noc. Ten znał już mniéjwięcéj całe towarzystwo zebrane: w tém gronie spoczywał jeden murzyn z Kamerunu, którego cywilizowała w ten sposób Europa, — były zawiadowca stacyi kolejowéj, który nieszczęśliwym

trafem wypadł z prostéj kolei swego zawodu, i stoczył się powoli na sam spód życia wielkomiejskiego, kandydat teologii, a obok tego b. obywatel ziemski.

Były to jeszcze względnie szczęśliwe chwile, które spędzał w przytułku. Za dnia szukał miejsca, wiedząc, że wieczorem otworzą mu drzwi ciepłego schronienia. Dni atoli przeszły prędko. Próbował szczęścia dni następnych, ale już 7-go dnia przyłapano go i w drodze łaski skończyło się na prostém wypędzeniu z przytułku. Rozpoczęły się więc dni żebracze. Noc całą spędzał na świeżém powietrzu, zrana wyżebrał po piekarniach trochę pieczywa, a z pierwszym otrzymanym datkiem pieniężnym zawitał do kawiarni ludowéj. Jestto instytucya, godna pilnéj uwagi. W roku 1889 powstało w Berlinie towarzystwo akcyjne, które powołało do życia już trzy wielkie halle, otwarte od 7-éj rano do 9-éj wieczór. Tutaj przez dzień cały pełno. Kręcą się handlarze starzyzny, którzy skupują od biedaków resztki „zbytecznego” odzienia, a od złodziei łup poprzednich godzin pracy. Tutaj spotkał się znowu Wilhelm z dawnymi towarzyszami podróży, i znowu musiał się do nich zbliżyć. Te dni należały do bardzo ciężkich. Kilka godzin dziennie żebrano, a za zebrane grosze raczono się w knajpach, już jawnie „złodziejskich”. Musiał wytrzymać kilka razy powtarzane podmowy okradzenia jakiéjś „góry” z bielizną w bogatéj dzielnicy. Wreszcie uciekł, i wrócił do przytułku. Wolał już otrzymać zapowiedziany chrzest więzienny, aniżeli dłużéj gnić w tém błocie. To się téż spełniło. Po pierwszéj w przytułku spędzonéj nocy zdemaskowano go i oddano w ręce policyi. Tutaj miał wytoczony proces jako włóczęga. Spędził kilka dni w więzieniu śledczém, poczém wezwano go przed stół sędziowski. Mógł powołać świadków, że się starał o pracę, ale jéj nie znalazł. Uwolniono go, i znowu znalazł się na bruku. Zwrócił się więc do biura pracy, utrzymywanego przez berlińskie towarzystwo poprawy więźniów, zostającego pod protektoratem cesarza. Latem zwracają się do biura właściciele ziemscy, potrzebujący robotników, zimą idzie z umieszczeniem gorzéj. W r. 1892-im było do umieszczenia 3,645 osób, a znaleziono zajęcie tylko dla 2,726 (z tych 836 liczyło mniéj, niż 16 lat!), przeważnie na wsi, przy zbiorach. Jeżeli robotnik taki pozostaje dłużéj w miejscu, to musi z zarobku spłacać biuru poniesione nań koszta. Z tego źródła otrzymało towarzystwo w roku zeszłym 8,000 mar. Tutaj zapukał więc Wilhelm. Urzędnik okazał się łaskawym. Zapisał nazwisko i ofiarował marki obiadowe na czas bezrobocia. Śniadania i wieczerze otrzymywał w przytułku. Wreszcie znalazła się robota. Jakiś dzierżawca z Meklemburskiego zażądał kil-

kudziesięciu robotników: w téj kompanii wyjechał Wilhelm. Prócz kilku nie było w niéj takich, którzyby jeszcze pracować chcieli, po dwu dniach rozpoczęły się burdy, a solidarność nędzy nie pozwoliła niewinnym działać bez względu na innych. I oto znowu wrócił do Berlina.

Stowarzyszenie „Opieka dla pozbawionych pracy" urządza w Berlinie w dwu miejscach co niedziela (od września do kwietnia) nabożeństwa dla bezdomnych i ofiaruje im przy téj okazyi śniadanie. Podczas ciężkiéj zimy liczba takich gości wynosi w obu kościołach od 500 do 700 każdorazowo. W r. 1892/3 około 1,200 osób korzystało z téj pomocy. Kiedy w ciemną godzinę poranku niedzielnego stanął Wilhelm przed drzwiami takiego kościoła, zastał tam już licznie zgromadzoną publiczność. O ósméj rozpoczyna się uroczystość chorałem. Potém odmawia się modlitwy przed jedzeniem, następuje śniadanie. Przemowa pastora i kilka pieśni kościelnych kończą ją. Wszystko razem trwa 1½ godziny. Gdy już mieli wychodzić, Wilhelm usłyszał, jak jeden z towarzyszących pastorowi młodych ludzi zapowiedział, że kto chce korzystać z rady, niechaj zajdzie następnego dnia do Stowarzyszenia Ewangelickiego. Z polecenia tegoż otrzymuje nasz biedak robotę na kolonii robotniczéj. Ta mieści się na przestrzeni kilku morgów; może dać schronienie 360 robotnikom, a od czasu swego powstania (od r. 1883) przyjęła ich około 4,000. W całém państwie Niemieckiém istnieje takich kolonii 25, które zawierają 3,044 miejsca a ofiarowały za przeciąg dziesięciolecia (do połowy roku 1893) 63,000 ludzi czasowe zajęcie. Koloniści nie zawsze, albo raczéj bardzo rzadko bywają zadowoleni z pobytu tamże. Praca jest ciężka, a wynagrodzenie tak małe, iż zmuszeni płacić za mieszkanie, wychodzą bez grosza w kieszeni. Tylko silni pod względem moralnym mogą wytrzymać tę ciągłą karność i nieustający przymus pracy. Zbiéra się tutaj z wyboru własnego tylko najlepsza, najmniéj zepsuta cząstka bezdomnych.

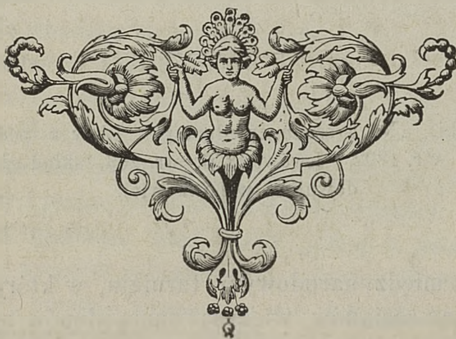
Przebiegliśmy o ile można było najtreściwiéj, całą drogę, jaką kroczy bezdomny od chwili, kiedy los wytrąci go ze zwykłéj kolei życiowéj, aż do dnia, kiedy już do żadnéj pracy okazać się może niezdolnym. Mniejsza wszakże o to, czy i że „Wilhelm" pana Liebich'a okazuje się względnie idealnym człowiekiem, któremu nie wyczerpany zasób wielu uczuć moralnych nie pozwala po półrocznéj walce uledz zepsuciu. Chodziło tu o „przedmiot" do badania, do eksperymentów, o *ein Versuchsthier*, na którymby wiwisekcyą wykonywać można długo, a bezkarnie. Wilhelmowi każe autor wrócić do rodziny, która go przyjmuje po dawnemu na swe miłujące łono, do poprzedniego majstra,

który zapomniał o wszystkiém, co było i t. d. Jestto więc wypadek najzupełniéj wyjątkowy i nie dla tego tylko ostatniego powodu: jakaż nieprzebrana mnogość jemu podobnych nędzarzy upada nie przeszedłszy nawet tak dalekiéj drogi—kędyś po jéj środku, nie wyczerpawszy nawet połowy sposobów, któremi tegoczesne społeczeństwo stara się zatkać swoje cuchnące rany.

Pan Liebich w ostatnim rozdziale, profesor Wagner w „Przedmowie”—dają trochę teoretycznego rozumowania. P. Wagner zwraca uwagę na niepokonaną trudność znalezienia warunków możliwego istnienia dla 500 — 600 tysięcy ludzi, o których zwiększa się ludność corocznie Niemiec a pośród których piąta część zaledwie emigruje. P. Liebich i w swéj teoryi wychodzi z praktycznego doświadczenia. Około Bożego Narodzenia — mówi — w styczniu i lutym zbiera się najwięcéj warunków, powodujących brak pracy: mularze nie mają po większéj części roboty; w dziedzinie towarów bławatnych, odzieży, fabryk krawieckich „sezon” przypada na jesień do Bożego Narodzenia i na wiosenne miesiące od marca do czerwca. Na resztę czasu przemysły te nie dają zajęcia znacznéj części swych pracowników. Przed dwunastu laty stowarzyszenie tokarzy podjęło badanie które wykazało, że na 230 czeladników 103 było po $7^1/_2$ tygodnia w roku bez zajęcia; czyni to (według płacy ówczesnéj) 140,000 marek rocznie. Jestto jeden tylko wypadek nie charakteryzujący nawet całkowitéj grozy położenia. Ilość żebraków, znajdujących „zarobek” w Berlinie wynosi sześć do dziesięciu tysięcy. Obliczono, że każdy zbiéra dziennie 1,30 mar., co czyni przeszło milion marek rocznie! Ilu jest w Niemczech robotników bez pracy? Dawniéj obliczano tę cyfrę na 200 — 300 tysięcy; jestto cyfra wygórowana, gdyż dyrektor towarzystwa przytułku na podstawie spisu jednorazowego obliczył tę cyfrę na 64,000; nie popełnimy jednak błędu, jeżeli minimalną liczbę bezdomnych określimy, jako tłum stutysięczny, mnóstwo bowiem kategoryi tych ludzi nie weszło do statystyki urzędowéj. Ta sama statystyka obliczyła, że przeciętny dochód żebraka wynosi około 2 marek dziennie, co w razie zamiany na podatek dobrowolny dałoby rocznie 73 miliony marek. P. Liebich — a oczywiście nie pierwszy — twierdzi, że wobec tych cyfr państwo nie czyni tutaj, co uczynićby było w możności. Są rozległe płaszczyzny moczarów i piasku, które można uczynić dostępnemi dla racyonalnéj kultury. Do téj pracy dałoby się zaprządz tych, którzy żadnéj innéj znaleźć nie są w stanie. Ziemia, doprowadzona do stanu uprawnego, może być rozdawana kolonistom za pewną płacę: wytworzy więc państwo i źródło zarobku dla mas i dochodu dla siebie. Jestto

projekt tylokrotnie podnoszony, a w parlamencie niemieckim odnawiany co zimę, że zdawałoby się, jakoby już nie mógł mieć przeciwników. Państwo atoli nic nie czyni. Dlaczego? to kwestya inna, której tu roztrząsać nie będziemy. Wiąże się ona organicznie z innemi zasadniczemi rysami układu społeczeństwa dzisiejszego.

Zen. Por.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Józef Siemiradzki. „Na kresach cywilizacyi. Listy z podróży po Ameryce południowéj, odbytéj w r. 1892.“ Lwów, 1896, str, 263, (skład główny: Spółka wydawnicza w Krakowie).

„W wielkim międzynarodowym turnieju, w którym naród każdy pragnie prześcignąć sąsiadów większą sumą plonów naukowych, zdobytych w krajach bądź całkowicie nieznanych, bądź z rozmaitych powodów trudno dostępnych, naród nasz nie zajmuje wybitnego miejsca, a nasza literatura podróżnicza, po odtrąceniu licznych felietonowych wrażeń turystów po krajach cywilizowanych, jest nader ubogą.” Tak się wyraża dr. Józef Siemiradzki w ostatniém z trzech dzieł swoich, wydanych w ciągu lat dwóch, a mianowicie: „Z Warszawy do równika” (wyd. drugie, 1895), „Za morze”, szkice z wydzieczki do Brazylii (1895) i „Na kresach cywilizacyi.” Odcień lekceważenia, dający się zauważyć w słowach: „wrażenia felietonowe” — nie jest zupełnie usprawiedliwiony, najpierw dla tego, że pomienione dzieła d-ra Siemiradzkiego złożyły się w większéj części z „felietonów”, ogłaszanych przez autora w „Czasie”, „Gazecie lwowskiéj”, „Wieku”, „Kraju” i t. d. Powtóre, owe „wrażenia” przeważają w nich tak dalece nad tém, co zwykle zaliczamy do kategoryi badań, poszukiwań umiejętnych, że trzeba było, aby sam autor wytknął nam cząstkę swych trudów, mogącą rościć prawo do tytułu „zdobyczy naukowéj.” Przebywszy setki mil stepów, „nietkniętych stopą uczonych europejskich”, nie zmierzone

obszary słonéj pustyni patagońskiéj i wiecznie zielonéj Araukanii, — stepy, lasy i góry „całkowicie nieznane uczonemu światu", dr. Siemiradzki, na czele tych trofeów podróżniczych umieszcza „odkrycie k i l k u nieznanych a potężnych pasem górskich, rzek i jezior." Nadmienia przytém, że w pomnikowém,—niezbyt wszakże znaném u nas dziele Elizeusza Reclus „La Terre", okolice zwiedzone przez naszego podróżnika opracowane zostały według jego notat i spostrzeżeń, przesłanych geografowi francuskiemu na jego życzenie; nadto, dokładny szkic drogi przebytéj przez d-ra Siemiradzkiego, jako objaśnienie do miejscowości cytowanych w tekscie książki „N a k r e s a c h c y w i l i z a c y i," znajduje się w XL-m tomie *Geographische Mittheilungen* Petermanna, za rok 1893. Owóż, po uwzględnieniu nawet tych wskazówek, najbardziéj światły i roztropny czytelnik nie zdołałby, pomimo największéj dobréj woli i pracy, odróżnić w dziele d-ra Siemiradzkiego: c o w niém posiada doniosłość istotnego odkrycia, a co jest tylko „wrażeniem felietonowem"... Dla czego?

Pytanie to ma swoją wagę w sprawozdaniu powołaném wyświetlać kwestye ogółowi nie zupełnie dostępne lub sporne, przeto pozwalamy sobie zilustrować je na przykładzie dostępniejszym, znacznie bliższym od stepów i jezior południowo-amerykańskich.

W końcu czerwca, bież. roku, jeden z piśmienników naszych zwiedził krainę niegdyś jadźwingską,—okolice Bielska, dawniéj Podlaskim zwanego, obecnie cieszącego się kwalifikacyą miasta powiatowego w guberni grodzieńskiéj (w dawnym obwodzie Białostockim). Na wschód od Bielska, wśród niw i łąk należących do obywateli miasta, w poletku czyli zmianie zwanéj Płaucze, (*vel* Płowucze, „pływające", „zapłynięte"), znajduje się nizina błotna, pastwiskowa „Kiszczyno." Miano należy z pewnością do starożytnych, gdyż w pomiarach z XVI-go stulecia, między innemi Dybowskiego, brzmi ono co do litery identycznie z dziś używaném: w Kiszczynie, na Kiszczynie, przy Kiszczynie. Dybowski nie wspomina wszakże o K o z a r s k i é j krynicy, którą na Kiszczynie wymieniają akta grodzkie z XVII i XVIII-go stulecia. W wysłowieniu dzisiejszém, krynica „Kozarska" przeobraziła się na „Kozacką",—a liche, domiérające na gruncie w porze posuchy źródełko zaledwie spostrzedz się daje na łączce, należącéj dawniéj do znanego w okolicach archeologa ś. p. Jana Tokarzewicza, dziś, do jego syna Leona. Legendę przywiązaną do owego źródełka na Kiszczynie, którą rzeczony piśmiennik słyszał w dzieciństwie (przed 45 laty) od ludzi starych, przypomniano mu obecnie — w innych warstwach ludności i w innych okolicznościach, w dosłowném, niezmąconém powtórzeniu. Oto jest: „Resztki Jadźwingów, jako społeczności niezawisłéj,

dochowały się do czasów Witołda, który chcąc z nimi skończyć, sprowadził przeciwko nim Tatarów („kozarów”). Harce i boje, przed ostateczną porażką Jaćwieży odbywały się w okolicach Bielska. Kozary następowali od północy, szeroko roztoczeni w podjazdach od istniejącego podziśdzień uroczyska Piliki do istniejących również okopów przy wsiach Rajsk i Haćki; Jadźwingi, cofając się ku południowi, ku puszczy białowieskiéj opiérali się wśród błock Białéj (wpadającéj do Orlanki), od miejscowości gdzie dziś młyn i pole bielskie Klementynowo, do dworu i osady położonéj pod samym Bielskiém, Hołowiesk (miejsce późniejszego pobytu kniazia Kurbskiego), i do wsi daléj na południe posuniętéj, Hołody. Jedno ze starć nastąpiło na Kiszczynie. Jadźwingi byli w rozsypce. Opiérał się tylko jeszcze jakiś z ich wodzów. Ku niemu to poskoczył wódz kozarski — i nagle się potknął wśród bagnisk... Utonął (z koniem czy sam—niewiadomo) w krynicy, gdzie dziś do kostek-byś nie uwiązł. Legenda dodaje, że śmierć wodza kozarskiego nie polepszyła sprawy Jadźwingów. Cofnęli się w głąb' mateczników białowieskich, w gromadkach luźnych, błąkających się czas jakiś bez ogólniejszego związku. Usiłowali jednakże oryentować się w puszczy z pomocą wysokiego stosu drzew, wzniesionego na wzgórzu i uwieńczonego jakąś kleconką błyszczącą („białą”); przedmiot ten błyszczący, widzialnym był zewsząd z wierzchołków drzew roślejszych—a dostał się on zwycięzcom, wraz z nazwą „Białowieży” dopiéro po doszczętném wyginięciu Jadźwingów.

Zróbmy teraz przypuszczenie: legenda powyższa zjawia się w druku po raz pierwszy. Ś. p. Józef Jaroszewicz utrzymywał wprawdzie (około r. 1858), że Kiszczyno i okolice Klementynowa, Rajska, Hołodów i t. d. zwiedzał w celach archeologicznych pewien inżynier jeneralnego sztabu (Borowski czy Bobrowski) a korespondencyę z nim w tym przedmiocie prowadził prof. uniwersytetu moskiewskiego Bielajew. Bardzo zatém być może, że i podanie o krynicy kozarskiéj ukazało się gdzieś, kiedyś, w jakimś zbiorze pamiętników i zapisek, — a i sam Jaroszewicz mógł o niéj wspomnieć w drugiéj edycyi pierwszego tomu „Obrazu Litwy”, którego rękopism, po zgonie ś. p. Skimborowicza, znajduje się dziś w nieznaném posiadaniu. Cóżkolwiek bądź, dobra połowa naszych historyków i starożytników nie zasłyszało prawdopodobnie dotąd o owéj krynicy... Posuńmy się więc daléj w hypotezie: Ukazuje się oto w obiegu publicznym historya Jadźwingów, napisana na podstawie dokumentów oddawna u nas znanych i używanych (kroniki Bychowca, Stryjkowskiego, Duisburga, Gallusa, mistrza Wincentego, i t. d.), a skonfrontowanych z niewyzyskaną podziśdzień i krytycznie nie obrobioną kroniką wołyńską, tudzież z rezultatami naj-

świeższych roztrząsań lub domysłów na tém polu, np. Antonowicza, Daszkiewicza, Siögrena i t. p. W historyi téj jest mowa o Holadach (z Hołodów i Hołowieska), utożsamionych z Ptolemeuszowemi „*Galindae et Sudeni*” (ks. III, rozdz. 5) i zaliczonych do Jadźwingów, o Pokieńcach kroniki wołyńskiéj siedzących tam, gdzie dziś wieś Pokaniewo (powiat bielski, gub. grodz.); o Rajgrodzie téjże kroniki, jako synonimie okopów z pod Rajska; o Bołdykiszczach i Ołdykiszczach (z téjże jeszcze kroniki) w odniesieniu do Kiszczyna i o prastaréj rodzinie Ołdakowskich, osiadłéj w najbliższém sąsiedztwie z Kiszczynem, jako potomkach kniaźków Hołodakowskich lub Holadokowskich. Wreszcie, znajdujemy w téj historyi i powołanie się na nieznaną, świéżo odkrytą krynicę kozarską z czasów Witołdowych. Alboż „odkrycie” owo miéć będzie jakąkolwiek wartość inną od téj, jaka się dla nas kryje w masie dawniéj zaznaczonych faktów i podań o Jadźwingach.? — Bynajmniéj. W nauce, w literaturze, tak samo jak i w życiu, wszystko zależy od stosunku, — a jakiż to stosunek zachodzić może pomiędzy zjawiskiem nowoprzybywającém a szeregiem zjawisk poprzednio, niegdyś i przez kogoś tam postrzeżonych, jeżeli te ostatnie stanowią szarą, nieukształtowaną, chaotyczną otchłań zdarzeń, przez specyalistów nieobrobionych i niewyklarowanych, a do świadomości ogółu przedziérających się jedynie pod postacią setki różnorodnych znaczków i brzmień, w których tylko oko i ucho, nie zaś umysł i świadomość odróżniają wodza Stekinta od przewodnika Jaszczołda, kronikę Stryjkowskiego od kroniki wołyńskiéj, Bołdykiszcza od Prywiszcza...

A skoro tak rzecz się ma z naszemi odkryciami w ziemi Jadźwingów, z którą związany jest spory kawał historyi i etnografii polskiéj, to cóż teraz i mówić o naszych odkryciach w zielonéj Araukanii lub w słonéj Patagonii?... Chwalebny to zaiste turniejowy wyścig, na którego doniosłości spostrzedz się może Petermann albo Reclus, ale w książce po polsku i dla Polaków pisanéj, sławna „gorzka studnia” (str. 70), znaleziona na stepie argentyńskim (dajmy na to po raz pierwszy od czasów Kolumba), nie wywiera ani na włos większego efektu od kozarskiéj krynicy, odszukanéj na Kiszczynie podlaskiém. We wszelkich wycieczkach, bliskich czy dalekich, zaantlantyckich czy zabużańskich, *great attraction* dla czytelnictwa, nietylko u nas, lecz w świecie całym, dotychczas składa się, nietyle z bogactwa nomenklatury geograficznéj (odwiecznéj czy świeżutkiéj), ile z żywego i dokładnego przedstawienia strony krajobrazowéj, obyczajowéj, etycznéj, estetycznéj i t. p. — ziem i ludów zwiédzanych. W tém tkwi niewysychające źródło przyjemności i pożytku, na tém się kształci umysł, z te-

go urasta wiedza, to stanowi najposilniejsze i najsmaczniejsze ziarno nauki. Dwie trzecie sławy Stanley'a urosło z „wrażeń felietonowych": *jak* Levingstona odnalazł, — nie zaś, *że* go odnalazł. I właśnież wśród takiego to felietonowego kwiecia ukrył się owoc podróży d-ra Siemiradzkiego, — to jest odnalezione przez niego zielone i słone krainy w południowéj Ameryce... Owoc ten przekazujemy przyszłym naszym wydawnictwom w rodzaju „*La Terre*" i „*Mittheilungen*", sami zaś pozwalamy sobie pozostać przy kwieciu.

Sporo go w książce. Poświęciwszy kilka miesięcy obejrzeniu kolonii rolniczych w południowéj Brazylii, autor wypłynął w d. 30-ym sierpnia 1891 r. na „mętne" wody La Platy i niebawem dotarł do stolicy Urugwaju, Montevideo, wyglądającéj zupełnie po europejsku: „ulice czyste, szerokie, porządnie budowane, piękne place i skwery; ludność biała, o typie czysto hiszpańskim; murzynów i mulatów bardzo mało." Mamy następnie, płynąc daléj „rozległą, chociaż bynajmniéj nie piękną panoramę Buenos-Aires", o wąskich ulicach i „nieskończonéj sieci tramwajów, należących do kilku rywalizujących z sobą towarzystw". Ze spostrzeżeń w tém mieście zaznaczmy, że obywatele Argentyny, „synowie kraju" oddani są całkiem polityce, to jest walce o dostęp do kasy narodowéj i nie raczą zajmować się takiemi błahostkami, jak przemysł i handel, które pozostawione są w rękach żywiołów obcych, cudzoziemców; notujemy nadto, upośledzenie kobiéty obok uroczych jéj wdzięków, zupełny brak życia towarzyskiego obok wielu obyczajów wschodnich i wychowanie dziewcząt, polegające jedynie „na bębnieniu na fortepianie i francuskiéj konwersacyi". A ponieważ podług przyjętego zwyczaju, mąż powinien utrzymywać nietylko rodzinę własną, lecz i wszystkich krewnych żony rodzaju żeńskiego, nie posiadających podpory męskiéj, przeto np. pułkownik Chodasiewicz, ożeniony z argentynką, ma przy sobie aż dziesięć takich wybębniaczek (str. 6—9). Kolonię polską, oprócz wspomnianego Chodasiewicza i p. Michała Laudańskiego, właściciela jednego z większych składów bielizny, stanowili w r. 1891 w Buenos Aires między innymi pp.: dr. Sudnik, profesor uniwersytetu, Ludwik Ganot prawnik, Michał Górski dyrektor pensyi żeńskiéj, dr. Jasiński lekarz, Wiktor Wojniłowicz ogrodnik, Rechniewski inżynier, Michał Szelągowski majster krawiecki, pani Nowalewska z córką i panna Zofia Cybulska, nauczycielka muzyki (12). O półtory godziny jazdy od B. Aires leży nowo-wybudowana stolica stanu tego imienia—Laplata, grób firmy Baringów i wielu banków europejskich, które na zbytkowną tę zabawkę rzuciły miliony. Miasto wystawione w ciągu lat 8 na czystym stepie, posiada wspaniałe pałace stojące pustkami, szerokie ulice, na których ruchu nie ma,—handel

stanął, ludność topnieje (23). Wyjazd 13 listopada na stepy, malowniczy ich opis, kolonie żydowskie bar. Hirscha, w których żydzi polscy stanowią dla administracyi hirschowskiéj najcięższą plagę, gdyż oprócz jednostek inteligentnych, przyznających się do narodowości polskiéj, oraz kilku rzemieślników, reszta handluje wyłącznie „żywym towarem i należy do wstrętnéj szajki, któréj pojedyńczych agentów łapie niekiedy u nas policya" (36); późniéj kolej na pustyni, lasy mimozowe, pierwsze zetknięcie się z czerwonoskórymi, — podniecają ciekawość, nie nużąc i nie nękając zbytnio uwagi. Idą daléj i powtarzają się monotonnie noclegi i dniówki w nieznanych górach lub wąwozach z pocztem nazw topograficznych i hydrograficznych: Marako, Lihue-Kalel, Urre-Lafken, Kura-ko... Wyszczególnienie flory niektórych okolic wygląda jak botanika Linneusza. Doznajemy niejakiéj ulgi i wypoczynku nie wcześniéj aż w dyliżansie patagońskim i podczas świąt Bożego Narodzenia spędzonych w Choele-Choel (83). Tu podróżnika opuszczają dotychczasowi jego towarzysze pp. Łaźniewski i Hempel, udający się do Chili, ażeby stamtąd przez Buenos-Aires powrócić do kraju (89). Formuje się nowa karawana do jeziora Nahuel-Huapi przez dolinę Limay, — „szeroką, obfitują w wodę, zamieszkaną przez kilku owczarzy baskijskich" (100). W drodze po przez przedgórza kordylierskie, mamy „niemiłe spotkanie" — polegające na powitaniu trzema strzałami jeźdźca-złodzieja, skradającego się nad ranem do koni karawany (104). Chów bydła w Kordylierach opowiedziany szczegółowo i zajmująco (112—115), równie jak i gaj w kotlinie rzeki Traful, do któréj prowadzi droga „wszędzie dobra, po któréj galopować można swobodnie, wśród widoków co chwila nowych, dzikich i malowniczych, pozbawionych jednak wszelkiego niemal życia: najdziwaczniéj poszarpane wulkaniczne skały w kształcie słupów, zwalisk i zamków, uwieńczonych u szczytów ząbkowaną koronką cienkich iglic trachitowych, lub téż rozpadające się w olbrzymie, jakby ręką ludzką wyciosane kolumny i baszty; są one niemal zupełnie nagie, zrzadka tylko pojedyńczemi cyprysami urozmaicone, a różowo-fioletowa ich barwa dziwnie odbija od lazuru pogodnego nieba, śnieżnych płatów na szczytach i zielonéj murawy doliny, usianéj kępami mirtów i buków" (123). Piękną jest również w Kordylierach patagońskich dolina Maipu, wzdłuż strumyka Hueczju-Ehueu, płynącego pośród wysokich śniegiem przyprószonych szczytów; jest ona wyżłobiona pomiędzy pionowemi niemal urwiskami granitowemi, a zasiana gajami mirtów, jabłoni, laurów, porastających na długiéj, mokréj łące z wybornemi pastwiskami, stadami klaczy i tabunami owiec. W pobliżu znajduje się siedziba kacyka tych stron „Czarnego Złodzieja". Widz —

powiada nasz podróżnik — zdaje się być naraz przeniesiony gdzieś w najbardziéj malownicze zakątki Alp włoskich (135). Pod tytułem „Nieco etnografii" podaje autor zajmującą charakterystykę dwu różnych typów Indyan, rozrzuconych w Ameryce Południowéj od międzymorza Panamskiego do Patagonii, od oceanu Wielkiego do Atlantyku; kraniologowie znaléść tu mogą wyborny temat do polemiki i popisu (140—142). Wspinając się ciągle na szczyt Kordylierów, docieramy do granicy chilijskiéj i do źródeł rzeki Bio-Bio, „do niedawna jeszcze z powodu Indyan niedostępnych"; tu autor zaznacza, że jest pierwszym europejczykiem, który swą stopę na tych skałach postawił (163). W stolicy Chili, Santiago, najpilniejszą rzeczą do oglądania, po krótkiéj wzmiance ogólnéj, jest naturalnie spuścizna domeykowska. „Domek Domeyków na Calle Cuetto wygląda od ulicy jak szary mur klasztorny, o gęsto okratowanych oknach. Zabudowany w obszerny kwadrat, mieści w środku ogród, którego wszystkie drzewa ś. p. Ignacy własnoręcznie zasadził,.. W salonie pełno przedmiotów pamiątkowych: na sofie rzucona poduszka z herbem wśród łacińskiego napisu *si Deus nobiscum, quis contra nos*, na szafie marmurowe popiersia kilku generałów, na ścianie, jako pamiątka z ostatniego pobytu w kraju, wśród cennego zbioru monet, zatłuszczony i podarty papiérek rublowy nowego wzoru... Wszystko to pozostało jak było za życia znakomitego uczonego polskiego, dom bowiem zamieszkuje obecnie syn jego i następca na katedrze uniwersyteckiéj, prof. Kazimierz Domeyko, nie rozumiejący już, pomimo polskiego imienia, po polsku" (176). Wyjechawszy z Santiago 28 kwietnia 1892 r., dr. Siemiradzki w kilka dni był już na przełęczy kordylierskiéj; pociągi od San Felipe de los Andes nie szły daléj, przeprawiać się wypadło na mułach. Na stacyi Salto del Saldado „jakiś Francuz przemyślny, posiadający w dodatku młodą i ładną żonę, urządził polową restauracyę; na prostych stołach skleconych z desek, pod dachem z zielonych gałęzi, zastawiono dla nas wcale dobre śniadanie po 10 franków od osoby" (180). Zresztą, pełno w tych stronach Francuzów i Szwajcarów, zarabiających suto, uprzejmych wielce i wracających po kilkunastu leciech zabiegów do swych ojczystych siedzib, bez wielkiéj być może chwały, lecz z grubym trzosem gotówki na starość... Jesteśmy ponownie w Argentynie, na wodach La-Platy, lecz w innéj jéj stronie, w prowincyach Santa Fe i Entre Rios, skąd podróżnik nasz przedsiębierze epizodyczną wycieczkę do republiki Paragwajskiéj, „graniczącéj bezpośrednio z brazylijską prowincyą Parana, dokąd się dzisiaj emigracya polska kieruje" (187). Nie dojeżdżając do Parana, La-Plata, „szeroka jak cztery Wisły pod Gdańskiem razem złożyć, ma brzegi wciąż płaskie; coraz częściéj ukazują się

gaiki nad brzegiem wody i obok wierzb zaczynają się pojawiać cenione jako roślina garbarska drzewa *quebracho*; wogóle, drzewa karłowate i koszlawe"... Kolonie w Parona rosną wszędzie jak grzyby po deszczu i ludzie do nich się walą jak deszcz w jesieni; osadnikami przeważnie są Włosi i Szwajcarowie; na gruntach kolonii Felicya i Emilia leżą najstarsze osadnictwa żydowskie w Argentynie, Moiseville i Aaronville (193). Na terytoryum właściwie paragwajskiém zmienia się w zupełności pejzaż: „wszystko tu inne niż w sąsiedniéj Argentynie: krajobraz leśny i falisty, architektura domów odbrębna, zamiast skleconych z błota szałasów, porządne białe domki, kryte czerwoną dachówką, dachy śpiczaste—wskazówka wilgotnego klimatu niemylna, stare kościołki pojezuickie i ruiny osad hiszpańskich, — zupełnie odmienny typ ludności, biały ubiór kobiét, odmienne zwyczaje" (200). Lubujemy się w głębi Paragwaju stacyą klimatyczną w Villa-Rica, „uczęszczaną nawet przez chorych z Europy." Ludność złożona przeważnie z potomków Basków pirenejskich. Kobiéty prześliczne. Oto „dzień świąteczny, wieczór cichy i pogodny, całe towarzystwo miejskie używa wczasu na ulicy lub pod odkrytemi werendami domów... Położenie osady rozkoszne, widok rozległy, aromat wiecznie kwitnących gajów pomarańczowych odurza poprostu, a o dojrzałe pomarańcze zawadzamy głowami, jadąc po ulicy... Twarzyczki niewieście wprost rajskie: jedną jakąś blondynkę o ciemnych oczach, wyglądającą oknem, będę pamiętał długo—nie widziałem bowiem nigdy podobnego wcielenia Madonny murillowskiéj" (232)... I nagle—zakończmy ten spis rzeczy, przeskakując z Villa-Rica do Genui... „Zabawiwszy tu zaledwie dni kilka, gnany tęsknotą za swoimi, opuściłem mórz królowę, a kuryer malowniczą drogą przez Medyolan i Pontebę, uniósł mię na północ, tam daleko, gdzie świat inny, lud odmienny, gdzie dusza i serce moje przyrosły. Przebyta podróż, niebezpieczeństwa i trudy, zdawały się snem jakimś, gdy konduktor zawołał na stacyi: Dziedzitz, a przed nami błysnęła srebrna wstęga królowéj rzek naszych" (263).

Trzebaby zaiste być — nie recenzentem, lecz nadwornym lub kolegialnym registratorem, ażeby streściwszy książkę odznaczającą się tylu zaletami osnowy i stylu, stanowiącą tak cenny przyczynek do literatury naszéj podróżniczéj, nie wskazać, w czém ona szwankuje. Naczelną jéj wadą: genezyjna forma sprawozdawcza, dziennikarska. Notatki spisywane dzień po dniu, a choćby nawet z tygodnia na tydzień i natychmiast drukowane, są późniéj nader trudne do scalenia i wyrównania na dzieło jednorodne, dobrze uplanowane. Przygoda doraźna rozbija tu raz po raz celowość ogólną. Wyruszyliśmy np. pociągiem rannym kolei warsz.-petersburskiéj. Z okna wagonu, na stacyi Czyżew,

odsłania się przed nami, we wspaniałém oświetleniu przedpołudniowego słońca, które jest za nami, jedna z najpyszniejszych gier kolorytowych: białéj fary i białych domków, otoczonych, przeplecionych wieńcami zieleni. Rzucamy pociąg, zapominamy o głównéj marszrucie, zachwycamy się widokiem, piszemy olbrzymią korespondencyę estetyczną i konno dojeżdżamy do Szepietowa, gdzie nas uderza zjawisko niebywałe prawie w kraju naszym: prześliczna droga bita do Bielska i puszczy białowieskiéj. W mgnieniu oka powstaje nam w głowie traktat o naszych komunikacyach strategicznych i handlowych... Jedziemy szosą. Nigdzie żywego ducha... W Brańsku wpadamy na Kumatową mogiłę. Piszemy,--a stąd, naturalném następstwém kojarzenia się wyobrażeń; nastręcza się nam stary gościniec do Drohiczyna, w którym odgrzebujemy fundamenta świątyni, gdzie pod jesień 1253 r. Daniel Romanowicz, jeden z najgłośniejszych pogromców Jaćwieży, ukoronowany został na pierwszego króla ruskiego (zob. prof. N. Daszkiewicza „Pierwaja unia Jugo-zapadnawo kraja s katoliczestwom", Kijów, 1884, str. 34)... Rysujemy mapkę, opisujemy miejscowość... A tymczasem główne zadanie wycieczki: odszukanie kozarskiéj krynicy i pole bitew przy Rajsku, Klementynowie, Hołowiesku i Hołodach, usuwa się po za widnokrąg. Chwytamy wreszcie za nić przerwanego zamiaru, ale akurat w chwili, kiedy gazeta, w któréj, rozpoczęliśmy naszą relacyę, oznajmia, że nie ma już miejsca na ciąg dalszy, z powodu zamówionych ośmiu powieści i nadesłanych czternastu nowel... Pragniemy wszakże wyłatać cały materyał, tak ogłoszony jak i rękopiśmienny—do wydania książkowego, ale oto jedyna firma księgarska, mogąca podjąć się nakładu, zawiadamia, że wpierw zniewolona jest przedrukować 25 romansów oddawna zakupionych. Oczywiście tworzy się stąd kasza, przeciwko któréj użala się dziś—jak się zdaje— i sam także dr. Siemiradzki, powiadając w przedmowie, że doznał zawodu ze strony jednego z wielkich naszych domów wydawniczych, zawód zaś nie tylko wpłynął na opóźnienie wyjścia książki, ale też pozbawił ją pewnéj części materyału ilustracyjnego,—przedewszystkiém prawdopodobnie,—mapki... W takich to obrotach i opałach wierci się nasza publicystyka i nasz ruch księgarski!

***



NEKROLOGIA.

† Ksiądz **Roch Filochowski**, urodzony we wsi Choromany Wielkie (w pow. Ostrołęckim) w roku 1838-ym (16 sierpnia), nauki odbywał w gimnazyum łomżyńskiém, w seminaryum pułtuskiém i w akademii duchownéj warszawskiéj, którą ukończył w roku 1864-ym; w hierarchii kościelnéj sprawował rozmaite a coraz wyższe obowiązki w dyecezyach płockiéj, kujawsko-kaliskiéj i warszawskiéj, w końcu był prałatem kapituły i sędzią surrogatem tutejszego konsystorza. Działał pożytecznie na polu piśmiennictwa ludowego, wydając książki treści religijno-moralnéj: „Pielgrzym nauczycielem", „Ciekawe opowiadania", „O czytaniu biblii", „Historya święta", „Katechizm", „Nauki niedzielne" i t. d. W rękopisach pozostawił wspomnienia swoje i poezye. Zmarł nagle 21-go sierpnia r. b. w rodzinnéj parafii Piski.

† Dr. **Antoni Rosner**, urodzony w Tarnowie 1831 r., ukończywszy gimnazyum w témże mieście, udał się do uniwersytetu wiedeńskiego, w którym po wysłuchaniu dwuletniego kursu filozoficznego, wstąpił na fakultet medyczny, a w r. 1855 otrzymał stopień doktora. Następnie praktykował w szpitalu powszechnym wiedeńskim i klinikach znakomitych profesorów. W r. 1862 przeniósł się do Krakowa i habilitował w uniwersytecie Jagiellońskim na docenta chorób skórnych i wenerycznych. Znakomite zdolności, jakie niebawem wykazał, sprawiły, że w pięć lat potém został profesorem nadzwyczajnym, wreszcie mianowano go profesorem zwyczajnym w r. 1887 i dyrektorem kliniki chorób skórnych. Oprócz wielu prac pomniejszych, drukowanych w „Przeglądzie lekarskim", wydał *„Ergebnisse der Impfung mit syphilitischen Secreten"* (Wiedeń, 1862), „Krótki opis nieoznaczonéj wysypki pęcherzykowéj", „Uwagi nad znaczeniem przypadków późnéj kiły" (1868), „O kile w płucach ze stanowiska klinicznego". Nagły zgon d-ra A. Rosnera nastąpił w dniu 24 sierpnia.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

OGŁOSZENIA.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Słownik apologetyczny** Wiary Katolickiéj, podług d-ra Jana Jaugey'a opracowany i wydany staraniem *X. Wł. Szcześniaka*, mag. teol. i grona współpracowników. Warsz., 1896, zeszyt 10 (str. 193—384).
2. **Skarbiec Jasnogórski** i dary w nim złożone, z 46 rysunkami. Warsz., nakład S. Modelskiego, 1896, str. 71 (cena kop. 35).
3. **Atlas geologiczny Galicyi.** Tekst do zeszytu piątego, opracowany przez d-ra *Władysława Szajnochę.* Kraków, skład gł. w Księg. Spółki wydawniczéj polskiéj, 1895, 8-vo. str. 82.
4. **„Wet za wet"**, komedyjka w jednym akcie przez *Stanisława Bobińskiego.* Warsz., nakł. J. M. Bazewicza, 1896, 8-vo. str. 56.
5. **Encyklopedya illustrowana** wiadomości pożytecznych. Zesz. 8. Warsz., nakł. Michała Arcta, 8-vo, str. 225—256 (cena kop. 25).
6. **Biblioteka najcelniejszych utworów** literatury europejskiéj, 1896. miesiąc maj. Warsz., nakł. S. Lewentala.
7. **Sprawozdania meteorologiczne** za drugie półrocze 1893 roku. Warsz., 1896, 4-to, str. 79.
8. **Encyklopedya rolnicza**, wyd. staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt LX i LXI (str. 575—704).
9. **Miasto Zgierz** ze stanowiska sanitarnego skreślił dr. *E. Sonnenberg.* Warsz., 1896, 8-vo, str. 47.
10. **Rozkład dochodów** przy zmianie użytkownika, ze stanowiska prawa cywilnego i polityki cywilnéj. Przez *L. Petrażyckiego* (po rosyjsku). Kijów, 1896, 8-vo, str. 65.
11. **Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego**, pod redakcyą *Maryana Jakowskiego*, 1896, zeszyt II.
12. *Guhl i Koner.* **Hellada i Roma**. Przekład *Stanisława Mieczyńskiego.* Wyd. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Zeszyt 5 i 6 (str. 321 — 488); cena zeszytu kop. 50.
13. **Rzym Papieży**. Wydawnictwo „Tygodnika ilustr." i „Biesiady liter.". Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Zeszyty 5 i 6, cena zesz. rs. 1.
14. *Paweł Guiraud.* **Opowiadania historyczne.** Rzym. Przełożył *J. L. Popławski.* Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 513.
15. **Teatr dla dzieci.** Sześć komedyjek przez *Karolinę Szaniawską.* Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 235.
16. *A. Dygasiński.* **As.** Powieść. Warsz., nakł. G. Centnerszwera, 1894, 8-vo, str. 212.
17. *Klemens Junosza.* **„Z papierów po Niehoszczyku Czwartym."** Obrazek. Warsz., nakł. W. Czajewskiego, 1896, 8-vo, str. 168.
18. *Wanda Grot-Bęczkowska.* **Co będzie z naszego chłopca?** Powieść. Warsz., nakł. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 230.
19. **Pamiętnik fizyograficzny.** Wydawcy: *A. Ślósarski* i *Br. Znatowicz*, tom XIV, str. XXIII + 151 + 30 + 228, z 10 tablicami rysunków litografowanych i 2 drzeworytami.
20. **Średniowieczne znaki wodne**, zebrane z rękopisów przechowanych w Archiwach i Bibliotekach polskich; wiek XIV opracował dr. *Franciszek Piekosiński.* Wyd. 2. Kraków, nakł. Akademii umiej., 1893, 4-to, str. 34 z 77 tabl. autograf.
21. *Włodzimierz Czerkawski.* **Wielkie gospodarstwa**, ich istota i znaczenie. Kraków, nakł. Akad. umiej., 1896, 8-vo, str. 163.
22. **Hygiena ludowa**. Trzeba dbać o zdrowie, aby się ustrzedz choroby. Napisała *Antoszka.* Warsz., nakł. M. Mierzejewskiego, skład w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 124 i II.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.